MISTRZOWIE SF I FANTASY

SIERGIEJ ŁUKIANIENKO

Tylko HARRY POTTER jest popularniejszy w Rosji od książek Łukianienki!

AMBER

ATOMOWY SEN

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Galaktyka, gdzie wśród walk i intryg potężne Imperium Ludzi dąży do pokojowego współistnienia z Obcymi…

Młoda prawniczka, która tropiąc zagadkę ucieczek z wirtualnego więzienia, odkrywa jego prawdziwe przeznaczenie…

Ludzie, degeneraci i smoki walczący o byt w przeddzień katastrofy jądrowej i tajemniczy chłopiec znikąd, który może zmienić bieg dziejów…

Oto historie z odległych światów „Cieni snów”, „Przezroczystych witraży” i „Atomowego snu”.

- Siergiej Łukjanienko
  - ○
  - ○ PRZEZROCZYSTE WITRAŻE
    - ■
    - ■ 0000
    - ■ 0001
    - ■ 0010
    - ■ 0011
    - ■ 0100
    - ■ 0101
    - ■ 0110
    - ■ 0111
    - ■ 1000
    - ■ 1001
    - ■ 1010
    - ■ 1011
    - ■ 1100.0
    - ■ 1100.1
  - ○ CIENIE SNÓW
    - ■ 1. Kurierzy i sportowcy
    - ■ 2. Liderzy i autsajderzy
    - ■ 3. Psylończycy i Imperium
    - ■ 4. Zdrajcy i bohaterowie
  - ○ ATOMOWY SEN
    - ■
    - ■ Część 1
      - ■
      - ■ 1. Smok numer 13
      - ■ 2. Umowa Gwarantuję!
      - ■ 3. Smocze łowy
      - ■ 4. Związani krwią

- 5. W imieniu Zakonu idę?
- 6. Jasnowłosy
- Część 2
  -
  - 1. Przeprawa
  - 2. Cienisty Zakątek
  - 3. Spotkanie
  - 4. Klasztor u Wrót Niebios
  - 5. Odłożona Zemsta
  - 6. Powrót do siebie
- Siergiej Łukjanienko

MISTRZOWIE SF I FANTASY

SIERGIEJ ŁUKIANIENKO

Tylko HARRY POTTER jest popularniejszy w Rosji od książek Łukianienki!

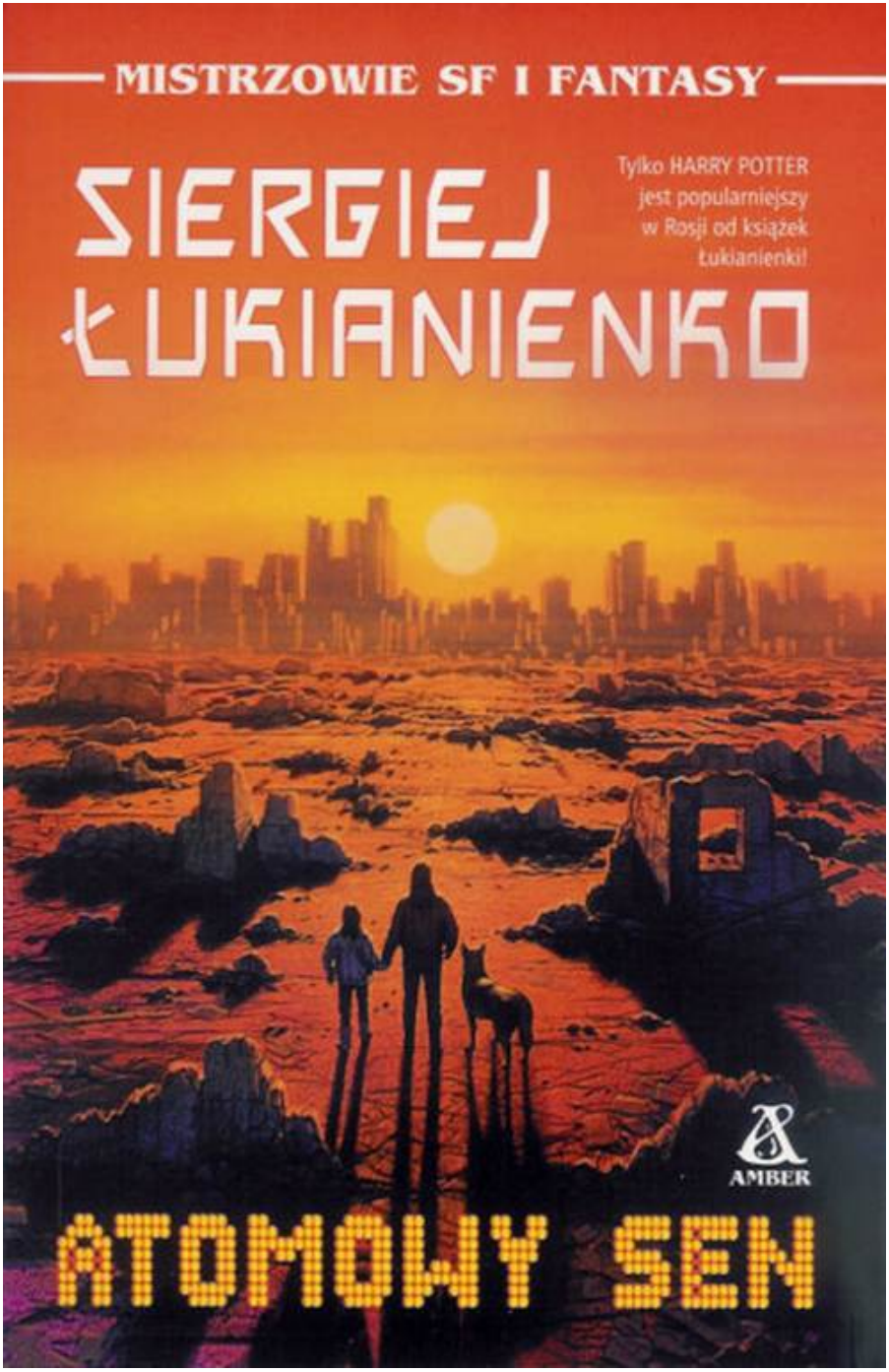

AMBER

ATOMOWY SEN

Siergiej Łukjanienko

Atomowy Sen

Tytuł oryginalny: Атомный сон
Tłumacz: Skórska Ewa

PRZEZROCZYSTE WITRAŻE

A ja mam pewną propozycję:
Pozamieniać wszystkie szyby na witraże,
Ujrzeć w oknie nie swoje odbicie,
Lecz kolorowe obrazki i miraże.
Muszę tylko dodać ostrzeżenie:
Ostre odłamki szkła mogą cię zranić.
Jednak wynagrodzi to piękne wrażenie:
W każdym oknie różnobarwne ekrany.
Ale widzę, że ogarnia cię zwątpienie,
Ty fałsz tylko widzisz w idylli…
Niech na któreś z nas spłynie olśnienie,
Gdy miraże już przemienia się w zwiewne mgły.

Konstantin Arbenin,
zespół Zimowje Zwieriej

0000

W dzieciństwie to była moja ulubiona zabawa.

Puzzle jak puzzle, nic takiego. Układa się obrazek z setek albo i tysięcy kawałeczków o różnych kształtach.

Ale te puzzle były przezroczyste. Cieniutki, mieniący się różnymi barwami plastik jak zwiewna mgła, a gdy patrzyło się przez niego na żarówkę, widać było rozżarzony drucik.

Układałam te puzzle niemal pół roku.

Sama!

Teraz wiem, że były zbyt skomplikowane dla dzieci – pięć tysięcy kawałków przezroczystego plastiku. Malinowe i marmurkowe, czekoladowe i fioletowe, lazurowe i rude, cytrynowe i purpurowe, marengo i szare jak kurz, węgiel i karmin. Obrazek układał się opornie, jakby urażony tym, że pracuje nad nim ośmioletnia smarkula, z uporem garbiąca się na podłodze w pokoju dziecinnym. Surowo zabroniłam rodzicom sprzątać w moim pokoju – mogliby zniszczyć powstający pod moimi dłońmi świat. Ale mama i tak sprzątała, gdy byłam w szkole, starannie omijając puzzle.

Z tęczowych kawałeczków powstawał mur. Kamienny mur średniowiecznego zamku, pokryty mchem, z wyszczerbionymi spoinami, z jaszczurką w wapieniu, wygrzewającą się w promieniach słońca.

I witrażowe okno. Półprzeźroczyste, nierealne, za którym majaczyły niewyraźne cienie ludzi. Kolorowe okno, a na nim rycerz w lśniącej zbroi pochylał się przed piękną damą w białej sukni. Puzzle jeszcze nie były ułożone, ale ja już mogłam godzinami zachwycać się rycerzem i jego damą. Denerwowało mnie, że zbroja rycerza, na pozór lśniąca i wspaniała, jest pogięta, a gdzieniegdzie nawet zachlapana błotem. Zdumiewało, że na twarzy damy nie widać zachwytu i radości, tylko żal i smutek. Ale i tak patrząc na puzzle, wymyślałam historię rycerza i księżniczki (młoda dama mogła być tylko księżniczką!). W końcu doszłam do wniosku, że rycerz dopiero co wrócił z jednej wyprawy i już rusza w następną. Stąd zniszczona, ubłocona zbroja, stąd smutek na twarzy księżniczki.

Różnokolorowe elementy znajdowały swoje miejsca, jedyne i niepowtarzalne. Nad rycerzem i księżniczką zapłonęła tęcza. W jasnych, takich jak moje, włosach księżniczki zamigotał grzebyk zdobiony szlachetnymi kamieniami. Jaszczurka na murze zyskała przyjaciółkę.

Rodzice przestali się pobłażliwie uśmiechać, patrząc na moją walkę z witrażem. Teraz i oni lubili podejść cichutko i popatrzeć na kolorowe okno pojawiające się w szarym murze. Na pewno nieraz

zauważali pasujące elementy wcześniej ode mnie, ale nigdy nie podpowiadali – takie były reguły.

Musiałam to zrobić sama.

I wreszcie nadszedł dzień, gdy zrozumiałam – dzisiaj ułożę puzzle do końca. Zostało jeszcze co najmniej pięćdziesiąt kawałków, najtrudniejszych, niemal identycznych. Ale wiedziałam, że jeszcze dziś zobaczę cały obrazek.

Nie jadłam obiadu, nie przyszłam na kolację, ale mama nie krzyczała, tylko przyniosła mi kanapki i herbatę. Nawet nie zauważyłam, kiedy je zjadłam.

Kawałeczek do kawałeczka. Kolorowa mozaika stworzyła kompletny wzór.

Zostało już tylko jedno puste miejsce na ostatni kawałek – nawet wiedziałam jaki. Przezroczysty, z trzema wypustkami. Nie był szczególnie ważny – zwykły przezroczysty element między pochyloną głową rycerza a wyciągniętą dłonią księżniczki. Sięgnęłam do pudełka, próbując znaleźć brakujący kawałek po omacku, nie odrywając wzroku od obrazka.

Pudełko było puste.

Wywróciłam pokój do góry nogami, płakałam w ramionach ojca i na kolanach mamy. Tata obiecywał, że napisze list do firmy, która wyprodukowała puzzle, i że na pewno przyślą mi brakujący kawałek. I jeszcze jedno pudełko puzzli w ramach zadośćuczynienia.

Mama grzebała w wiadrze ze śmieciami i wytrząsnęła worek odkurzacza, chociaż wiedziała, że niczego tam nie znajdzie.

Późnym wieczorem wróciłam do swojego pokoju, do prawie skończonej układanki. Gdyby ktoś nie wiedział o zaginionym kawałku, nie zauważyłby jego braku.

Ale ja znałam już teraz prawdą. Wiedziałam, dlaczego księżniczka jest smutna, dlaczego rycerz z takim zmęczeniem i bezradnością skłania głowę. Księżniczka nigdy nie dotknie pochylonej głowy rycerza. Między nimi jest pustka.

Przykucnęłam, położyłam dłonie na obrazku i rozsunęłam je.

Mury zamku pękły, jaszczurkę rozerwało na pół, rycerz rozpadł się na lśniące kawałeczki zbroi, księżniczka zmieniła w białe strzępy sukni.

Purpura, rdza, ochra, stare złoto, beż…

Tęcza, kolorowa zamieć, różnobarwny śnieg…

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam deep program, przeżyłam szok – tak bardzo hipnotyczny kalejdoskop przypominał stare puzzle, rozpadające się pod moimi rękami.

Ale wtedy deep programu jeszcze nie było. Wynaleźli go trzy lata później.

0001

Przed drzwiami przystaję na chwilę, uważnie studiuję swoje odbicie. Niezbyt miły to widok… Z lustra spogląda na mnie skwaszona trzydziestolatka. Usta zaciśnięte, wyraźnie zarysowany drugi podbródek, ale figura raczej koścista; włosy zebrane w marny koczek, na ustach zbyt jaskrawa pomadka, za to cienie na powiekach w kolorze bagiennej zieleni. Mysioszara sukienka, nogi mocne jak u chłopki i ciepłe rajstopy. Nie wyglądam jak ostatnia kuchta, ale seksapilu jest we mnie tyle, co w owsiance rozmazanej na talerzu.

Pstrykam swoje odbicie w nos i wyskakuję z domu. Humor mi dopisuje, jestem wesoła i ożywiona.

Jak przyjemnie dziś na świecie!

Po przelotnym deszczu powietrze jest czyste i świeże, przejaśniło się i teraz świeci słońce. Ciepło, ale nie duszno. Na podwórku brzdąka na gitarze sympatyczny chłopak. Ładnie brzdąka. Gdy przechodzę obok niego, podnosi głowę i uśmiecha się.

Do wszystkich się uśmiecha. To taki program – połączenie biura informacji, automatu muzycznego i strażnika. Każdy szanujący się dom w Deeptown ma coś takiego. Albo bawią się na podwórku nieprawdopodobnie grzeczne, rozczulające dzieci, albo siedzi na ławce schludna staruszka, albo tkwi przy sztalugach długowłosy malarz o marzycielskim spojrzeniu. U nas jest gitarzysta.

– Cześć – mówię do niego.

Czasami chłopak odpowiada, ale dzisiaj ogranicza się do skinienia głową. Idę dalej. Mogłabym wezwać taksówkę, ale to niedaleko, wolę się przejść. Przy okazji spróbuję się skoncentrować przed czekającą mnie rozmową.

Bo tak naprawdę strasznie się denerwuję.

Deeptown był dla mnie zawsze miejscem rozrywki – od czasu, gdy w wieku dwunastu lat weszłam do Głębi, wtedy jeszcze z komputera taty i bez kombinezonu. Potem miałam już swojego kompa, swój kombinezon, chociaż na razie „nastoletni", bez pewnych funkcji… W całowaniu to nie przeszkadzało.

Krążyłam po wirtualności jak oparzona, wkręcałam się to w jedno, to w drugie towarzystwo, przyjaźniłam się i kłóciłam, brawurowo piłam wirtualnego szampana, kilka razy wirtualnie wychodziłam za mąż i rozwodziłam się. W Głębi były najlepsze koncerty – na gigantycznych arenach, nad którymi krążyły kolorowe chmury, a nierealnie jasne gwiazdy migotały w takt muzyki. W Głębi mogłam obejrzeć najnowszy film na długo przed premierą, w ekskluzywnych pirackich kinach. W Głębi mogłam podróżować – w każdym kraju, w każdym mieście znajdzie się człowiek, który tworzy

wirtualną kopię ulubionych krajobrazów.

Oczywiście, byli również ludzie, dla których wirtualność stanowiła miejsce pracy. Programiści, którzy już nie potrzebowali biur, cała masa projektantów, grafików, księgowych, inżynierów. Wykładowcy uczący studentów z całego świata, konsultujący się ze sobą lekarze. I tajemniczy nurkowie – jeśli tylko istnieją naprawdę.

Ale ja nie miałam najmniejszej ochoty zajmować się programowaniem czy księgowością, nawet uczyć wolałam się po staremu i po liceum poszłam na realny wydział prawa, solidny i staromodny.

Ale Głębia rosła. Zaczęło brakować niepisanych praw, rosło zapotrzebowanie na kodeksy.

I na prawników.

Skręcam z ludnej ulicy, pokonuję maleńki skwer z zapomnianą, wyschniętą fontanną pośrodku. Tak tu pusto, jakby ludzie usiłowali omijać to miejsce szerokim łukiem.

Nic dziwnego. Więzienia, nawet wirtualne, nigdy nie cieszyły się popularnością.

Szary budynek za skwerem, otoczony wysokim murem ze spiralą drutu kolczastego na górze, to wirtualne więzienie rosyjskiego sektora Deeptown. Kto powiedział, że odstajemy od krajów rozwiniętych? Pewnie w niektórych dziedzinach rzeczywiście tak jest, ale nasz system penitencjarny zawsze szybko reagował na nowinki.

Podchodzę do jedynych drzwi w murze, wąskiego metalowego skrzydła z maleńkim okienkiem-wizjerem, i naciskam guzik dzwonka.

Słychać metaliczny szczęk, okienko się otwiera i widzę patrzącego na mnie ponuro krzepkiego chłopaka; gruba szyja rozpycha niebieski kołnierz munduru. Nic nie mówi, czeka. Bez słowa podaję przez okienko swoje dokumenty. Wartownik znika i teraz ja cierpliwie czekam.

Jak długo może trwać sprawdzenie w Głębi czyjejś tożsamości?

Chyba krótko. Znacznie dłużej trwa pospieszne powiadamianie zwierzchnictwa.

Nie oburzam się, czekam. Poprawiam włosy – jakby mojemu szczurzemu ogonkowi mogło coś zaszkodzić. Sama pewnie przypominam szczura – złego, bitego i zaszczutego, który przywykł patrzeć na świat bez głupich iluzji.

To nic, tak musi być.

Drzwi otwierają się z łoskotem. Wartownik salutuje i jakby speszony odsuwa się na bok, puszczając mnie przodem.

Za drzwiami zamiast więziennego podwórka jest ciemny korytarz.

Jego ściany mają pewnie z pięć metrów grubości, i raczej nie zostało to zrobione na pokaz. Gdy idę, stukając obcasami po chropowatej, betonowej podłodze, do mojego komputera szybko

ładują się więzienne wnętrza. Kolejne korytarze, pokoje strażników i personelu…

Korytarz kończy się drzwiami. Wartownik wyciąga rękę, próbując otworzyć przede mną drzwi, ale jestem szybsza.

Wychodzimy na więzienne podwórko.

Boisko i placyk do spacerów. Zadbane klomby wzdłuż ścieżki.

Nigdy nie widziałam w Rosji takich więzień, skopiowano to pewnie z amerykańskich, i to najnowszych. Resocjalizacja w takim więzieniu to chyba czysta przyjemność.

Strażnik delikatnie chrząka, rzucam mu drwiące spojrzenie. Nie przypuszczam, żeby to był prawdziwy funkcjonariusz wojsk wewnętrznych, który widział prawdziwe więzienia. Tutaj, w wirtualnym świecie, cechy fizyczne są najmniej ważne.

– Już idę – rzucam. – Zawsze tu tak pusto?

Mój serdeczny ton bynajmniej nie uspokaja wartownika. Widocznie komuś, kto ma zaciśnięte wargi i wiecznie zmarszczone czoło, serdeczność wydaje się kpiną.

– Nie… nie zawsze, pani inspektor.

– Nic, nic… – mówię, a ton mojego głosu zdradza podejrzliwość.

Wchodzimy do więzienia na piętro administracji. Jedynie kraty w oknach przypominają o surowej prozie życia. Przechodząc obok jednego z okien, przesuwam po szkle koniuszkami palców, tak żeby odrobina lakieru z paznokci została na szybie.

Strażnik niczego nie dostrzega.

Niewiele osób tu pracuje – widzę kobiety w mundurach i młodego człowieka w brudnawym białym fartuchu. Mężczyzna patrzy na mnie przeciągle, jakby się zastanawiał, czy zawrzeć znajomość, czy lepiej ukryć się za najbliższymi drzwiami. Rozsądek bierze górę i chłopiec chowa się za drzwiami z napisem Pokój kontroli.

W prawdziwym więzieniu byłyby tam monitory obserwacji wewnętrznej, może tutaj jest tak samo. Zaciekawiona, tuż obok drzwi mocniej stukam obcasem w podłogę. Strażnik się odwraca, a ja udaję, że się potknęłam.

Maleńkiego termita, który wysunął się z obcasa i teraz pełznie w stronę drzwi, nie sposób zobaczyć gołym okiem.

W końcu docieramy do gabinetu naczelnika więzienia. Przed drzwiami wartownik przystaje, pozostawiając mi inicjatywę.

Pukam w miękkie syntetyczne obicie, przywołujące wspomnienie tych niezapomnianych dni, gdy drzwi wejściowe do mieszkań robiono z dykty i dermy, a nie ze stali. Wchodzę, nie czekając na zaproszenie.

Przerwa – prawie niewyczuwalna, ale jednak. Drzwi otwierają się zbyt wolno, jakby pokonywały oporną sprężynę. Kolejny serwer, może nawet zamknięty odcinek serwera więziennego… Trzeba będzie to sprawdzić. Ale teraz wyrzucam z głowy zbędne myśli i uśmiecham się

sucho do naczelnika.

– Dzień dobry.

Naczelnik ma prawie dwa metry wzrostu, szczerą twarz i szerokie bary, mundur leży na nim jak szyty na miarę, pagony groźnie błyskają gwiazdkami podpułkownika. W wirtualnym świecie całkiem łatwo o taki wygląd.

– Poproszę o pani dokumenty.

W milczeniu podaję mu legitymację, polecenie z zarządu nadzoru, zaświadczenie o delegacji. Co za wspaniały biurokratyczny wymysł podróż służbowa do wirtualności. Może właśnie dlatego większość organizacji państwowych mieści się na „niezależnych", międzynarodowych serwerach? Znacznie przyjemniej, gdy wysyłają cię w delegację do Panamy czy Burundi niż do banalnego Zwienigorodu.

Szkoda, że wirtualne więzienie umieścili na serwerze MWD…

Gdy podpułkownik przegląda moje dokumenty, ja z ciekawością rozglądam się po jego gabinecie. Nie ma tu nic ciekawego, ale może się przydać najmniejszy szczegół…

– Proszę usiąść… Karino Pietrowna.

Łagodnieje w oczach, pewnie zerknął na datę urodzenia.

– Po raz pierwszy z inspekcją, Karino Pietrowna?

Kiwam głową i ze szczerością kompletnej idiotki dodaję:

– Z wirtualną… tak.

– Arkadij Tomilin. Po prostu Arkadij. – Ściskam mocną dłoń.

Ma przyjemny, serdeczny uścisk. – Szczerze mówiąc, początkowo się zjeżyłem…

Szczerość za szczerość.

– Wirtualne zakłady karne są rzeczą nową, ludzie nie zdążyli się jeszcze z nimi oswoić. – Podpułkownik swobodnym gestem posyła moje dokumenty na biurko. – Jeśli zatem inspekcję przeprowadza człowiek starej daty, z dawnymi przyzwyczajeniami, który o Głębi ma jedynie ogólne pojęcie… Pali pani, Karino Pietrowna? A ja mogę zapalić?

– Proszę – pozwalam. – Może mi pan mówić po prostu Karina.

Podpułkownik zapala niedrogiego papierosa XXI wiek, które w Głębi są rozdawane za darmo. Albo demonstruje swoją prostotę, albo rozsądnie nie chce się przyzwyczajać do drogich papierosów w realnym świecie też czasem chce się zapalić…

– Jest pani zorientowana w kwestii wirtualnych więzień?

Kolejny gest. Nikt nie lubi nazywać miejsca swojej pracy więzieniem. Różne twory językowe w rodzaju „zakład karny" cieszą się większą popularnością.

– Tylko w ogólnym zarysie – mówię po zastanowieniu.

– W takim razie zacznijmy od wprowadzenia… Karino, czy Piotr

Abramowicz jeszcze wykłada?

– Tak.

– Nie widziałem go ze sto lat… Pierwsze kroki w tym kierunku zrobili Amerykanie; my, jak zwykle, ciągniemy się w ogonie. Wszyscy zdają sobie sprawę, że zakłady karne przeważnie nie służą swojemu celowi. Nie resocjalizują człowieka, który złamał prawo, przeciwnie, czynią go jeszcze gorszym, pozwalają wejść głębiej w środowisko kryminalne… Powstaje błędne koło, i w ten sposób sami przygotowujemy sobie nowy kontyngent więźniów. A przecież historia zna wiele przykładów pomyślnej reedukacji przestępców. Czym jest taka Australia, jeśli się nad tym zastanowić? Dawna kolonia karna. Wysyłano tam katorżników, umieszczając ich w takich warunkach, że uczciwa, rzetelna praca stawała się warunkiem przeżycia, no i osiągano wstrząsające efekty. Katorżnicy stworzyli własne społeczeństwo, resocjalizowali się, liczba ludności rosła…

Mam ochotę wspomnieć o królikach, które również wysyłano do Australii, ale milczę i kiwam głową.

– Celem idealnego więzienia jest stworzenie człowiekowi warunków do uświadomienia sobie ciężaru własnego przestępstwa. Do osiągnięcia katharsis, prawdziwej skruchy. W takim wypadku niezbędne jest indywidualne podejście do przestępcy. Jeden potrzebuje tylko pojedynczej celi i Biblii pod ręką, drugi kontaktu z ludźmi, trzeciego należy po prostu nauczyć czytać i pisać, a także dać mu jakikolwiek zawód. W zwykłym zakładzie taka różnorodność nie jest możliwa. I na tym właśnie polega sens wirtualnych więzień. Wykwalifikowani pedagodzy i psychologowie określają, jak najlepiej wprowadzić przestępcę na drogę poprawy i człowiek dostaje dokładnie takie więzienie, jakiego potrzebuje. Bezludną wyspę, małą wspólnotę wysoko w górach, w razie potrzeby nawet celę więzienną, ale czystą, suchą, ciepłą… Dodajemy też stałe elementy psychodramy, całe spektakle, w których więźniowie mimo woli biorą udział, jednocześnie wkraczając na drogę poprawy…

Podpułkownik wstaje i zaczyna chodzić po gabinecie. Wodzę za nim oczami niczym porcelanowy Chińczyk.

– Działamy już drugi rok. Mamy ponad dwustu podopiecznych… Wszyscy dobrowolnie wybrali zamknięcie w wirtualności.

Są tu najróżniejsi ludzie: od hakerów i dystrybutorów programów pirackich po zabójców i gwałcicieli. W rzeczywistym świecie ich ciała znajdują się w podmoskiewskim więzieniu… czy raczej lazarecie. Zakupiliśmy specjalne urządzenia, tak zwane deep box, kontenery Głębi. Człowiek umieszczony w takim kontenerze może przebywać w wirtualnym świecie całymi miesiącami, nawet latami.

Powie pani, że to droga zabawa? Nie da się ukryć, ale dzienny koszt utrzymania więźnia w zwykłym zakładzie również nie jest mały.

Poza tym, w efekcie otrzymamy ludzi uczciwych, którzy uświadomili sobie swoją winę, a to właśnie jest naszym celem. Nie kara za zbrodnię, bo przestępstwo już zostało popełnione, lecz zapobieżenie nowym przestępstwom, zwrócenie społeczeństwu zdrowego, przestrzegającego prawa obywatela…

Wiem o tym wszystkim. Przemowa podpułkownika do młodziutkiej pani inspektor, która pierwszy raz przybyła na wizytację wirtualnego więzienia, jest ze wszech miar słuszna.

Tylko dlaczego pańscy podopieczni mogą swobodnie opuszczać to wspaniałe więzienie i paradować po ulicach Deeptown, panie pułkowniku? A może nawet nie podejrzewa pan tego, Arkadiju Tomilinie, oficerze o długiej i efektownej karierze?

Chcę zadać to pytanie i zadam je. Ale nie teraz. Potem.

A na razie słucham – o wspaniałych systemach bezpieczeństwa, o ochronie przed przeniknięciami na serwer, o psychologach, lekarzach, o młodym personelu z niezaśmieconymi umysłami, o tym, jak wzruszające listy piszą więźniowie do swoich bliskich.

0010

Herbatę przynosi nam surowa kobieta w mundurze – nie wygląda na sekretarkę, zresztą pan naczelnik nie ma sekretariatu. Pewnie pracuje w kobiecym bloku więzienia.

– To dobra herbata – mówi podpułkownik. Wsypuje trzy łyżeczki cukru, miesza i dodaje: – Z Krasnodaru. Używamy wirtualnych wzorców wyłącznie rosyjskich produktów.

Też mi powód do dumy!

Wirtualny patriotyzm nawet nie jest śmieszny. Przecież wystarczy choć raz wykosztować się na prawdziwą herbatę, na te słynne trzy Ustki zerwane ręcznie z samego wierzchołka! Oczywiście, jeśli jesteś oligarchą z tych, co to ich nie dobili na początku wieku, możesz pić herbatę po trzy dolary za gram nawet codziennie. Ale na jedną ceremonię picia herbaty stać każdego, dzięki czemu człowiek może się potem rozkoszować prawdziwą herbatą podczas każdej wizyty w Głębi.

Zostawiam te myśli dla siebie i piję posłusznie. Nie wiem, jak smakuje naczelnikowi więzienia, ale dla mnie to mętny, cuchnący płyn z pływającymi na wierzchu flisami. Do takiej herbaty faktycznie trzeba użyć cukru, wprawiając w osłupienie prawdziwych smakoszy tego napoju.

– Zacznie pani od sprawozdawczości? – pyta pułkownik mimochodem.

– Chyba tak… – Udaję, że się zastanawiam. – Albo raczej od sprawdzenia warunków pobytu.

Naczelnik kiwa głową. Albo rzeczywiście mu wszystko jedno, albo tak świetnie udaje.

– Mam ze sobą kilka skanerów – dodają. – Panuje opinia, że wirtualne więzienie jest niewystarczająco chronione przed ucieczką…

Śmiech Arkadija jest absolutnie szczery.

– Ucieczka? Dokąd, Karino? Och, te dinozaury sprawiedliwości… Wszyscy nasi podopieczni śpią mocnym snem za wysokim ogrodzeniem. Wokół nich jest tylko wirtualność!

– Tak – mamroczę – ale jeśli mordercom i gwałcicielom uda się rozbiec po Deeptown…

– Załóżmy! – Pułkownik gotów jest wyjść mi naprzeciw. – Więc jak to było? Żądny krwi psychopata Wasia Pupkin zdołał zbiec z wirtualnego więzienia…

Biedny Wasilij Pupkin, autor podręcznika do arytmetyki dla szkół parafialnych! Nie wiedział, jak okrutnie rozprawią się z nim uczniowie, udręczeni zadaniami o basenie i pociągach! Nie miał pojęcia, że jego nazwisko stanie się czymś w rodzaju symbolu.

– I co zrobi nasz psychopata w świecie wirtualnym? – pyta Tomilin. – Co, Karino?

– Popełni morderstwo – sugeruję.

– Wirtualne?

– A broń trzeciej generacji? Zabijająca ludzi z Deeptown?

Widzę, że Tomilin przestaje mieć o mnie dobrą opinię. Trudno.

– To prawda, dwa lata temu krążyły podobne plotki – przyznaje. – Opowiadano rozmaite historie, że jakiś haker zginął od wirtualnej kuli i tak dalej… Proszę mi wierzyć, narobiono tyle szumu, że w końcu wszczęto oficjalne śledztwo. Owszem, usiłowano skonstruować broń trzeciej generacji, ale próby nie zostały uwieńczone sukcesem. Poważni ludzie już dawno zarzucili tę sprawę… jedynie określone służby nadal ciągną na to pieniądze od swoich rządów.

– A przemoc seksualna? – Nie daję za wygraną. – To już jest możliwe w wirtualności!

Tu już pułkownik nie ma się czym wykręcić, porzuca ironiczny ton.

– Tyle że ucieczka z więzienia jest niemożliwa. Proszę, niech pani sama sprawdzi… Pierwszy uścisnę pani dłoń, jeśli udowodni pani coś innego.

Chyba wychodzę z roli. Porucznik Karina, dumna ze swojej misji, nie powinna popijać herbatki, nawet z Krasnodaru, i słuchać kawałów z brodą.

– Bierzmy się do pracy. – Odsuwam filiżankę. Całkiem ładna: czarno-złote róże na cienkiej porcelanie. Też pewnie krajowa.

– Proszę iść za mną. – Głos Tomilina brzmi surowo.

Idziemy dość długo. Mijamy co najmniej trzy kraty, serwer gate, zanurzające nas coraz głębiej w więzienną sieć. Demonstracyjnie wodzę wokół siebie skanerem – całkiem sprawnym i dość pewnym przyrządem. Czysto. Żadnych „podkopów”. Hrabia Monte Christo na próżno zmarnowałby tu swoje młode lata.

Korpus więzienia jest zbudowany na modłę amerykańską. Wielkie, przestronne pomieszczenie, coś jak trzypiętrowa galeria, tylko zamiast sklepów zakratowane klatki. Niespodzianki zaczynają się, gdy podchodzimy do pierwszej celi.

Jest pusta.

– Podopieczny przebywa w swojej przestrzeni – wyjaśnia Tomilin. – Widzi pani drzwi?

Rzeczywiście istnieje pewien szczegół, różniący tę celę od zwykłego więziennego wnętrza. Pomiędzy lśniącym sedesem a twardym, odchylanym łóżkiem widzę drzwi, zasłonięte szczelnie szarą tkaniną.

– To właśnie jest ta „wewnętrzna Mongolia”? – Pozwalam sobie użyć tego sformułowania. W końcu pracowita pani inspektor może

znać żargon więzienny.

– Tak – odpowiada z lekkim zdumieniem Tomilin. – Sierżancie!

Jeden ze strażników, do tej pory kroczący za nami w milczeniu, pobrzękując kluczami, otwiera celę. Wchodzę za Tomilinem.

– Nie trzeba – pułkownik powstrzymuje sierżanta, który już podszedł do zasłony. – A więc, Karino Pietrowna, cały nasz stan osobowy ma prawo do tego, by w świecie wirtualnym odsiadywać karę w zwykły sposób. Więzień może siedzieć w celi, może pracować w warsztatach, chodzić do biblioteki, modlić się w świątyni… udostępniamy usługi duchownych pięciu najpopularniejszych wyznań. Jest jednak pewna zasadnicza różnica między naszym więzieniem a zwykłym zakładem karnym. Otóż każdy więzień ma swoją autonomiczną przestrzeń, zwaną nieoficjalnie wewnętrzną Mongolią. Przestrzeń, tworzona przez wykwalifikowanych specjalistów, dla każdego przestępcy jest inna. Odwiedzanie wew… autonomicznej przestrzeni czy też strefy katharsis, bo taki jest oficjalny termin, ma się przyczynić do resocjalizacji przestępcy. Należy zauważyć, że wypadki rezygnacji z terapii są szalenie rzadkie. Pozwoli pani…

– Czy to nie jest zbyt… ryzykowne? – pytam.

Tomilin zmienia się na twarzy.

– Człowiek w strefie katharsis znajduje się pod ciągłą obserwacją. Oni zdają sobie sprawę, że strażnik może w każdej chwili przerwać seans. Chodźmy Może Tomilin zaczynał od służby posterunkowo-patrolowej?

Ja też odchylam zasłonę i wchodzę do strefy cudzego katharsis.

Do czyjejś „wewnętrznej Mongolii".

Która naprawdę przypomina mongolski step.

Nie, nigdy nie byłam w Mongolii, nawet w Głębi. Ale tak właśnie ją sobie wyobrażam: bezkresna równina aż po horyzont, kamienista, spękana ziemia, trawy wysuszone ostrym słońcem, wiatr niosący pył, bezchmurne niebo. I bardzo gorąco.

– Ciii… – Tomilin uprzedza moje pytanie. – Jest tam.

Rzeczywiście, sto metrów od wejścia, czyli zawieszonej w powietrzu szarej płachty, siedzi w kucki jakiś człowiek. Podchodzimy bliżej. Człowiek okazuje się chudym mężczyzną o rzadkich włosach i niezdrowej, bladej cerze.

Przed nim na ziemi siedzi mały rudy lisek.

Można by pomyśleć, że obaj medytują, patrząc na siebie. Ale w odróżnieniu od człowieka lisek nas widzi i gdy podchodzimy zbyt blisko, odwraca się i rzuca do ucieczki.

Człowiek wydaje okrzyk rozczarowania i dopiero potem się odwraca.

Twarz ma bardzo zwyczajną. Z taką twarzą trudno umówić się z

dziewczyną na randkę – nie wyróżnia się z tłumu.

– Więzień Gienadij Kazakow, skazany przez rejonowy sąd miasta… – Mężczyzna zrywa się, zakłada ręce za głowę i zaczyna deklamować wykutą na pamięć formułkę.

Wiem, że dostał wyrok za morderstwo z premedytacją przy wielu okolicznościach obciążających.

– Jestem inspektorem zarządu do spraw nadzoru nad zakładami karnymi – mówię. – Czy ma pan skargi na warunki pobytu?

– Nie mam żadnych skarg – mówi szybko.

W jego spojrzeniu nie ma strachu czy choćby złości na strażników. Jest tylko rozdrażnienie, najprawdziwsze rozdrażnienie człowieka, którego oderwano od bardzo ważnych zajęć dla jakiegoś głupstwa. Niczego więcej w tym wzroku nie ma.

– Chodźmy – mówię do Tomilina.

Zostawiamy Kazakowa w jego „wewnętrznej Mongolii". Podpułkownik zaczyna mówić, gdy tylko wchodzimy do zwykłej celi:

– To jeden z prostszych, ale moim zdaniem dość wyszukany wariant strefy katharsis. Więzień wychodzi na pustynię, która wydaje się bezkresna, ale jest zamknięta; gdyby próbował uciec, wróci do punktu wyjścia. Na pustyni mieszka jeden jedyny lisek, którego można oswoić cierpliwością i łagodnością. W ciągu ostatniego roku nasz podopieczny osiągnął nie najgorsze efekty.

– Bardzo wzruszające. – Krzywią się i tupię, obstukując pantofle z drobnego suchego piasku. – Chociaż więzień Kazakow nie przypomina Małego Księcia. A co będzie potem?

– Gdy już oswoi liska, będzie mógł przynieść go do celi. Zwierzątko da się zupełnie udomowić, będzie spać w jego nogach, biegać między celami nosząc grypsy… nawet zacznie trochę rozumieć ludzką mowę. – Tomilin wygląda na niezadowolonego, ale opowiada z pasją.

– A potem?

– Jest pani bardzo domyślna, Karino. Potem lisek umrze. Kazakow znajdzie go na pustyni, trzy dni po tym, jak lisek przestanie przychodzić do celi. I trudno będzie zrozumieć, czy zwierzątko umarło śmiercią naturalną, czy zostało przez kogoś zabite.

Przystaję. Może to wina sugestywnego głosu naczelnika, a może jestem pod wrażeniem niedawnej sceny, ale widzę to wszystko bardzo wyraźnie. Człowiek klęczący nad nieruchomym ciałkiem zwierzątka. Krzyk, rozpaczliwy i beznadziejny. Palce skrobiące wyschniętą ziemię. I puste oczy, w których nie ma już nic.

Widocznie zdradza mnie twarz.

– To narysowany lisek – mówi z naciskiem pułkownik. – Zwykły program „domowy pupilek" ze spowolnionym instynktem oswajania. Nie warto go żałować. – Waha się przez chwilę, w końcu dodaje: – A

już tym bardziej nie należy litować się nad człowiekiem, który w bestialski sposób zabił własną żonę. Przeżyty szok zmusi go do uświadomienia sobie, czym jest ból straty.

Mam na końcu języka sceptyczne pytania, ale w końcu moje zadanie nie polega na jałowych dyskusjach. Kiwam więc głową, obracam wokół skanerem, ze szczególną uwagą badając zakratowane okno. Tomilina wyraźnie to bawi, ale stara się nie uśmiechać.

Jestem mu za to wdzięczna.

Przechodzimy do trzech kolejnych cel. W jednej więzień śpi, więc proszę pułkownika, żeby go nie budził; mieszkańcy dwóch następnych są w swoich strefach katharsis. Pierwsza to miasto, gdzie nie ma żywego ducha, ale ciągle pojawiają się ślady czyjejś obecności. Domyślam się, że miasto przeznaczono dla jeszcze jednego zabójcy. Druga strefa podejrzanie przypomina symulatory wyścigów samochodowych. Tutaj siedzi kierowca, który po pijanemu spowodował wypadek, raniąc kilka osób. Czyja wiem… Mam wrażenie, że wesoły wąsaty mężczyzna po prostu usiłuje nie wyjść z wprawy.

Zresztą zostało mu już tylko pół roku. Nie sądzę, żeby zdecydował się uciec, nawet gdyby jego potężny kamaz przebił narysowane ogrodzenie i wyjechał na ulice Deeptown.

– Dalej są więźniowie, którzy popełnili przestępstwa gospodarcze – mówi podpułkownik. – Chce ich pani poznać?

Można by pomyśleć, że interesują mnie wyłącznie mordercy i gwałciciele.

– Oczywiście.

– Włamania na serwery, kradzieże informacji stanowiących tajemnicę handlową… po prostu haker – przedstawia pułkownik nieobecnego mieszkańca celi. – Wejdziemy do strefy katharsis?

– Zajrzyjmy – mówię, usiłując nie okazać podniecenia.

Na ekranie detektora nadal płonie zielone światełko – oznacza, że jest czysto. Ale światełko nie odgrywa żadnej roli, jest zmyłką dla każdego, kto zajrzy mi przez ramię.

Niepozorna literka „F” w rogu ekranu niesie znacznie więcej informacji. Tuż obok przechodzi kanał przebity na ulice Deeptown.

Co za wspaniały pomysł – ukarać hakera zamknięciem w wirtualności!

0011

Ta strefa katharsis to jedna z klatek wieżowca. Trochę brudno, przed drzwiami leżą gumowe wycieraczki. Dlaczego wycieraczki zawsze mają takie ponure kolory? Żeby nikt ich nie ukradł?

– Najtrudniej zresocjalizować człowieka, który popełnił przestępstwo gospodarcze – oznajmia nagle pułkownik. – Rozumie to pani, Karino?

– Niezupełnie.

– Proszę się zastanowić – ożywia się. – Dam pani przykład.

Medycyna leczy najstraszniejsze choroby: ospę i dżumę, a wobec banalnego kataru jest bezsilna. To samo dotyczy przestępstw gospodarczych: kradzieży danych, nielegalnego użytkowania pirackich programów. Oczywiście, możemy schwytać i ukarać tego, kto złamał prawo. Ale jak go przekonać, że nie należy tak postępować?

Przede wszystkim, wyroki są zwykle nieduże, brakuje więc czasu na pracę z takim człowiekiem…

Czy mi się zdawało, czy w głosie Tomilina zabrzmiał żal?

– Po drugie, niełatwo przekonać człowieka, że jego działanie jest amoralne. Dekalog okazuje się niewystarczający. Powiedziano nie kradnij. Ale czy on coś ukradł? Przecież tylko kopiował informacje. Czy ucierpiał od tego konkretny człowiek? Owszem. Ale jak wyjaśnić prowincjonalnemu programiście, że Bill Gates ucierpiał od nielegalnego użytkowania windows home albo że Enya potrzebuje procentów od sprzedaży swoich płyt?

Zerkam na Tomilina ze zdumieniem. Nie spodziewałam się, że słucha Enyi. Tacy jak on powinni słuchać muzyki raz w roku – na koncercie z okazji Dnia Milicji.

– Ale mimo to nie poddajemy się – mówi Tomilin z dumą.

Wchodzimy po schodach, pułkownik leciutko popycha każde drzwi. W końcu jedne ustępują.

Wchodzimy.

Przeciętne mieszkanie. Czysto. Nawet dziwnie czysto, biorąc pod uwagę rozlegające się głosy dzieci.

– To mieszkanie przeciętnego rosyjskiego programisty – oznajmia uroczyście Tomilin, zniżając głos. – On nazywa się Aleksiej, ma żonę Katierinę, córkę Dianę, syna Artioma. Imiona, wiek, charakter – wszystko to stworzono na podstawie dużej grupy reprezentatywnej. To absolutnie standardowy programista.

Z trudem powstrzymuję się od śmiechu, ale bez słowa kiwam głową.

– Aleksiej pracuje w firmie Siódmy Projekt, zajmującej się wydawaniem i instalacją gier komputerowych – ciągnie pułkownik.

Ale hakerzy włamali się do serwera i ukradli najnowszą grę, nad którą programiści pracowali pięć lat. Gra wyszła na dyskach pirackich, firma jest na krawędzi bankructwa.

Wchodzę za Tomilinem do pokoju. Opinię na temat gry, którą tworzy się pięć lat, zachowuję dla siebie.

A oto i nasz programista. Chudy, nieogolony okularnik garbi się na taborecie przed komputerem, na monitorze widać linijki kodu komputera. Sądząc z zachowania Tomilina, Aleksiej nas nie widzi. Ma inne problemy. Właśnie położył rękę na ramieniu chłopca i tłumaczy mu:

– Pamiętam, synku, że obiecaliśmy ci rower, ale mnie i mamie jest teraz bardzo ciężko. Ukradli nam grę, którą opracowywaliśmy bardzo długo, i nie płacą nam pensji.

– Ale wszyscy w mojej klasie mają rowery… – marudzi chłopiec.

– Jesteś już duży i powinieneś sam zrozumieć – odpowiada poważnie standardowy rosyjski programista. – Umówmy się, że na Nowy Rok kupimy ci łyżwy, dobrze?

Najważniejsze to zachować powagę. Nie mogą parsknąć śmiechem, bo wyjdę z roli. Zresztą to niełądnie, w końcu dla chłopca to tragedia!

– Dobrze, tato – zgadza się standardowe dziecko standardowego programisty. – Wiesz co, pomogę ci odbudować program! Szybciej ułożysz nową grę!

– Dobrze, synku. I jeśli jej nie ukradną, kupimy ci rower!

– To specjalna psychodrama – szepcze mi na ucho Tomilin. Terapia wstrząsowa.

Nie wiem czemu, ale przypomina mi się stary film, jeszcze z czasów komunistycznych. Rzecz dzieje się w obozie pionierskim, na scenie dzieci śpiewają piosenkę Na pylistych ścieżkach odległych planet… a dyrektor obozu pochyla się do ważnego gościa i szepcze…

– Tę piosenkę Gagarin śpiewał w kosmosie! – mówię głośno.

Słowo daję, wyrwało mi się!

Twarz Tomilina zmienia się prawie nieuchwytnie. Uśmiech rozbłyska i natychmiast gaśnie.

Wcale nie jesteś taki nieskomplikowany, towarzyszu pułkowniku!

Ale teraz nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Odezwałam się zbyt głośno i z fotela rozlega się poirytowane chrząknięcie. Fotel skrzypi (ciekawe, dlaczego nieszczęsny standardowy programista męczy się na taborecie, skoro są inne meble?), a nad oparciem pojawia się najpierw połyskliwa łysina, a potem szerokie bary.

– Ach! – wzdycha posiadacz łysiny, odwracając się.

Byczysko z tego hakera, nie ma co.

Chociaż wcale nie jest taki gruby i przysadzisty, jak mi się wydawało. Po prostu jest… szeroki. Więzienne ubranie ledwie się na

nim dopina, widać włochatą pierś.

– Więzień Anton Stiekow – mówi haker niedbale, ale bez ociągania. Zakłada ręce za głowę. – Skarany…

– Skazany – poprawia go nagle Tomilin.

– Skazany, skazany – zgadza się haker. – Z artykułu 272 część pierwsza Kodeksu Karnego Rosji…

Na nosie hakera tkwią okulary w cienkiej oprawce. Albo szkła są bardzo grube, albo ma takie wypukłe oczy.

Gdy haker wygłasza swoją formułkę, ja próbuję zrozumieć, co on tutaj robił. Czyżby słuchał rozmowy standardowego programisty ze standardowym dzieckiem?

W końcu do mnie dociera. W kącie cichutko mamrocze telewizor – stareńki samsung. Haker po prostu oglądał wiadomości!

– Jestem inspektorem nadzoru – mówię. – Więźniu Stiekow, ma pan jakieś skargi?

– Mam – mówi haker, zerkając na naczelnika.

– Słucham.

– Pilot nie działa – wzdycha Stiekow i pokazuje pilota od telewizora. – Ja wszystko rozumiem, jeśli to ma być częścią kary, to niech zostanie. Ale może to po prostu przeoczenie?

– Coś jeszcze? – pytam i mocniej stukam obcasem w podłogę.

Maleńki termit zmierza w stronę więźnia.

– Nic – odpowiada haker. – Traktowanie jest w porządku, jedzenie dobre, pościel zmieniają regularnie, raz w tygodniu łaźnia.

– Sprawdzę, czy da się coś zrobić… z pilotem.

Tomilin czeka z kamiennym wyrazem twarzy.

– Czy mogę wrócić do odbywania kary? – pyta Stiekow.

Spodziewam się ze strony naczelnika jakiejś reakcji, ale nic takiego nie następuje. Opuszczamy hakera, wychodzimy na klatkę schodową, potem do celi.

– Chłopak usiłuje się trzymać – zauważa niespodziewanie Tomilin. – Więzienie w wirtualności to dla hakerów najbardziej nieprzyjemna kara. Przebywać w Głębi i jednocześnie nie mieć żadnych możliwości złamania programu…

Kiwam głową i nagle rozumiem, co wzbudziło moją czujność.

Artykuł 272, część pierwsza. Resocjalizacja przez pracę od sześciu miesięcy do roku, pozbawienie wolności na okres do dwóch lat.

– Jaki dostał wyrok?

– Pół roku.

– Ile mu jeszcze zostało?

– Niecałe dwa miesiące.

Nie rozumiem. Nawet jeśli haker znalazł sposób wyjścia z wirtualnego więzienia, to po co tak ryzykować? Zostało mu tak niewiele!

– Kontynuujemy obchód? – pyta Tomilin.

Powinnam obejrzeć kilka innych cel, choćby dla zmylenia Tomilina. Patrzę na zegarek.

– Mam jeszcze dwadzieścia minut. Kontynuujmy. Skupmy się na przestępstwach komputerowych, dobrze?

Deep Przed oczami wiruje kolorowa mozaika. Albo próbuje ułożyć się w obrazek, albo się rozsypuje. Miecz rycerza, zbroja, wyciągnięta dłoń, grzebień ze szlachetnymi kamieniami, jaszczurka na murze…

Ale ja wiem, że w tej układance brakuje najważniejszego elementu.

Enter.

Zdjęłam hełm, rozpięłam kołnierz kombinezonu. W pokoju jest ciemno, rano zapomniałam odsłonić zasłony…

Przeciągając się słodko, zawołałam:

– Mamo! Tato! Już jestem!

Zza drzwi dobiegły jakieś niezrozumiałe słowa, zagłuszone muzyką. Tylko kłopot z tymi moimi rodzicami! Jak włączą swoją Maszynę czasu czy inne dinozaury, to koniec!

– Nie słyszę! – krzyknęłam.

Makarewicz, lider zespołu, zafrasowany niemożnością zmienienia świata, przycichł.

– Córeczko, będziesz jadła kolację? Nałożyć ci? – spytała mama, podchodząc do drzwi.

– Idę, idę – powiedziałam, wyskakując z kombinezonu. – Zaraz!

Drżąc pod zimnym prysznicem – idealny sposób, żeby dojść do siebie po Głębi – przewinęłam w pamięci więzienie, Tomilina i hakera Antona.

Coś tu nie gra. Zdecydowanie.

Wyskoczyłam spod prysznica, wytarłam się, wrzuciłam ręcznik do pralki. Włożyłam stare, przetarte na kolanach dżinsy i starą koszulę – kiedyś nosiła ją mama, strasznie ją lubię.

– Karina!

– Idę – mówię, otwierając drzwi. – Przecież powiedziałam, że zaraz…

Tata już był w domu. Siedział przy stole, zerkając jednym okiem na telewizor. Nie zapomniał zapytać:

– Ukochane miasto?

– Może spać spokojnie. [Fraza z popularnej pieśni, pochodzącej z filmu Istrebitieli (Myśliwce) (1939 rok), oznaczająca, że wszystko jest w porządku i nie ma powodów do niepokoju (przyp. tłum.).] – Klapnęłam na swój przydziałowy taboret. – Tato, wyobraź sobie, że siedzisz w więzieniu…

– Nie chcę – odpowiedział od razu tata.

– Ale spróbuj. Wsadzili cię na pół roku za włam do serwera i wyhaczenie pliku…

– Karina! – Tata wieloznacznie postukał widelcem w talerz.

– Za bezprawny dostęp do chronionej przez prawo informacji komputerowej, które to działanie pociągnęło za sobą skopiowanie informacji – wytłumaczyłam z irytacją.

– Wyobraziłem sobie – mówi tata. – Właśnie teraz. I co dalej?

Oczywiście, nie powinnam omawiać z rodzicami takich kwestii. Ale wielu rzeczy nie powinnam. Na przykład zostawiać żuczków na Tomilinie…

– Dali ci pół roku w wirtualnym więzieniu…

– Całe szczęście, że nie czapę – mruknął tata. Pochwycił pełen wyrzutu wzrok mamy i uśmiechnął się.

– Pół roku – kontynuowałam nieugięcie. – Cztery miesiące już odsiedziałeś i nagle znalazłeś sposób, żeby wydostać się z więzienia. Możesz robić wypady do Deeptown, ale jeśli się wyda, wlepią ci jak za zwykłą ucieczkę. Powiedz, spacerowałbyś sobie w takiej sytuacji po Deeptown?

– To ciągle ta twoja amerykańska praktyka? – zapytał niewinnie tata.

– To nie praktyka, przecież wróciłam tydzień temu… – zaczęłam, ale szybko się zorientowałam, że ojciec żartuje. Staż w Stanach Zjednoczonych przechodziłam w wirtualności, chociaż bardzo liczyłam na prawdziwą podróż. I każdego wieczoru musiałam wysłuchiwać dowcipów o cudach techniki: „Co, nasza córeczka już wróciła ze Stanów? No proszę, jakie te samoloty teraz szybkie!” – Tato, ja mówię poważnie!

– Nie jestem prawnikiem – powiedział skromnie tata. – Ani nawet więźniem.

– Tato…

Ojciec zamyślił się.

– Może bym i uciekł – powiedział w końcu. – Gdybym miał jakiś ważny powód. To nasz haker?

– Pytam abstrakcyjnie – mówię, kłując kotlet widelcem.

– Ja też. To abstrakcyjny rosyjski haker?

– Aha.

– W takim razie może być zakochany, może chcieć wyskoczyć, żeby napić się z kumplami piwa, albo zwiać dla wygłupu.

– A jeśli to haker amerykański?

– Amerykański pewnie obrabia banki, korzystając z niepodważalnego alibi – stwierdza z przekonaniem tata. – Dlaczego by nie?

Znaleźć się w więzieniu z minimalnym wyrokiem i uczciwie

odsiadując karę, zajmować się poważnym biznesem…

– Karina, pięć minut minęło – przypomniała mama.

Moi rodzice są w porządku, ale zasada, że przy stole nie mówi się o pracy, a jeśli już, to nie dłużej niż pięć minut, jest bardzo surowo przestrzegana. Lepiej się nie spierać.

– Okropnie mnie traktujecie, zobaczycie, że ucieknę – oznajmiłam i podsunęłam Kleopatrze, szczurkowi mamy siedzącemu na jej ramieniu, kawałeczek kotleta. Kleo powąchała kąsek, ale nie wzięła.

– Nie paś biednego stworzenia – powiedziała surowo mama.

– Kiedy przyprowadzisz do domu młodego człowieka i powiesz „odchodzę", będziemy szczęśliwi – dodał ojciec.

– Przypomnę wam to – obiecałam złośliwie.

– Wirtualni młodzieńcy się nie liczą – uściśliła mama.

To naprawdę fajnie, gdy rodzice też są programistami. I to nie takimi standardowymi jak w „wewnętrznej Mongolii" Antona Stiekowa. Ale czasem chciałabym, żeby bardziej przypominali rodziców niż starsze rodzeństwo. Zresztą, rodzeństwo też bym chętnie miała…

– Wyrosłam już z tych chorób wieku dziecięcego – powiedziałam. – Mam dwadzieścia sześć lat i jestem starym szczurem z wiwarium MWD. W wirtualności niech się zakochują małolaty.

– Karina! – zwrócił łagodnie uwagę ojciec.

– Nie wiesz, co to małolaty?

– Karina!

– Pryszczate nastolatki! – Rzuciłam widelec tak, że Kleo na ramieniu mamy drgnęła. Zanim wyszłam z kuchni, otworzyłam lodówkę i złapałam karton z mlekiem.

– Nie pij zimnego! – upomniała mama.

– Podstaw pod cooler, niech się zagrzeje – poradził ojciec.

– Tato? – zagadnęłam zgryźliwie, idąc do swojego pokoju.

– Pod wentylator ochładzający procesor centralny – poprawił się szybko tata, ale ja już byłam za drzwiami.

0100

Nie znoszę, kiedy ktoś próbuje ułożyć mi życie!

Przecież gdybym była mężczyzną, nikt by się nie dziwił, że w wieku dwudziestu sześciu lat zajmuję się karierą, zamiast krzątać po kuchni. Istne średniowiecze! Każdy krewny próbuje mnie z kimś poznać i umówić, a rodzice tylko zacierają ręce.

Mam jedną dobrą przyjaciółkę, chociaż w realu nigdy się nie widziałyśmy. Nazywa się Natasza, jest Rosjanką, ale mieszka w Australii, wyjechała tam z rodzicami jako dziecko. Dwa lata temu dyskutowałyśmy o tym, kiedy najlepiej wyjść za mąż i czy w ogóle warto to robić. I tak się jakoś złożyło, że Natasza wspomniała o seksie lesbijskim. Trochę pogadałyśmy na ten temat i postanowiłyśmy spróbować – a nuż coś nam z tego wyjdzie? Tak się świetnie dogadujemy, to może uda nam się założyć wspaniałą rodzinę? Nie zwlekając, poszłyśmy do jakiegoś barku w Deeptowne, wypiłyśmy butelkę szampana i spróbowałyśmy się pocałować. Cmoknęłam Nataszę w usta i nagle mnie to strasznie rozbawiło…

Dosłownie pokładałyśmy się ze śmiechu. Gdy tylko próbowałyśmy zachowywać się poważnie, jak przystało na zakochane kobiety, wystarczyło, że na siebie popatrzyłyśmy, i znowu zaczynałyśmy rechotać. Zero romantyzmu. Wypiłyśmy więc jeszcze trochę szampana i zawarłyśmy znajomość z chłopakami siedzącymi przy sąsiednim stole.

Moim zdaniem rodzina to przeżytek ery przedwirtualnej. Ale rodzicom nigdy tego nie wytłumaczę.

Pijąc chłodne mleko prosto z kartonu, zerkałam na monitor i rozmyślałam o kwestii mieszkaniowej, która w naszym kraju zawsze wszystko utrudnia. Chciałam pomyśleć o czymś przyjemnym. Na przykład, że zdemaskuję bandę wirtualnych przestępców i dostanę premię tak dużą, że kupię mieszkanie. Albo wygram na loterii domek, limuzynę i jacht… co już jest znacznie bardziej prawdopodobne.

Na ekranie zamrugał panel Taczka. Kolumny zapiszczały.

Ładne rzeczy!

Zerwałam się i podskakując na jednej nodze, wcisnęłam na siebie kombinezon. Na monitorze już rozwinęła się mapa Deeptown, po której spokojnie płynął zielony punkcik. Haker Anton Stiekow opuścił słynne wirtualne więzienie i paradował po mieście.

Mam kilka punktów wejścia do Głębi. Teraz zdecydowałam się na portal w centrum rozrywki, nie najlepszy, ale za to na trasie hakera. Wkładając hełm, próbowałam sobie przypomnieć, jakich używam tam ciał. Zdaje się, że wybór nie jest duży…

Deep Enter

Zrywam się z łóżka w wąskim jak kiszka pokoju. Otwieram szafę, na haczykach wiszą dwie dziewczyny. Jedna wulgarna, wymalowana do granic możliwości, w idiotycznej staromodnej kiecce. Druga młodziutka, w czymś takim można by iść na młodzieżową dyskotekę…

A co mam teraz na sobie?

Całkiem sympatyczna dziewczyna, figura mocna, ale sportowa.

Ujdzie. Taka powinna spodobać się Stiekowowi.

Zapinam na ręce piszczący skaner wyglądający jak zegarek i wychodzę z pokoju…

…prosto na przezroczystą podłogę olbrzymiego wieżowca, obok sunących w przezroczystych szybach przezroczystych wind. Budynek jest cały ze szkła, tylko wynajęte pokoiki ciemnieją jak krople miodu w plastrach. Nigdy nie zbudują takiego wieżowca w naszym świecie…

Wskakuję do usłużnej windy i kabina z niesamowitą szybkością spada z nieba na ulice Deeptown. Osoby cierpiące na lęk wysokości uprasza się o zachowanie spokoju…

Skaner piszczy radośnie, strzałka na ekranie łagodnie skręca.

Haker nie wziął taksówki, po prostu idzie sobie ulicą.

Nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Tak szybko i z taką łatwością odkryć złamanie prawa! A przecież to zadanie powodowało zawrót głowy – pierwsza inspekcja w pierwszym wirtualnym więzieniu! Nie mogłam zrozumieć, dlaczego powierzyli je właśnie mnie, dlaczego nie wysłali brygady doświadczonych programistów – przecież mamy prawdziwych magików, rozebraliby to więzienie na bajty, nawet nie wchodząc do Głębi. A towarzysz podpułkownik i jego podopieczni nawet by nie zauważyli, że leżą na szkiełku pod mikroskopem…

Wtedy przychodzi mi do głowy bardzo niedobra myśl.

Wyjątkowo nieprzyjemna, naprawdę.

Skąd pewność, że tak nie jest? To przecież typowe zagranie do obiektu kieruje się niedoświadczonego pracownika, „łosia", a prawdziwi zawodowcy działają cicho i niezauważalnie…

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Wychodzę z windy i prawie wpadam na Antona Stiekowa.

Słowo daję, co za bezczelność!

Więzień paraduje ulicą w swoim prawdziwym obliczu, nawet się nie przebrał! Korzysta z tego, że wirtualne więzienia to nowe zjawisko i o ucieczkach z nich jeszcze nikt nie słyszał.

Idę za hakerem, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Skontaktować się z policją Deeptown? Mam przecież numer identyfikacyjny pracownika MWD Rosji, muszą udzielić mi wsparcia. A może śledzić Stiekowa? Obserwacja zewnętrzna to wprawdzie nie moja działka, ale…

Karino, opamiętaj się! – przywołuję się surowo do porządku. Nie baw się w policjantów i złodziei, jesteś ekspertem, a nie pracownikiem operacyjnym!

To wszystko prawda, ale nadal idę za Stiekowem, przeklinając samą siebie i wspominając raporty psychologów: „U ludzi od dziecka przebywających w Głębi dostrzega się daleko posunięty infantylizm psychiczny i skłonność do hazardu…" Mimo wszystko nadal śledzę Stiekowa…

Na szczęście nie trwa to długo.

Haker pewnym krokiem podchodzi do stolików małej kawiarenki na świeżym powietrzu. Z naprzeciwka idzie wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Istny wiking… pewnie w prawdziwym życiu jest małym grubaskiem…

Stiekow i nieznajomy obejmują się na powitanie, coś sobie mówią. Usiłuję wyglądać swobodnie, siadam przy sąsiednim stoliku.

Wyłączam dźwięk w skanerze, starczy tego popiskiwania.

Co za brak profesjonalizmu… Nie uczono mnie śledzenia.

Ale tamci chyba na mnie nie patrzą.

Jasnowłosy gość woła kelnera, kupuje od niego paczkę biełomorów i oddala się. Idzie jakoś tak niepewnie, czyżby pijany? Wpada na mnie i mamrocze:

– Wybacz, ptaszyno…

– Leć dalej, sokole – rzucam bez zastanowienia, moja rola podpowiada mi styl zachowania.

– Jak chcesz, ptaszyno. – Jasnowłosy obdarza mnie dobrodusznym spojrzeniem i oddala się.

Dobrze byłoby śledzić również jego, ale nie mam przy sobie żuczków, zresztą mogłabym go spłoszyć.

A Stiekow przy sąsiednim stoliku swobodnie dopija zostawioną przez wikinga kawę. Uśmiecha się do mnie, wstaje i podchodzi.

– Przepraszam, mogę się przysiąść?

Tego się nie spodziewałam. Z jednej strony – powinnam się ucieszyć, ale z drugiej…

– Spróbuj – odpowiadam. Bezpośrednia ze mnie dziewczyna, przy tym szczera i niezależna.

– Zamówić pani kawę? – pyta Stiekow. Zauważam, że obok stoi kelner, czekając, aż złożymy zamówienie. Najwyraźniej program.

– Bo ja wiem… – Coraz bardziej wychodzę z roli. Zachowanie Stiekowa nie pasuje do jego ucieczek z więzienia. – Zamów – zezwalam w końcu. – Bez mleka i bez cukru. Coś ty taki wystrojony?

Najlepszą formą obrony jest atak.

– Wystrojony? – dziwi się haker. – To zwykły strój więźnia.

– Po co go włożyłeś? – kontynuuję. O rany, zaraz mi powie, że uciekł z więzienia!

– Żeby zwracać na siebie uwagę. – Stiekow uśmiecha się jakoś dziwnie… jakby uśmiech należał do innego człowieka. – Wie pani, że w Głębi pojawiły się więzienia?

– Nie – odpowiadam szybko. – A jeśli nawet, to co?

– Nie szokuje to pani? – Stiekow zdejmuje okulary, spogląda na mnie bynajmniej nie krótkowzrocznymi oczami.

– Na świecie jest mnóstwo więzień…

– Na świecie owszem – wyjaśnia cierpliwie Stiekow. – Tam można spotkać wiele rzeczy. Na przykład wojny i inne świństwa.

Ludzie mają zdumiewającą cechę: całe swoje draństwo muszą wszędzie ciągnąć ze sobą… Poznajmy się. Nazywam się Czyngis.

Co za imię sobie wymyślił!

– Ksenia – rzucam bez namysłu. – Można mówić Ksiusza.

Imię nie budzi wewnętrznego protestu. Krzepka, bezceremonialna dziewczyna to typowa Ksiusza. Pewnie lubi trawkę i starego rocka…

– I bardzo dobrze. – Czyngis kiwa głową. – Ma pani kilka wolnych godzin?

– Zależy na co – precyzuję.

– Na spacer – mówi poważnie Stiekow. – Jest pani w Głębi od dawna, prawda? Powiedziałbym, że od czternastego roku życia.

– A ile mam teraz? – pytam zaciekawiona. Rzeczywiście zgadł.

– Dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć. – Stiekow nawet nie czeka na potwierdzenie. – Widzi pani, Ksiuszo, Głębia ma duży wpływ na zachowanie człowieka. Mając pewne doświadczenie, można określić, od jak dawna człowiek wchodzi do wirtualnego świata.

Kelner przynosi kawę. Upijam łyk i kokieteryjnie kiwam głową.

– Zaciekawiłeś mnie. Przejdźmy się.

Grzęznę w rozmowie coraz głębiej. Powinnam łapać hakera na gorącym uczynku, a ja flirtuję… Ale przecież nie mam możliwości zadzwonienia na policję, prawda? Wszystko dzieje się zbyt szybko…

Stiekow znowu zakłada okulary, wstaje i macha ręką, zatrzymując taksówkę. A ja przelotnie zerkam na okienko skanera.

Strzałka wskazuje w stronę więzienia. Ale na pewno nie na Stiekowa!

– Cholera! – krzyczę, zrywając się z miejsca. Filiżanka spada ze stolika na kamienne płyty chodnika i z brzękiem rozpada się na kawałki. Fałszywy Stiekow odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Coś się stało, Ksiusza?

Milczę. Mam ochotę się rozpłakać. Skończona kretynka! Jak prosto i elegancko mnie załatwili! „Leć dalej, sokole!” Wystarczyło tylko ruszyć głową…

– Niech pani tak tego nie przeżywa – fałszywy Stiekow ujmuje mnie za łokieć. – Proszę mi wierzyć, nic strasznego się nie stało.

– Gdzie on jest? – krzyczę.

– Tocha? Myślę, że już w więzieniu.

– Rozumie pan, że został pan wspólnikiem? – pytam. – Proszę wziąć pod uwagę, że nasza rozmowa jest nagrywana i…

– W dalszym ciągu podtrzymuję zaproszenie na spacer. – Fałszywy Stiekow nie wygląda na przestraszonego. – Przy okazji, nie zastanawiała się pani, Ksiuszo, dlaczego wirtualne więzienie umieszczono w Deeptown?

Milczę. Wszystko diabli wzięli, spłoszyłam przestępcę, zawaliłam inspekcję…

– Przecież więzienie mogło sobie stworzyć oddzielną przestrzeń wirtualną – kontynuuje fałszywy Stiekow. – I nie dopuścić do żadnych ucieczek, nawet teoretycznie!

– Myśli pan, że te szychy na górze to rozumieją? – odpowiadam i w myślach łapię się za głowę. Co ja robię? Dyskutuję z przestępcą, obmawiam zwierzchników!

– Rozumieją. To co, jedziemy?

Rozglądam się. Nieopodal, przy skrzyżowaniu, stoi policjant.

Zwykły policjant Deeptown, silny, o sympatycznej, szczerej twarzy.

Biały mundur, blacha z numerem. Na pasie kabura z pistoletem, kajdanki, radiostacja. Wystarczy tylko krzyknąć i mój rozmówca zostanie aresztowany. Nie będzie miał żadnego ruchu.

Ale już wiem, że nie zawołam policjanta. Stiekow zadał to samo pytanie, które dręczyło i mnie.

Dlaczego więzienie nie zostało odizolowane?

Odpowiedź może być tylko jedna.

Żeby było dokąd uciekać.

0101

Taksówka kręci się po Deeptown, posłuszna wskazówkom fałszywego Stiekowa. Na pierwszy rzut oka nie ma w tym błądzeniu żadnego systemu, ale orientuję się, że co chwila przeskakujemy z rosyjskiego sektora do japońskiego, chińskiego, niemieckiego i amerykańskiego.

Stiekow próbuje zmylić ewentualnych prześladowców. Prymitywne, ale skuteczne. Oczywiście, jeśli nie śledzą nas na poziomie prowajdera.

Mój rozmówca myśli o tym samym.

– Którędy wchodzisz, Ksiusza?

– Nie jestem Ksiusza – mówię, olewając konspirację. Do diabła z tym wszystkim… – Nazywam się Karina.

– A ja rzeczywiście Czyngis. To którędy?

– Moskwa Online.

– Aha… – mówi z wyraźnym zadowoleniem. Nie kryjąc się, wyjmuje pager i wystukuje list, nie patrząc na klawiaturę.

Czyżby miał pomocników wśród prowajderów?

A czemu nie? Moskwa Online to jedna z najbardziej popularnych kompanii. Jeśli Czyngis jest poważnym człowiekiem, a na takiego właśnie wygląda, mógł zawczasu zdobyć przyjaciół w najpopularniejszych i największych firmach.

– Proszę się zatrzymać przy pomniku Ostatniego Spamera – komenderuje Czyngis kierowcy-programowi.

Znam to miejsce. Był w Głębi taki zawód – spamer. W epoce przedwirtualnej spamerzy wysyłali listy reklamowe, tak zwane spamy, z jednorazowych adresów; u zarania Głębi zaczęli działać inaczej. Tworzyli prościutkie programy, nadawali im wygląd czarujących młodzieńców i sympatycznych dziewczyn, którzy chodzili po ulicach Deeptown i zaczepiali każdego, pytając: „Przepraszam, czy słyszał pan już tę wspaniałą wiadomość? Otworzono świetny burdel, nazywa się Namiętność Intelektualna…”

Likwidowano ich długo i z zapałem. Strzelała do nich policja, uganiali się za nimi prowajderzy… Ale ostatecznie pokonano spamerów dopiero wtedy, gdy wydano licencje osobom prywatnym.

Pojawił się nowy zawód – łowca spamerów. Gdy ludzie się zorientowali, że polowanie na nieproszonych akwizytorów jest bardziej intratne niż sama akwizycja, liczba spamerów gwałtownie spadła.

Na pamiątkę zwycięstwa wzniesiono pomnik, przedstawiający młodego człowieka o idiotycznym uśmiechu, wytrzeszczonych oczach i z plikiem ulotek w ręku. Spamerzy nie zniknęli całkowicie, pojawiają

się jeszcze od czasu do czasu, ale przestali być plagą. Zwłaszcza że nagroda za odstrzał spamera nie została zniesiona…

Taksówka zatrzymuje się przy skwerku, na którym stoi wiecznie młody spamer. Na schodkach przed pomnikiem ludzie piją piwo, rozmawiają i nikt nikogo nie zadręcza radami, jak najlepiej stracić pieniądze i czas…

Czyngis wyskakuje z samochodu pierwszy i otwiera mi drzwi.

Pozostawiam tę galanterię bez komentarza. Znajdujemy własną ławeczkę i Czyngis błyskawicznie leci do kiosku po piwo. Nad kioskiem wisi wyblakły plakat reklamowy: Tylko dzisiaj piwo Lodowy Orzeł za darmo!

Plakat wisi tu, odkąd pamiętam.

I zawsze wyglądał na podniszczony.

– Co chce mi pan powiedzieć? – pytam, otwierając piwo. I proszę pamiętać, że wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu…

– Karino, nie ma pani nic przeciwko temu, że zmienią ciało? – pyta Czyngis.

Milczą, nic nie rozumiejąc.

A Czyngis jakby zasnuwa się migoczącą mgłą i po chwili zamiast wielkiego, włochatego Antona Stiekowa pojawia się tamten jasnowłosy przystojniak.

Gdy w kawiarni Czyngis zamienił się ciałami z Antonem – nie zdziwiłam się, to mogło zostać zaprogramowane wcześniej. Czyngis czekał na swojego przyjaciela i komp zareagował na jego zbliżenie się. Zwyczajny zestaw, używany przez każdego szanującego się hakera.

Czyżby powtórna wymiana ciał również została wcześniej przygotowana?

Łatwiej uwierzyć właśnie w to – bo w przeciwnym razie Czyngis musiałby być nurkiem.

Tą legendarną postacią, która może wychodzić z wirtualnego świata, kiedy zechce. Człowiekiem, który przez cały czas zdaje sobie sprawę z iluzoryczności otoczenia. Wystarczy, że zapragnie, a skwer wokół niego przemieni się w zwykły trójwymiarowy obrazek. Może zdjąć hełm, wybrać komendę na klawiaturze i zmienić swoją postać. Może, patrząc na narysowany Deeptown, dostrzec słabe miejsca kodu programowego.

Może wiele rzeczy… jeśli tylko nurkowie naprawdę istnieją.

– Jestem nurkiem – oznajmia Czyngis. – Jeśli sądzisz, że zostało to wcześniej przygotowane, powiedz tylko, kim mam się stać.

Kręcę głową. Jeszcze mi tylko maskarady brakowało. W końcu to nie Wenecja.

– Prawdziwy Stiekow to też nurek? – pytam.

To by wyjaśniało, w jaki sposób wydostał się z więzienia.

– Nie. To haker. Bardzo dobry haker… – Czyngis uśmiecha się i dodaje: – Jedyny człowiek, który jest jednoczesnym członkiem UGI, HZO i ULG.

– Przecież oni nie dopuszczają jednoczesnego członkostwa protestuję tępo.

– Ale Tocha występuje pod różnymi nazwiskami – wyjaśnia Czyngis. – Zresztą to nie ma nic do rzeczy.

– Ma! – sprzeciwiam się. – Jak taki doświadczony haker mógł dać się złapać na drobnym włamie? Oglądałam jego akta… popełnił najgłupsze błędy! Nie mówiąc już o tym, że samo przestępstwo jest śmiechu warte. Wyczyszczenie bazy telefonicznej na trzysta czterdzieści trzy ruble i szesnaście kopiejek!

– No cóż, Szura Bałaganow [Aluzja do bohatera groteskowej powieści rosyjskich pisarzy Ufa i Piętrowa Złote cielą (przyp. tłum.).] w swoim czasie wpadł na kradzieży taniej puderniczki – odpowiada zagadkowo Czyngis. Bałaganów… Nazwisko wydaje się znajome, ale nie mogę sobie przypomnieć kontekstu. Pewnie jakiś legendarny haker. – Ale masz rację, Karino. Tocha wpadł specjalnie.

– Po co?

– Żeby go aresztowano – odpowiada Czyngis z precyzją i bezpośredniością typowego programisty. – Jeszcze musiałem dać łapówkę, żeby go skazali, a nie ograniczyli się do grzywny.

– Czemu? – wykrzykuję znowu.

– Żeby go wsadzili do wirtualnego więzienia – wyjaśnia cierpliwie Czyngis. – I żeby potem zaczął z tego więzienia wychodzić na spacery po Głębi. Specjalnie tak topornie przebiliśmy kanał.

– Chcecie zdyskredytować sam pomysł wirtualnego więzienia? – olśniewa mnie. Mój rozmówca kiwa głową. – Czyngis… to przecież nie ma sensu!

Gorączkuję się i wiem o tym. Powinnam najpierw wysłuchać Czyngisa do końca. Ale tak bardzo chcę go przekonać, żeby pozbyć się wrażenia własnej niepotrzebności.

– Czyżby fakt istnienia więzienia w Deeptown był dla pana aż tak nieprzyjemny? – pytam. – Wszyscy kochamy Deeptown, ale proszę wziąć pod uwagę, że swoim wstrętem i niechęcią wobec przestępców spycha pan tych ludzi na margines życia.

– Co ma do tego wstręt? – dziwi się Czyngis. – Ja też jestem przestępcą, jeśli pani nie zapomniała…

– W takim razie dlaczego jest pan przeciwnikiem więzienia?

Pański przyjaciel poświęcił wolność, żeby walczyć z wirtualnym więzieniem! Czy ta sprawa warta jest takich ofiar?

– Karino, dlaczego więzienie podlega MWD, a nie ministerstwu sprawiedliwości, tak jak być powinno?

– Projekt powstał jako areszt śledczy dla osób, które popełniły

przestępstwo w Głębi – odpowiadam. – Prowadzenie śledztwa w samym Deeptown było wygodne. Teraz areszt przemieniono w więzienie, ale dopóki trwa faza eksperymentu, zakład nadal podlega MWD.

Mnie też zdziwiło, że nie odizolowano go od Deeptown, ale…

– Karino, czy wie pani, w jaki sposób ludzie stają się nurkami?

– Nie… – patrzę na niego jak zahipnotyzowana. Jeśli zaproponuje mi…

– Stres. Silne emocje. Wstręt. Strach. Nienawiść. Tęsknota. Czyngis odchyla głowę i patrzy na bezchmurne niebo. Nad tym skwerkiem niebo zawsze jest czyste, to nie słynna Le quartier des Pluies w sektorze francuskim… – Rzadziej zachwyt i radość. Znacznie rzadziej… Nigdy nie zwróciła pani uwagi, że w języku jest znacznie więcej określeń smutku niż radości? Chandra, tęsknota, żal, spleen, melancholia…

– No i co z tego?

– Oni prowadzą eksperymenty z ludźmi, Karino. Próbują stworzyć nurków.

– Jacy „oni”?

– Nie wiem. Jacyś mądrale z MWD. Już wcześniej, gdy chcieli, zawsze umieli znaleźć nurków, szczególnie wtedy, gdy mieli oni własną organizację, Radę Nurków. Prosili, żeby coś dla nich zrobić, w czymś pomóc, i zwykle im nie odmawiano. Widocznie teraz okazało się, że to za mało. Świat wirtualny stał się istotną częścią naszego życia. Jest tutaj wszystko: banki, instytuty, korporacje, bazy wojskowe i sztaby. A to znaczy, że potrzebni są informatorzy, agenci, szpiedzy. Nurkowie. Ci, których udało się znaleźć i skłonić do współpracy, nie wystarczają. Dlatego MWD próbuje stworzyć własnych.

Silne emocje?

Przypominam sobie zabójcę, usiłującego oswoić liska.

„A potem lisek umrze”.

Katharsis, panie pułkowniku?

Hakerzy, zamknięci bez dostępu do swoich ukochanych komputerów, w dodatku zamknięci w wirtualności! Zabójcy i gwałciciele, nieuczciwi biznesmeni, piraci drogowi…

– Wszyscy wiedzą, że więzienie znajduje się w Deeptown i marzą o tym, żeby się z niego wyrwać choć na chwilę – mówi Czyngis. A oni fundują im stres po stresie. Mogą to sobie nazywać psychoterapią, ale jej celem jest przemiana człowieka w nurka.

– Jakie ma pan dowody? – pytam.

– Nieoficjalne. – Czyngis uśmiecha się. – I nie zdradzę swoich informatorów. Ale proszę się zastanowić: oprzyrządowanie dla jednego więźnia warte jest około pięciu tysięcy dolarów. Utrzymanie cztery tysiące rocznie. Skąd nagle taka hojność MWD?

– Ludzie o… o niezwykłych zdolnościach – unikam określenia „nurek”, bo to tak, jakbym nagle uwierzyła w Babę-Jagę i świętego Mikołaja – są naprawdę potrzebni. I byłoby wspaniale, gdyby te umiejętności mógł zdobyć każdy chętny.

– W swoim czasie hitlerowcy zamęczyli w obozach tysiące jeńców, ale dzięki ich bestialstwu naukowcy uzyskali cenne dane. Karino, komu mam tłumaczyć, że eksperymenty na ludziach są przestępstwem? Pracownikowi MWD?

Jest bardzo poważny.

– I czego pan chce od pracownika MWD? – pytam. – Pomocy?

– Najpierw niech mi pani powie, czy zgadza się pani ze mną.

Może po prostu nie chce się pani kłócić? – pyta Czyngis.

– A jeśli skłamię?

– Niech pani powie prawdę.

Co za śmieszna prośba!

„Niech pani powie prawdę!”

W Deeptown, gdzie każdy ma tysiące twarzy, każdy wymyśla sobie nową biografię i nowe nazwisko. Gdzie wymysł jest bardziej potrzebny niż prawda.

A Czyngis patrzy tak, jakby nie miał żadnych wątpliwości, że faktycznie powiem mu prawdę.

– Mnie też się to wszystko nie podoba – mówię. – Ale co mogę zrobić? To, co pan mówi, pachnie spiskiem na skalę państwową!

Wie pan, kim jestem? Rok temu skończyłam studia. Specjalność przestępstwa w sieci. I ni z tego, ni z owego powierzono mi tę inspekcję… Usłyszałam, że są poważne wątpliwości co do hermetyczności więzienia. I to wszystko! Napiszę raport, moje zwierzchnictwo puści go w ruch… Ale jeśli nakaże ktoś z góry, raport wyląduje w koszu. Nikt nie będzie mnie słuchał.

– To nie jest potrzebne. – Czyngis uśmiecha się i wyciąga do mnie ręce. – Niech mnie pani aresztuje, Karino.

– Pan zwariował! – odsuwam się odruchowo.

– Proszę mnie aresztować! – mówi z naciskiem Czyngis. – Nie pogrążymy samego projektu, ale podniesiemy szum wokół więzienia. Ja i Tocha wyjdziemy z tego z wyrokiem w zawieszeniu, ma pani moje słowo. Mam dobrych adwokatów… i wszystko przemyślałem.

Ale to będzie koniec więzienia. Gazety zaczną się rozpisywać o historii z ucieczką, obywatele podniosą krzyk… Więzienie zostanie zamknięte albo usunięte z Deeptown.

– Nie mam prawa pana aresztować!

– To proszę wezwać policję!

Cały czas wyciąga ręce w moją stronę, jakby czekał na szczęk kajdanek na nadgarstkach.

– Niech pan przestanie… – mamroczę.

– Przecież tego pani chciała, Karino! Marzyła pani, żeby schwytać zbiega! No to proszę łapać!

Zrywam się z ławki, cofam. A Czyngis pada przede mną na kolana. Jego zachowanie jest mieszanką szczerości i błazenady.

– Błagam panią! Proszę, żeby spełniła pani swój obowiązek.

Proszę aresztować przestępcę!

– Niech pan przestanie, Czyngis! Dość tej zgrywy!

Małolaty pod pomnikiem zaczynają bić brawo. Z boku pewnie wygląda to na wyznanie miłości: jasnowłosy rycerz skłania się przed piękną damą…

Wzdrygam się, gdy dociera do mnie, co mi to przypomina.

– Pomogę pani – mówi Czyngis. – Nie chciałem tego, ale…

Wsuwa rękę pod połę marynarki i wyjmuje połyskliwy pistolet.

A chwilę później za moimi plecami rozlega się trzask i twarz Czyngisa zalewa krew. Jasnowłosy wiking pada na ziemię.

0110

Dawno nie prosiłaś mnie o radę – stwierdził tata.

Siedzieliśmy w kuchni, piliśmy herbatę. Mama spała, nie budziłam jej. Ojca też bym nie budziła, ale wstał, gdy wyszłam z pokoju.

– Przecież nie wchodzisz do Głębi – mruczę.

– Kiedyś wchodziłem – odparł ojciec.

– To dlaczego przestałeś? – spytałam, mieszając herbatę. Zawsze piję bez cukru, ale z uporem wkładam łyżeczkę. Szybciej stygnie.

Niejednokrotnie pytałam ojca, dlaczego stroni od wirtualności.

To przecież świetny programista, a żyje jak w epoce kamienia łupanego, korzysta wyłącznie z poczty elektronicznej.

– Miałem niezły biznes – odparł ojciec. Po raz pierwszy mi odpowiedział! – A potem… potem musiałem się przekwalifikować na administratora.

Nie drążyłam tematu. Widocznie ojciec pracował na jakimś wyspecjalizowanym systemie operacyjnym, potem przestali z niego korzystać, a on nie zdążył się w porę przekwalifikować.

– Co było dalej? – zapytał tata.

– Dalej… dalej przyjechała policja. Ściągnęli skanery, wzięli trop… podobno strzelano z czegoś nielegalnego, drugiej generacji.

Musieli mu porządnie uszkodzić kompa. Zaczęli szukać strzelca, ale gdzie tam…

– Ciebie nie podejrzewali?

– Nie… Obszukali, ale przecież nic nie miałam.

– A pistolet Czyngisa? – zapytał ojciec.

– Zapalniczka. – Spuściłam wzrok. – Zwykła zapalniczka. Pajac…

Tata westchnął i zerknął w ciemne okno. Po ulicy przejechał autobus, sunąc światłami po mokrym asfalcie. Pewnie nowy, tak cicho jechał…

– Karinko, zastanówmy się nad tym… Po pierwsze, jak sądzisz, czy ten Czyngis nie kłamał o więzieniu?

– Myślę, że nie – wyznałam. – Coś tu śmierdzi. Nasi nie szastaliby taką forsą! Nawet żeby popisać się przed zagranicą.

– Dobrze… – Tata spojrzał na mnie niepewnie i spytał szybko: – Masz jeszcze papierosy?

– Skąd? – Wytrzeszczyłam oczy.

– Karino…

– No dobra, tato, zaczekaj…

Rzadko palę, ale paczkę rothmansów zawsze mam w torebce. Zamknęliśmy szczelnie drzwi od kuchni i zapaliliśmy. Jakoś tak głupio palić razem z ojcem… Ostatni raz podobnie niezręcznie czułam się,

gdy miałam dziesięć lat i rodzice mnie kapali. Nic wtedy nie powiedziałam, ale ojciec nigdy więcej nie wszedł do łazienki, gdy się myłam.

– Po drugie, nurkowie są indywidualistami – powiedział tata. W znacznie większym stopniu niż hakerzy. Nie przypuszczam, aby zdecydowali się na walką o powszechną sprawiedliwość, ale o zachowanie własnej wyjątkowości… owszem…

Zaczęły mi płonąć uszy. Też o tym pomyślałam… Przystojniak Czyngis może mówić, co chce, ale jeśli pokopać głąbiej, zawsze wychodzi na jaw czyjś interes.

– Ty też wierzysz w nurków, tato? – Uniosłam brwi.

– Wierzę, Karino. Po trzecie – ojciec popatrzył mi w oczy – jeśli za wirtualnym więzieniem kryje się jakiś tajny projekt państwowy… Córeczko, na co ci to potrzebne? Nawet stuknięci na punkcie praw jednostki Amerykanie… A co dopiero u nas.

– Dostałam zadanie – przypomniałam. – I muszę napisać raport.

– To napisz. Miałaś obowiązek użyć żuczków?

– Tak. Jak inaczej obserwować personel?

– No i jak tam personel?

– Odbębnia służbę – wzruszyłam ramionami. – Ściąga pornosy z sieci. Gra na kompie.

– No i pięknie. Stwierdzono nieregulaminowe pełnienie służby… czy jak to się tam mówi. Przecież nie musiałaś puszczać żuczków na więźniów. I to wszystko! Nie wolno poświęcać własnego życia w imię abstrakcyjnej sprawiedliwości!

– Tato, nie znałeś przypadkiem jakiegoś Czyngisa?

Tata pokręcił głową.

– Nawet jeśli znałem, to nie zapamiętałem. Nie martw się. Mam wrażenie, że jesteś mu bardziej potrzebna niż on tobie. Karino?

Zerwałam się, otworzyłam drzwi od kuchni i zaczęłam nasłuchiwać. W moim pokoju smętnie dzwoniła komórka.

– Zaczekaj chwilę, tato.

Jeszcze mi tylko nocnych telefonów brakowało. W pracy nie dawałam nikomu numeru komórki, w ogóle niewiele osób go znało…

– Słucham! – powiedziałam, łapiąc za telefon.

– Cześć. Przerwano nam, Karino.

Czyngis!

W każdym razie to jego głos.

– To nie ja strzeliłam – powiedziałam szybko.

– To wiem. Karino, musimy się spotkać.

– Zaraz wejdę. Gdzie?

– Nie, lepiej w realu… – Czyngis roześmiał się. – Mam nadzieję, że do prawdziwych strzałów nie dojdzie, a w Deeptown mogliby nam znowu przerwać. Mogę przyjechać do ciebie, jeśli wolisz.

Nawet nie pytałam, skąd wziął mój adres. Pewnie z tego samego miejsca co telefon.

– Lepiej na neutralnym terenie – stwierdziłam. – No… gdzieś…

– Ulica Pasieczna – zaproponował Czyngis.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem. Zaraz sprawdzę, czy taka ulica w ogóle istnieje…

Owszem, istnieje. Ulica Pasieczna pięć, odpowiada ci?

– Dobrze. – Nie wahałam się. – Wyjeżdżam od razu, do zobaczenia.

– Okej – powiedział wesoło Czyngis. – Na razie.

Rozłączyłam się i spojrzałam na monitor – oczywiście numer abonenta się nie wyświetlił, zastrzeżony. Cóż, jak będzie trzeba, to się go znajdzie…

– Teraz, zaraz?

Ojciec wszedł za mną do pokoju i wszystko słyszał.

– Zabronisz? – spytałam wyzywająco.

– Nie. – Ojciec pokręcił głową. – Nie, Karino. Nawet mi to do głowy nie przyszło.

Popatrzyłam na niego z zaciekawieniem. W dzieciństwie wiedziałam dokładnie, że kocham mamę i tatę i że na świecie nie ma nikogo lepszego od nich. Potem… sama nie wiem, kiedy przestałam się nad tym zastanawiać. Nie przestałam ich kochać, ale nie myślałam już takimi kategoriami.

– Używać slangu mi zabraniacie, ale jak chcę iść nie wiadomo gdzie, to proszę bardzo?

– Oczywiście. Dlatego że sama wszystko rozważyłaś i podjęłaś decyzję. Dlatego że to twoja praca, czy mi się to podoba, czy nie. A slang… Wybacz, ale to dziecinada.

– Czy to źle jeśli w człowieku jest coś z dziecka? – pytam przekornie.

– Dziecko nie tam powinno zostać, córko. I głupi byłby ten ojciec, który by się nie cieszył, że jego dzieci dorastają.

– Dzięki, tato… Wiesz, mimo wszystko bardzo cię kocham.

Ojciec popatrzył na mnie zdumiony, potem zerknął na zegarek.

– Wpół do dwunastej… Naprawdę teraz pojedziesz?

– Pojadę – powiedziałam twardo. – Nie będę wzywać grupy wsparcia. I tak się nie pojawią, to nie Ameryka.

Ale najpierw wyjęłam z sejfu pistolet.

A potem poszłam do kuchni i wzięłam papierosy.

W samochodzie, grzejąc silnik, wyjęłam ze schowka mapę Moskwy i zaczęłam szukać ulicy o sympatycznej nazwie Pasieczna. Starą „dziesiątkę” podarował mi trzy lata temu ojciec, gdy kupił sobie koreańskie daewoo, produkowane w Uzbekistanie. Jeździłam tą dziesiątką z przyjemnością, nigdy nie lubiłam metra. Ale i tak Moskwa

stanowiła dla mnie małe plamki wokół kilkunastu stacji i kilka tras, którymi stale jeździłam – do pracy, do supermarketu, a latem na działkę albo nad Jezioro Niedźwiedzie…

Jak w Deeptown. Tam też człowiek zna jedynie kilka ulubionych miejsc, pozostałe oglądając z okna taksówki. I nie wiadomo, czy to prawdziwe dzielnice, czy tylko narysowane dekoracje, zasłaniające plakat miejsce na sprzedaż.

Powoli wyjechałam z parkingu i skręciłam w bezludną uliczkę.

Deszcz padał coraz mocniej, duże krople bębniły w przytulone do poboczy samochody.

Dziwne. Coraz bardziej zaciera się różnica między Głębią a realem.

Przestrzenie w przestrzeniach… Gdyby jakiś złośliwy żartowniś cierpiał na nadmiar pieniędzy i czasu, mógłby stworzyć dla mnie wirtualny świat – kopię Moskwy. Prawdziwej Moskwy, tej, w której bywam. Kilkanaście sklepów, kilka mieszkań, ze dwa krajobrazy…

Nawet nie musiałby zawracać sobie głowy teatrami, konserwatoriami czy bibliotekami. Zresztą one i tak już istnieją w wirtualności.

No proszę, zaczęło się! Kiedyś nazywano to deep psychozą, potem mawiano, że ktoś ma nierówno pod matriksem, teraz używa się niewinnego eufemizmu – „zabłądził". Tak się mówi o tych, którzy zaczynają mylić real i Głębię, którzy zaczynają wątpić, że żyją w prawdziwym świecie.

Bzdura… To niemożliwe. Człowiek na pewno zauważyłby podmianę. To prawda, że kursuję prawie wyłącznie między dwoma punktami – dom i praca, ale otacza mnie sporo ludzi. Na urządzenie takiego spektaklu mogłaby się porwać jakaś solidna organizacja, a niejeden złośliwy żartowniś. A po co byłabym potrzebna organizacji?

Ale humor już mi się popsuł. Zaczęłam się rozglądać podejrzliwie na boki, w rezultacie źle skręciłam i nadziałam się na drogówkę. W dodatku milicjant okazał się uczciwy i wypisał mi mandat. Za to potem, wręczając pokwitowanie, szczegółowo wyjaśnił, jak powinnam jechać.

Dzięki temu dwadzieścia minut później byłam już przed domem numer pięć na ulicy Pasiecznej. Wjechałam na chodnik i wyłączyłam silnik.

Dziwna sprawa. Załóżmy, że przyczepił mi żuczka… albo znalazł mnie jakoś inaczej. A ja nie zdołałam się o nim niczego dowiedzieć.

I ot tak, z marszu, tajemniczy Czyngis zdecydował się na randkę.

Ciekawe, jak on naprawdę wygląda. Zwykle tacy barczyści przystojniacy w realu są chudzi i przygarbieni, albo grubi i niezgrabni.

Rekompensata. W świecie wirtualnym człowiek zawsze sobie coś rekompensuje. Brak kontaktów towarzyskich, niedostatki cielesne,

ewentualnie psychiczne. Już wolę, żeby Czyngis okazał się niepozorny, ale czarujący.

Za chwilę wszystkiego się dowiem.

Wysunęłam z drzwi parasol, otworzyłam go, wysiadłam z samochodu i włączyłam alarm. Rozejrzałam się. Wszystko się zgadza, tam jest dom numer trzy, a tu numer pięć. Zauważyłam, że w jednym z nocujących na ulicy samochodów siedzą ludzie i dyskutują. Żarzy się czerwony ognik papierosa, słychać pojedyncze słowa…

Jest takie pojęcie – syndrom ofiary, używane, gdy dana osoba sama prowokuje do popełnienia przestępstwa. Żadnej dziewczynie nie radziłabym podchodzić nocą do samochodu, w którym siedzi dwóch facetów.

Ale w końcu jestem pracownikiem MWD! Czego innym nie wolno, ja powinnam zrobić.

– Przepraszam… – Zastukałam w szybę samochodu. Porządny wózek, coś dużego, a jednocześnie nie merc czy bmw. – Czyngis?

Szyba łagodnie opadła w dół, cofnęłam rękę. W samą porę z okna wyjrzał siedzący obok kierowcy człowiek.

– Tak, Karino. Niech pani wsiądzie.

O mało nie ugięły się pode mną nogi. To był Czyngis.

Taki sam jak w wirtualności.

Prosto z Deeptown.

Brakowało jedynie dziurki w czole.

Zaczęłam już myśleć, że zabłądziłam – przyznałam się, zapalając papierosa.

Czyngis skinął głową, schował zapalniczkę. Siedział na przednim siedzeniu, miejsce kierowcy zajmował chłopaczek mniej więcej szesnastoletni, który rzucił mi ponuro „siemanko" i więcej się nie odzywał.

– Zdarza się. Wszyscy się tego czasem boimy – odparł poważnie Czyngis. Miał dziwny sposób mówienia, jakby ciągłe czegoś nie dopowiadał. To trochę złościło, a trochę intrygowało. – Inaczej sobie panią wyobrażałem, Karino.

– Spodziewałeś się zobaczyć starą zołzę?

– Nie, ale kogoś bardziej… – Zamyślił się. – Bardziej pewnego siebie i twardszego. Karino, czy pani wie, że ta misja to manewr odwracający uwagę?

– Przyszło mi to do głowy – wyznałam. – Więc co się właściwie dzieje? I skąd macie te informacje?

Drugie pytanie Czyngis po prostu zignorował, ale na pierwsze udzielił szczegółowej odpowiedzi.

– Fenomen nurków badało kilka struktur państwowych, od MWD i bezpieczeństwa państwowego aż do policji podatkowej oraz ministerstwa pracy i komunikacji elektronicznej. Gdy okazało się, że te zdolności nie podlegają prognozowaniu, że nie można się ich nauczyć, znaczną część badań zlikwidowano. Ale wtedy włączył się przypadek: MWD miało w Głębi areszt śledczy. Kilka razy zatrzymanym udało się stamtąd wyjść do Deeptown; przejawiali przy tym zdolności nurka. I w czyjejś mądrej głowie zaświtał pomysł: przemiana następuje, gdy człowieka postawi się pod ścianą. Zaczęto więc rozwijać eksperyment na wielką skalę. Informacje przesączyły się na górę organizacji i rozgorzał spór. Bezpiece podoba się sama idea uzyskania stada kontrolowanych nurków, ale nie są zachwyceni, że stracili inicjatywę. Ci od podatków oraz urzędnicy z ministerstwa nie życzą sobie żadnych nurków… może przez konserwatyzm, a może rozumieją, że na dłuższą metę nie sposób utrzymać dżina w butelce. W samym MWD również doszło do konfliktu interesów…

A ciebie skierowano do więzienia, żeby wywołać lekką panikę. Twój serwer jest jednocześnie sprawdzany z realu.

– W takim razie macie sprzymierzeńców.

– Zachowaj nas Boże od takich sprzymierzeńców! – odparł Czyngis pół żartem, pół serio. – Zdeptaliby nas przypadkiem i nawet nie zauważyli. Karino, Głębia od wielu lat żyje według własnych reguł. Lepiej lub gorzej, ale jakoś sobie radzi. Powstaje w niej nowe

społeczeństwo, ale nikt nie niszczy starego. Głębia bierze z realnego świata tylko to, co jest jej potrzebne. To swego rodzaju anarchia i jak każdy twór anarchistyczny, Głębia jest w opozycji do władzy państwowej. Karino, o tym, co ma się znaleźć w Deeptown, decydują jego mieszkańcy. A więc o tym, czy powinny się tu znaleźć więzienia, również powinniśmy zdecydować my.

– Czyngis, nie chodzi przecież o więzienie. Chodzi o pojawienie się nowych ludzi. Homo virtualis, człowiek sieciowy, łączący w sobie dwa światy: rzeczywisty i wirtualny, równie wolny w obu tych światach.

– Karino, jeszcze nie nadeszła na to pora. Nie wolno sadzać na rowerze dziecka, które nie nauczyło się chodzić.

– Czyngis, czy to czasem nie zazdrość? A może lęk nurków przed utratą swojej wyjątkowości?

– To nie zazdrość i nie strach.

Zamilkliśmy. Chłopak za kierownicą sapał, przełączając stacje radiowe. Echo Moskwy, Srebrny Deszcz, Retro… To samo, co w Głębi.

Pod pewnymi względami świat realny i wirtualny zlały się w jedność.

Ciekawe swoją drogą, jak w naszych czasach udało się przetrwać radiostacjom. Tym bardziej w Głębi. Przecież człowiek bez trudu może sobie ściągnąć wszystkie ulubione kawałki, zamiast polegać na guście prowadzących audycje. Ale nadal słuchamy radia, krzywimy się, kiedy puszczają disco, złościmy, trafiając na kolejną reklamę, skaczemy ze stacji na stację… i słuchamy.

Może najważniejsza jest przynależność? Świadomość, że właśnie teraz, razem z tobą, tę samą piosenkę nuci tysiące innych ludzi?

Wszyscy jesteśmy indywidualistami, jesteśmy wyjątkowi i niepowtarzalni – ale sami przed sobą możemy się przyznać, jak trudno czasem być samemu.

Chłopak przestał w końcu błądzić po eterze i zatrzymał się na stacji, gdzie właśnie kończyła się piosenka.

I teraz wiem, że za drzwiami do lata
Jest miejsce dla tych, co przetrwali mroźne zimy.
Te drzwi są wszędzie, i spójrz proszą na to
Nie mają zamka, tylko napis „Zapraszamy”.
Znalazłem je, idąc do piekła piechotą,
Pomógł jak zwykle zbieg okoliczności,
I taksie włóczę to do lata, to z powrotem.
Bo ciągłe lato też nie daje ci radości…

– Karino? – zapytał Czyngis, gdy wykonawca przestał śpiewać.

Nie zadał pytania, ale i tak wszystko było jasne. Mam się określić,

zająć stanowisko.

– Kto do ciebie strzelał? – pytam.

– Ktoś mający dostęp do Geranium.

Wiedziałam, co to takiego Geranium. To nasz, rosyjski program.

Atakuje kompa, wpasowując się do protokołu sieciowego. Dysponuje nim Deeptown i struktury MWD.

– Czyngis, ja nie mogę nic zrobić – mówię. – Nie złamię prawa, zrozum. A w ramach prawa… Nawet jeśli przedstawię swoją opinię… Kto się nią zajmie? Sam powiedziałeś, że wykorzystali mnie do przeprowadzenia manewru odwracającego uwagę. Ani ciebie, ani Antona nie zaaresztuję, zresztą to akurat wyjdzie wam na dobre. Dokonując wirtualnej ucieczki, twój przyjaciel naraża się na to, że mu wlepią poważny wyrok… Słuchaj, a skąd to dziwne nazwisko?

– Stiekow? Przez całe życie nazywał się Stiekłow, ale kiedyś zgubił paszport, a w elektronicznej kartotece nastąpiła jakaś dziwna awaria i nowy dokument wydali mu na nazwisko Stiekow. – Czyngis zamilkł, a po chwili dodał: – Karino, nie proszę o coś nierealnego. Jedyne, czego potrzebujemy, to społeczny rezonans. Szum. Zainteresowanie prasy. Jeśli informacje wyjdą ode mnie czy innej osoby prywatnej, nikt nie zwróci na to uwagi, uznają to za wymysły prasy brukowej. Ale jeśli oficjalna osoba z MWD…

Czy on naprawdę nie rozumie?

– Czyngis, przecież sam powiedziałeś: Głębia żyje według własnych zasad. Tworzy nowy świat, nie niszcząc starego. A ty prosisz, żebym pomieszała dwa światy! Żebym działała w Głębi, stosując metody realu! Mówisz, że tobie nie uwierzą? Że obywatele Deeptown nie oburzą się, gdy usłyszą o eksperymentach nad więźniami? Widocznie tak powinno być. Każde społeczeństwo ma taki rząd, na jaki zasługuje.

Czyngis skinął niechętnie głową.

– Wypowiedz przynajmniej swoje zdanie – poprosił.

– Jestem przeciwna temu, co się dzieje – powiedziałam szczerze. – I mam nadzieję, że projekt zakończy się fiaskiem. Umieszczę swoją opinię w raporcie, ale nie będę prała brudów na ulicy.

– Uczciwe postawienie sprawy – przyznał Czyngis. – Dziękują.

Zerknęłam na zegarek. Już druga, a przede mną jeszcze pół godziny drogi…

– Idę. Miło było… pogadać.

– Przepraszam, Karino. – Czyngis zerknął na mnie posępnie. Chwytamy się każdej możliwości, najbardziej fantastycznych wariantów. Termin tuż-tuż, dzisiaj szanowny pułkownik Tomilin zamierza przeprowadzić pierwsze seanse terapii szokowej.

– I stworzyć pierwszych nurków?

– Tak.

Zawahałam się chwilę i wysiadłam z samochodu. Deszcz przestał padać, było rześko i cicho. W okolicznych domach paliły się w oknach tylko pojedyncze światła.

– Na razie, na razie – pożegnał się grzecznie chłopaczek za kierownicą. Idąc do swojego samochodu, usłyszałam, jak spytał Czyngisa: – Co teraz, jedziesz się pożalić Lońce, czy grzejemy do tych pismaków?

Chyba nurek rzeczywiście nie ma czasu, skoro gotów jest całą noc krążyć po mieście, jeżdżąc od znajomych do dziennikarzy, próbując znaleźć jakieś wyjście.

Nagle przyszło mi do głowy pewne zabawne porównanie, aż się uśmiechnęłam. Dzielny rycerz chce pokonać smoka, ale okazuje się, że to smok państwowy, na utrzymaniu króla, troskliwie hodowany na wypadek wojny z sąsiadami, obwieszony orderami i medalami.

Rycerz więc, nie ryzykując wyciągnięcia miecza, biega po podwórcu, prosi o pomoc faworytów i faworytki, dyktuje pisma doradcom, skarży się pokojowym, pije z heroldami i oburza się w czeladnej.

Jakże to tak? Przecież to smok! Smoki trzeba zabijać!

Smok. Wszystko się zgadza. Rycerza szkoda, no i zwierz niebezpieczny, ale jeśli interesy państwa tego wymagają…

Gdy ruszałam z Pasiecznej, moi rozmówcy – jeśli chłopaczka można uznać za rozmówcę – już odjechali. Po drodze do domu zobaczyłam znajomego milicjanta, który nadal dzielnie pełnił służbę.

Jakie to wszystko naiwne. Czyngis… nurek mi się spodobał i byłam skłonna przyznać mu rację. Ale nie można liczyć, że jeden człowiek zdoła pokonać państwo. Albo że zdoła je przekonać.

Deep Enter

Mozaika rozpada się i układa na nowo. Mrugają kolorowe światełka – to Głębia tasuje swoje puzzle.

Ciekawe, jak odbierają to nurkowie?

Czy to tak, jakby pojawił się na swoim miejscu ten ostatni kawałek puzzli, którego nie udało mi się znaleźć? Który oddzielał rycerza od księżniczki?

Nie wiem. I nie jestem pewna, czy chcę się dowiedzieć.

Wychodzę z domu. Ten punkt wejścia ma wygląd starej altanki w parku. Park jest zbyt piękny, zbyt malowniczo zaniedbany… Nie ma takich w prawdziwej Moskwie, może nawet na całym świecie.

Idę dróżką wysypaną czarnym piaskiem. Jeśli pójdę na prawo, dojdę do drogi z żółtej cegły. Na lewo – do ruchomej ścieżki. Jeśli zawrócą – park się skończy i ścieżka wejdzie w stary las, po którym wałęsa się beztroski Tom Bombadil i gdzie od czasu do czasu można nawet spotkać hobbita.

Każdy z nas tworzy własny kawałek Głębi. Kreuje świat i daje go innym. Cudza Głębia nie przeszkadza twojej. Więzienie też jej nie zaszkodzi, w końcu na świecie są więzienia. Czyngis niepotrzebnie panikuje…

Ale i tak jest mi ciężko na sercu.

Mijam Starego Susła – sympatyczną kawiarnię w stylu retro, miejsce spotkań bohemy, choć niezbyt popularne. To znaczy, powinnam minąć, ale zatrzymuję się i zdecydowanie podchodzę do drzwi. Spałam krótko, nie jadłam śniadania, napiłam się tylko maaloksu. Nieżyt żołądka to jedna z chorób zawodowych mieszkańców Deeptown, podobnie jak „zabłądzenie".

Stary Suseł to przystań rosyjskich obywateli Głębi. Jest dość wcześnie, więc nie ma wielu gości. Siadam przy wolnym stoliku, zamawiam jajecznicę na szynce, sok pomarańczowy i tosty.

A kto mi bronił zjeść to samo w realu?

Przy sąsiednim stole tkwi malownicza parka, interesujący jest zwłaszcza jeden z rozmówców, który przybrał postać bliźniąt syjamskich, chłopca i dziewczyny, zrośniętych bokami. Usta otwierają się synchronicznie, gestykulacja jest wspólna… Niezbyt wyszukana maska, włożona przez kogoś, kto lubi zwracać na siebie uwagę. Syjamski bliźniak, mocno wstawiony, gardłuje na całą kawiarnię:

– No powiedz, czy Chelicery ci się nie podobały?

Jego niepozorny rozmówca opędza się ze zmęczeniem:

– Podobały, Aloszka, podobały…

– I co? Fakt, wszyscy mówią, że im się podobały… A recenzje czytałeś?

– Czytałem…

– Przyznaję, jedną trzecią napisałem sam – mówi samokrytycznie bliźniak. – Jedną trzecią przyjaciele, ale reszta jest prawdziwa.

– Prawdziwa…

– I co, za mało przerobiłem tych z drugiej strony? Już prawie nie widać, skąd im wyrastają nóżki, wszystko stało się absolutnie integralne!

– Kto nie widzi, to nie widzi, niektórzy widzą bardzo dobrze mruczy rozmówca, próbując skoncentrować się na jogurcie.

– No to powiedz, co jest nie tak? Wszystkich konkurentów rozniosłem w pył, przejechałem się po nich jak buldożer. Buldożery nie boją się błota, ha, ha! Taką intrygę namotałem, że finał w ogóle nie jest potrzebny! Czego brakuje?

– Duszy – pada odpowiedź.

Uśmiecham się mimo woli i odwracam, żeby nie peszyć syjamskiego cudu. Zabawne miejsce ten Stary Suseł.

Zdanie zapada w pamięć. Syjamski bliźniak tymczasem żąda wyjaśnień, co to takiego dusza i jak można ją zarejestrować.

Właśnie, gdyby jeszcze nauczyli się rejestrować duszę… Co za wspaniałe możliwości dla służb państwowych!

Kelner przynosi moje zamówienie. Parująca, lekko spieczona jajecznica, podana na patelni, z przezroczystymi skwarkami i delikatnymi plastrami bekonu. Sok ze świeżych owoców – jak mawia pewien mój znajomy, aż widać, jak skaczą w nim witaminy.

– Czegoś brakuje? – pyta grzecznie kelner.

– Duszy – odpowiadam odruchowo.

– Przepraszam, ale nie ma tego w menu – mówi kelner.

Zaskoczona, podnoszę na niego wzrok.

Jednak program.

– Dziękuję – mówię. – Wiem.

– Coś jeszcze?

Waham się. Właściwie nie ma sensu jechać do wirtualnego więzienia. Materiałów do raportu mam pod dostatkiem, a wcale nie chcę poznawać efektów eksperymentów…

Niech sobie Czyngis lata po Moskwie w poszukiwaniu sprzymierzeńców! To sprawa nurka. A ja jestem zwykłym pracownikiem MWD i nie mam zamiaru wkładać palca między resorty i poszczególne szychy – takie zachowanie szkodzi zdrowiu.

– Proszę mi zamówić taksówkę do rosyjskiego sektora Deeptown – mówię mimo wszystko.

1000

Tym razem wpuszczają mnie niemal od razu. Nie kryjąc się, strażnik dzwoni do Tomilina, meldując o moim przybyciu.

Przez podwórko prowadzi mnie młody wartownik o wyglądzie inteligenta; łatwiej wyobrazić go sobie w drogim garniturze za biurkiem w poważnej firmie niż w mundurze sierżanta z pistoletem u boku.

Dzisiaj wewnętrzne podwórko więzienia nie jest puste, więźniów wyprowadzono na spacer. Moje pojawienie się wywołuje znajomą reakcję – obmacują mnie oceniające, chciwe spojrzenia. Słyszę poszczególne zdania, szczegółowo omawiające moje nogi, ręce, piersi…

Widocznie żadna „wewnętrzna Mongolia" nie daje możliwości zaspokojenia podstawowego instynktu. Ciekawe, jak sobie dali z tym radę? Wyobrażam sobie, jak haker Stiekow próbuje objąć standardową żonę standardowego programisty, a ona rozpływa się w powietrzu… albo przemienia w obrzydliwą, zieloną ropuchę.

A jednak reakcja więźniów jest zbyt słaba. Kobieta w zakładzie zamkniętym to wydarzenie, to święto na kilka tygodni. Tutaj zaś spora część więźniów nie reaguje w ogóle, a pozostali nakręcają się jakby odruchowo. A przecież nie występuję dziś w ciele ponurej inspektorki, tylko Kseni – dziewczyny dość interesującej.

– Nie ma z nimi problemów? – pytam wartownika, mijając plac spacerowy.

– Są spokojni – przyznaje wartownik.

Jakby na potwierdzenie jego słów dobiega do mnie czyjś zachwycony okrzyk: „No, no, popatrz tylko, jak kręci pupą! Głowę daję, że procesor rytmu kosztował nie mniej niż tysiąc, a kanał to światłowód!"

Aż się potykam.

Czuję się urażona.

Plastyczność Kseni wynika z porządnego projektu, a nie z możliwości kompa!

Wchodzimy na korytarz więzienia i kierujemy się do gabinetu Tomilina. Odliczam piąte okno od wejścia, to tam zostawiłam mojego żuczka…

Już go nie ma.

Okno zostało starannie, wręcz demonstracyjnie wyczyszczone, a dla ewentualnych tępaków na wąskim parapecie zostawiono puszkę z napisem Łozinski. [Aluzja do twórcy jednego z pierwszych programów antywirusowych (przyp. tłum.).] Jak to było w haśle reklamowym? Zabija NAWET NIEZNANE WIRUSY!

Jasne. Delikatna aluzja towarzysza pułkownika.

Ale gdy wchodzę do gabinetu Tomilina (wartownik zostaje na zewnątrz), moja opinia o subtelności aluzji ulega drastycznej zmianie.

Na biurku, obok telefonów, klawiatury, monitora i kilku zdjęć w ramkach, pojawił się niespodziewany element.

Doniczka z geranium.

– Dzień dobry, Karino!

Tomilin uprzejmie wstaje, z galanterią podsuwa mi krzesło.

– Kawy?

– Z Krasnodaru? – Silę się na ironię, ale wychodzi to żałośnie i nieprzekonująco. Nie mogę oderwać wzroku od kwiatka.

Tomilin śmieje się sympatycznie i dobrodusznie, jakby zapraszał, aby przyłączyć się do jego radości. Ludzie, którzy umieją się tak śmiać, są bardzo lubiani w towarzystwie – każdy problem zamienią w zabawną przygodę.

– Nie, Karino. Najzwyklejszą brazylijską. Rozpuszczalną.

– Dziękuję, z przyjemnością – zgadzam się.

Trzeba zachować twarz, kontynuować grę, oddać inicjatywę. To nie szachy, nie kółko i krzyżyk. Ten, kto zrobi pierwszy ruch, zazwyczaj przegrywa.

– W tym ciele podoba mi się pani znacznie bardziej – zauważa Tomilin. Podnosi słuchawką telefonu, rzuca: – Dwie kawy!

I zamiera, wpatrując się we mnie z zainteresowaniem.

– Chciałabym jeszcze raz przejść się po więzieniu – mówię niespodziewanie dla samej siebie. Co właściwie chcę tam znaleźć?

– Proszę bardzo – zezwala Tomilin. – Ale byłoby dobrze, gdyby zakończyła obchód przed drugą.

Co za wersal! Przecież i tak nie mogę zlekceważyć jego rozkazu, nawet w tej uprzejmej formie.

– Oczywiście. – Kiwam głową. – Jakieś plany?

– Tak. Pierwszy seans katharsis. – Tomilin z irytacją macha ręką.- Planowaliśmy go trochę później, ale… okoliczności zmuszają do pośpiechu. Zbyt wielu reakcjonistów… Sama pani rozumie, Karino.

Rozumiem, oczywiście, że rozumiem.

I patrzę na geranium.

– Lubi pani kwiaty, Karino?

– Tak. Oprócz geranium.

– Dlaczego? – Podpułkownik jest szczerze zmartwiony. – A ja bardzo lubię geranium, Karino.

Powtarza moje imię z takim uporem, że w końcu muszę odpowiedzieć tym samym.

– Arkadij, czy nigdy nie pomyślał pan, że trzymanie przestępców w Głębi może prowadzić do nieprzewidywalnych zagrożeń? pytam.

– Zdaje się, że już o tym rozmawialiśmy.

– Mówię o czym innym, Arkadij. Nikt do końca nie wie, jak działa deep program. Nikt nie rozumie, czym właściwie jest Głębia.

Co dzieje się ze świadomością człowieka, przebywającego stale w wirtualnym świecie? Jakie zdolności może zdobyć taki człowiek?

Jak ludzie, znajdujący się w Głębi, oddziałują na samą Głębię?

– Nurkowie… – Tomilin uśmiecha się. – Rozum sieci…

– Chociażby! W każdej legendzie jest ziarno prawdy.

– Legendy tworzą ludzie. – Tomilin wyjmuje papierosy. Ponura kobieta strażnik przynosi kawę, łypie na mnie spode łba i znika za drzwiami. – Ludzie lubią wymyślać sobie różne strachy. To mechanizm obronny, rozumie pani? Lepiej bać się nieistniejącego niebezpieczeństwa i być przygotowanym, gdy nadejdzie. Każde urządzenie bardziej skomplikowane od lampy naftowej zaczyna budzić podejrzenia. Zaczytywała się pani fantastyką, Karino?

– Nie.

– A szkoda. Dawno temu, kiedy nie było jeszcze mowy o wirtualności, gdy komputery były wielkie jak szafy, ludzie zaczęli się bać elektronicznego nadrozumu. Przepowiadano jego pojawienie się w połączonych liniach telefonicznych, w prymitywnych lampowych arytmometrach. Komputery doskonalono, łączono, a rozum się nie pojawiał. Wówczas zaczęto się bać ludzi, którzy potrafią się kontaktować z siecią elektroniczną na innym poziomie, niedostępnym większości, bez żadnych urządzeń wejścia-wyjścia. Ale czas płynął, a tacy ludzie się nie pojawiali. Legendy, Karino, to mechanizm obronny ludzkości. Wszystko, co niezrozumiałe, jest potencjalnie niebezpieczne. Wszystko, co niezrozumiałe, budzi lęk.

– A jeśli takie prawdopodobieństwo istnieje? Choćby potencjalnie? Jeśli ten rozum sieciowy już się pojawił, tylko my nie potrafimy dostrzec jego przejawów? Jeśli nurkowie są, tylko się kryją?

– Jeśli nurkowie są, ale się kryją, to nie stanowią zagrożenia. To jedynie ciekawy fenomen, który można zbadać. – Teraz w głosie Tomilina nie ma cienia ironii. – I niech nasi podopieczni zdobywają ponadnaturalne zdolności. Mamy doskonałe systemy śledzenia, Karino, i od razu stwierdzimy, że dzieje się coś niedobrego. Zorientujemy się, jak to się stało. A fizycznie wszyscy oni znajdują się pod czujnym nadzorem. Nie chce pani odwiedzić ich w prawdziwym świecie?

– To nie należy do moich kompetencji. – Macham ręką. – Arkadij, a co pan powie na sam fakt umieszczenia tłumu przestępców w wirtualnym świecie? Przy założeniu, że świadomość sieci powstaje z osobowości tych, którzy przebywają w Głębi.

– Karino, czy sądzi pani, że w Głębi jest mało bandytów? – pyta poważnie Tomilin. – Co znaczą dwie setki więźniów! Tysiące, dziesiątki tysięcy zabójców, gwałcicieli, terrorystów, handlarzy

narkotyków korzysta codziennie ze świata wirtualnego! Oto, kto tworzy Głębię! A wszystkie próby ich okiełznania… Wie pani, że kiedyś próbowano wprowadzić międzynarodowy program WSTYD?

Kręcę głową. Nie pamiętam.

– Miał wyśledzić przestępców, szukając słów kluczy w listach elektronicznych – wyjaśnia Tomilin, krzywiąc się. – A handlarzy pornografią na podstawie różowego koloru ciał na filmach wideo… I wie pani, co się stało? Pojawiła się nowa moda: każdy, najbardziej nawet niewinny list pisano na różowym tle i dołączano hasła w rodzaju: „Nie terroryzmowi! Materiały wybuchowe precz! Narkotyki to nie nasz wybór, kupujcie jogurt!" Pół roku później program wycofano. Nie można kontrolować wszystkiego… Obrońcy swobód obywatelskich triumfowali, a przestępcy nadal hulają swobodnie w Głębi. Zalegalizowano burdele, stworzono elektroniczną marihuanę i heroinę, wymieniano się planami zamachów terrorystycznych…

Nie słyszałam tej historii. W głosie Tomilina dźwięczała prawdziwa gorycz człowieka, który musiał ustąpić przed niesprawiedliwością.

– W nowym wirtualnym świecie potrzebne są nowe możliwości walki z przestępczością – mówi nagle. – Zaskakujące, rewolucyjne, które dałyby zasadniczą przewagę siłom ochrony porządku.

Nie zgadza się pani z tym, Karino?

Już sama nie wiem, z czym się zgadzam, a z czym nie. Czyngisowi powiedziałam prawdę – środki stosowane przez Tomilina nie budzą mojego zachwytu. Ale cele… cele są bardzo szlachetne.

– Przygotowała pani raport, Karino? – pyta Tomilin, nie doczekawszy się odpowiedzi na poprzednie pytanie.

– Zajmę się tym wieczorem. Pozwoli pan, że teraz zajrzę do więźniów?

Tomilin zmęczony przymyka oczy. Nietknięta kawa, doniczka z geranium, fotografie… Nagle spostrzegam, że to zdjęcie mężczyzny i kobiety w podeszłym wieku. Pewnie rodzice pułkownika, a nie, jak przypuszczałam, żona i dzieci…

– Oczywiście, Karino… Proszę sprawdzić wszystko, co pani chce, dam pani przewodnika.

Już stoję przy drzwiach, gdy podpułkownik woła mnie znowu:

– Karino!

Odwracam się.

Palce Tomilina powoli zgniatają płatki geranium.

– Załóżmy, że przesadzam z tą asekuracją. Boję się o panią. Rozumie mnie pani? Bandyci mogą być bardzo czarujący… w odróżnieniu od pani i ode mnie. Ale ja i pani stoimy po tej samej stronie, a oni są po stronie przeciwnej. Lepiej o tym nie zapominać. Proszę przyjść o drugiej, dobrze? Mam nadzieję, że zmieni pani swoją

opinię.

Jego palce gniotą nieszczęsny kwiatek, którego jedyną winą jest to, że my tak lubimy nadawać broni nazwy kwiatów.

Pozostaje mi tylko skinąć pułkownikowi głową.

Gdy ojciec dowiedział się, że wybieram się na prawo, powiedział mi coś. Wtedy nie wzięłam jego słów na poważnie, refleksja przyszła znacznie później. Ojciec nie opowiadał mi o niebezpieczeństwach pracy śledczego czy eksperta, zauważył jedynie, że broniąc prawa, bardzo łatwo je złamać – właśnie po to, żeby go bronić. I że obowiązek służbowy i zwykła ludzka moralność będą walczyć w mojej duszy, dopóki jedno z nich nie zwycięży.

Początkowo w to nie uwierzyłam. Ale teraz najgorsza jest świadomość, że żadnej walki już nie ma, że już wybrałam. Czyngis i jego towarzysze mogą być bardzo elokwentni, może nawet mają rację z pozycji ogólnoludzkich. Ale Tomilin też ma rację – w świecie wirtualnym nie da się walczyć z przestępczością starymi sposobami.

Poza tym… czy sama nie chciałabym zostać nurkiem? Zrozumieć, zobaczyć… ułożyć swoje puzzle do końca…

Zostawiając strażnika w celi Antona Stiekowa, wchodzę do „wewnętrznej Mongolii" nieszczęsnego bojownika o wolność. Niepotrzebnie odsiedziałeś wyrok, niepotrzebnie twój przyjaciel rozdawał łapówki. Nie powstrzymacie tego. A na wasze ucieczki pobłażliwie przymyka się oczy…

Tym razem Stiekow nie siedzi przed telewizorem. Chodzi po pokoju, wymachuje rękami, pokrzykując. Zatrzymuję się na progu standardowego mieszkania i zaskoczona patrzę na więźnia.

Zwariował, czy co?

Anton Stiekow, spokojnie opuszczający wirtualne więzienie, teraz rozmawia ze swoim fantomowym otoczeniem! Z programistą Aleksiejem i jego synkiem Artiomem!

– A ja mówię, że trzeba go wziąć za frak i wciągnąć do Głębi! – prawie ryczy Anton. – Co się dzieje z tym Lońką? Trudno mu być Bogiem, niech go cholera…

– Padlina, nie przeklinaj – odpowiada standardowy programista żywym ludzkim językiem.

– A co, w końcu nie jest małym dzieckiem – mamrocze Anton, zerkając na Artioma, ale jednak trochę ścisza głos. – Musimy go przekonać…

I w tym momencie mnie dostrzegają. Znudzony Artiom ogląda się na mnie i mruczy:

– No proszę, doczekaliśmy się… Czyngis, mamy gości!

Właściwie nie należy się dziwić.

Jeśli istnieje kanał na zewnątrz, przez który Anton Stiekow opuszczał więzienie, to powinien działać również w drugą stronę. A włożenie ciał marionetek, odgrywających przed Stiekowem swój mizerny spektakl, to bardzo rozsądne posunięcie. Smętny standardowy programista w niczym nie przypomina Czyngisa, ale to on.

A w ciele chłopca siedzi pewnie ten małolat, który jechał z nim samochodem.

Wchodzę do pokoju, siadam na kanapie. Aresztowanie nieproszonych gości nie ma sensu, to byłby właśnie ten szum, na który liczy Czyngis. Tomilin widocznie nie jest w stanie zamknąć tego kanału i dlatego udaje, że go nie dostrzega. A może istnieje inny powód?

– Karino, wiedziała pani, że tu jesteśmy? – pyta Czyngis. W obcym ciele można go rozpoznać tylko po głosie.

– Nie, chciałam porozmawiać z Antonem.

Więzień Stiekow stęka i podchodzi do mnie. Poprawia okulary grubym palcem i mówi:

– Przepraszam, Karino.

– Za co? – dziwię się.

– Za to, że panią w to wciągnęliśmy. To był mój pomysł, jeśli mam być szczery.

– Nie przypominam sobie, żeby ktoś mnie w coś wciągał.

– Widzi pani, to było tak. – Stiekow ma minę inteligenta, który w tramwaju nadepnął komuś na nogę. – Sądziliśmy, że personel więzienia zareaguje na ucieczki, ale oni przemilczeli ten fakt. Gdy tylko zrozumieli, że własnymi siłami nie mogą mnie odizolować, przestali zwracać uwagę na moją samowolę. Musiałem podrzucić informację o ucieczkach na ten poziom kierownictwa MWD, który nie został wciągnięty do projektu… W efekcie wysłano panią na inspekcję.

Ach, więc to tak!

Nigdy się nie zastanawiałam, skąd wzięły się informacje o problemach w wirtualnym więzieniu. A teraz okazuje się, że rozpowszechnili je sami więźniowie!

– Nie musi pan przepraszać, Anton – mówię. – Ja tylko wykonuję swoją pracę. Wasz pomysł był dziecinadą i sam się pan za niego ukarał pozbawieniem wolności.

– To nic takiego. Nieograniczona wolność i tak nie istnieje odpowiada filozoficznie Stiekow. – Przekonała się pani, że celem tego projektu jest eksperyment, który ma stworzyć nurków?

– Anton! – wtrąca się Czyngis. – To nie ma sensu. Karina wszystko

rozumie, ale nie jest po naszej stronie.

– Zdaje się, że nie tylko ja. – Uśmiecham się ironicznie.

Nie zaprzeczają.

– Nie tylko – przyznaje Czyngis. – Mamy przyjaciela… nurka.

Jego zdolności są absolutnie wyjątkowe, mógłby Zniszczyć całe więzienie, sprawić, że nikt z więźniów nie zostałby nurkiem.

– Skąd takie talenty? – pytam.

Twarz Czyngisa jest poważna, ale nie wierzę w te rewelacje.

Czyngis wzrusza ramionami.

– Tak się złożyło… On pracuje bezpośrednio z Głębią. Ale nie chce się wtrącać.

– Dlaczego? – pytam zaciekawiona. Pozostawiając entuzjastyczne określenia Czyngisowi, przyjmijmy, że jego przyjaciel rzeczywiście jest tak potężny…

– Powiedział prawie to samo, co ty, Karino. – Czyngis spogląda na mnie oczami standardowego programisty. – Że nie wolno mieszać Głębi i prawdziwego świata. Że świat wirtualny to nowe społeczeństwo, nowa rzeczywistość, świat bez granic i barier językowych.

Jak przyjęło się mówić, strefa neutralna, zakątek przyszłości, sięgający do naszych czasów. Głębia tworzy sama siebie, jej mieszkańcy sami zdecydują, co przyjąć, a co odrzucić.

– Wasz przyjaciel jest bardzo mądry.

– Przez jakiś czas myślałem, że jesteś jedną z jego masek – wyznaje Czyngis.

Wzruszam ramionami. Zdarza się.

– Będziesz obserwować eksperyment? – pyta Czyngis po przerwie.

– Będę.

– My też. – Kiwa głową. – Nie planują już eksperymentów z Antonem, na dzisiaj wyznaczono jedynie trzy króliki doświadczalne.

No cóż, najwyraźniej we wnętrzu serwera rządowego Czyngis czuje się jak u siebie w domu. Zamiast się oburzać, pytam:

– Kto to taki?

– Pokazywali ci ich. Zabójca, który chce oswoić liska. Kierowca, który przejechał przechodniów. I jeszcze jeden zabójca, zamknięty w pustym mieście.

– Wiesz również, co z nimi zrobią? – pytam.

– Wiem. Lisek umrze. Pod koła ciężarówki znowu wpadnie dwójka dzieci. Zabójca znajdzie umierającą kobietę.

– Widziałam ich wszystkich – mówię ze zdumieniem. – Wszystkich trzech…

– Widocznie pułkownik chce ci zrobić niespodziankę.

Standardowy programista uśmiecha się twardo, jak Czyngis.

I nagle rozumiem – on też szykuje swoje niespodzianki, bez

względu na to, co mówi ten ich rozsądny supernurek. Czyngis nie należy do ludzi, których można powstrzymać. Nawet jeśli przyzna, że Głębia sama podejmuje decyzje, on zrobi swoje.

Po prostu ogłosi, że jest Głębią. I będzie decydować za wszystkich.

– Opuszczę was teraz, panowie – mówię, wstając. Chłopiec nie wtrącał się do rozmowy; siedzi w kącie i bawi się starą układanką, kostką Rubika. Anton Stiekow patrzy na mnie ze smutkiem, od czasu do czasu bezgłośnie wzdychając. A Czyngis w ciele standardowego programisty to tylko mówiący manekin. – Anton, mam tylko jedno pytanie…

– Tak? – Stiekow zamienia się w słuch.

– Po jakie licho pan na to poszedł? Wszystko rozumiem, zasady, antyrządowe poglądy, natura anarchisty… Czytałam pańskie akta.

Ale żeby na pół roku dać się zamknąć w więzieniu! Na co to panu?

Pytanie trafia w dziesiątkę. Stiekow zaczyna się wahać, oglądać na swoich przyjaciół, nawet jakby się trochę czerwieni.

– Ma pan jeszcze coś na sumieniu? – pytam. – I dlatego ukrywa się pan w więzieniu? Inne przestępstwo, a może bandyci…

– O rany, co za upierdliwa kobieta! – mówi głośno Stiekow. Oto powód!

I pokazuje swój potężny brzuch.

Nic nie rozumiem; patrzę strapiona na speszonego i pewnie dlatego głośnego i nieco agresywnego hakera.

– Zapuściłem się ostatnio! – oznajmia z goryczą Stiekow. – Wyrósł mi brzuch, motocykl trzeszczy pod tyłkiem, dziewczyny śmieją się w twarz. Szkoda, że mnie wcześniej nie widziałaś, byłem smukły jak młoda topola! Zupełnie nie mam silnej woli, wystarczy, że się napiję piwa, a od razu budzi się we mnie nieposkromiony apetyt.

W ciągu ostatniego roku przytyłem piętnaście kilo. Nawet do lekarza poszedłem, a ten mówi: pół roku ścisłej diety… Przecież sam sobie takiego rygoru nie narzucę! A tutaj? To co trzeba! Wyłącznie minimalne racje, żadnych przekąsek między posiłkami, o piwie można zapomnieć…

– Normalny wariat! – wrzeszczy radośnie syn standardowego programisty.

Czyngis zamiera w osłupieniu.

Nigdy w to nie uwierzę!

Dać się wsadzić do więzienia po to, żeby stracić na wadze?!

– Doszło do tego, że zacząłem czytać książki o cellulitisie, liczyłem na kalkulatorze zjedzone kalorie, nie wychodziłem z łaźni… – ciągnął Stiekow swoją spowiedź. – Poranne biegi, spacer przed snem… I tylko rósł mi apetyt.

Po cichu cofam się aż do drzwi.

Być może Stiekow jest aż tak niezwykłym człowiekiem, że mógł zdecydować się na tę państwową dietę…

Zresztą nawet jeśli było inaczej, to nie przegapi okazji, żeby zadrwić sobie ze swoich strażników, wygłaszając taką wersję.

– Świry! – wołam i wyskakuję z „wewnętrznej Mongolii" Antona Stiekowa.

I dopiero wtedy rozumiem, że to reakcja godna nastoletniej smarkuli.

Dom wariatów. Wszyscy ludzie, spędzający w Głębi dziesiątki godzin, są lekko stuknięci. Ale ta trójka to już wyjątkowo ciężki przypadek!

Strażnik nie interesuje się moim pobytem w celi Stiekowa. Albo nie wie, co się tam dzieje, albo otrzymał polecenie niewtrącania się.

Do gabinetu Tomilina wracam na pół godziny przed wyznaczonym terminem.

Podświadomie spodziewam się zobaczyć nowe twarze. Jakieś ważne szychy, które ze sztucznym uśmiechem wkładają hełm przed wejściem do Głębi i teraz zachowują się jak dzieci w fabryce słodyczy.

Ale Tomilin jest sam. To zbyt śliska sprawa, żeby grube ryby zaryzykowały swój udział. Eksperymentowanie na ludziach niewąsko cuchnie…

– Niech pani siada, Karino. – Pułkownik uśmiecha się z tą samą uprzejmością. Geranium na biurku już nie ma, koniec aluzji. – Jak tam wycieczka?

Ciekawe, czy widział, co działo się w celi Stiekowa?

Jeśli chciał, to widział.

Należy więc wyjść z takiego właśnie założenia.

– Bardzo owocna – mówię i Tomilin na chwilę posępnieje.

Niech sobie odtworzy w pamięci moją rozmowę z hakerami, niech spróbuje zrozumieć, co też mogło mnie zainteresować. – Proszę mi powiedzieć, jakie kroki powinien podjąć personel więzienia, stwierdzając przeniknięcie do cel osób postronnych?

– Zgłosić to strażnikom – odpowiada natychmiast podpułkownik. – Jeśli nie stwierdzono śladów przeniknięcia, to na ewentualnych gości nie warto zwracać uwagi… nawet jeżeli więzień uprawia seks z Marilyn Monroe czy dyskutuje na tematy filozoficzne z Kiwaczkiem. Kto wie, co wymyślili psycholodzy w strefach katharsis?

Wszystko jasne. Czyngis i Anton padli ofiarą własnych kwalifikacji. Dopóki standardowe systemy ochronne nie zauważają ich przeniknięcia, Tomilin może do upadłego ignorować niewygodnych gości.

Ale mnie zaciekawia coś innego. Co będzie, jeśli haker i nurek zorganizują prawdziwy wirtualny bunt? Czy nie to właśnie wymyślił

Czyngis w charakterze niespodzianki?

Ale to już byłby bardzo poważny krok, za coś takiego dostaliby więcej niż pół roku… Więc chociaż drażni mnie ich upór, w myślach błagam Czyngisa, żeby nie robił głupstw.

Pułkownik gdzieś dzwoni, minutę później do pokoju wchodzi młody człowiek w brudnawym białym fartuchu narzuconym na cywilne ubranie. Psycholog? Inny najemny współpracownik? Chyba najbardziej denerwuje mnie to zanadto rzeczywiste ubranie, ten nieświeży fartuch i niechlujny wygląd.

Dlaczego w Głębi gotowi jesteśmy wyglądać gorzej niż naprawdę?

– Karina, Denis – przedstawia nas sobie Tomilin. Nie wymienia żadnych stopni, stanowisk ani tytułów. – Wszystko przygotowane?

– Tak, programy zostały wprowadzone.

Spodziewam się, że pójdziemy do cel królików doświadczalnych, ale Tomilin wystukuje na terminalu jakąś komendę i na jednej ze ścian gabinetu rozsuwają się drewniane panele, odsłaniając ogromny ekran.

– Karinę bardzo interesuje pierwszy etap resocjalizacji – mówi Tomilin, nie wiadomo, poważnie czy z ironią. – Od kogo zaczniemy, Karino? Mamy kierowcę, który przejechał dzieci jeżdżące po chodniku na rowerach. I dwóch zabójców.

Nawet nie pytam, co to za zabójcy.

– Zacznijcie od kierowcy – mówię.

Ekran przemienia się w okno – ogromne okno, otwarte na wieczorne miasto. Zwykła moskiewska ulica, tylko trochę za mało ludzi. W Głębi nie ma wielkiej różnicy między rzeczywistością a obrazem telewizyjnym – jedno i drugie jest iluzoryczne.

Ciężarówka jadąca ulicą to zwykła wywrotka z pustą skrzynią, odrapaną kabiną i brudną przednią szybą. Pędzi tuż obok, wystarczy wyciągnąć rękę…

– Puszczaj dzieci, Denis – komenderuje Tomilin.

Czuję do niego przelotny szacunek – za to, że nie powiedział „puść fantomy” albo „zacznij seans”. Nie ukrył się za eufemizmem.

To może być po trzykroć nierealny taniec elektronów na kryształach mikroukładów, ale dla tego człowieka, odsiadującego wyrok w wirtualnym więzieniu, to, co się zaraz stanie, będzie prawdziwym szokiem.

1010

Wirtualna kamera, pokazująca jadącą ciężarówkę, leci nad samochodem. Światło w kabinie Tomilina gaśnie i czuję się jak w kinie – jakbym oglądała najnowszy hollywoodzki thriller. Jeden z tych nowomodnych filmów interaktywnych, gdzie komputerowe obrazy najpopularniejszych aktorów wszystkich epok kręcą się między wirtualnymi dekoracjami… Dzielny Clint Eastwood stoi ramię w ramię z Seanem Connerym i śliczniutkim Leonardem DiCaprio, a i tak całą trójkę może załatwić wzruszający Charlie Chaplin.

Ale ten film nie jest interaktywny. Został wyreżyserowany od pierwszej do ostatniej sekundy i opinia kierowcy ciężarówki nie została wzięta pod uwagę.

– Przecież przejechał przechodniów po pijanemu – mówię. Prawda?

– Teraz też nie jest rzeźwy – oznajmia Tomilin. – Miał do dyspozycji wirtualne bary.

– Ale przecież nie można odtworzyć dokładnie tej samej sytuacji! – upieram się.

– Dlaczego? – dziwi się Tomilin.

I w tym momencie ciężarówka skręca na skrzyżowaniu.

Jakby ktoś odsunął zasłonę. Wieczór staje się dniem, szeroka szosa – wąską uliczką, gdzie dwa samochody nie zdołają się wyminąć. Tym bardziej że z naprzeciwka jedzie kilka osobowych. Ciężarówka najeżdża na krawężnik i wyskakuje na chodnik.

A kilka metrów przed maską jedzie na rowerach dwóch chłopców, którzy właśnie zaczynają się odwracać na ryk silnika.

– Teraz – mówi Tomilin i obraz zaczyna drgać, przekręca się: wirtualna kamera zakreśla niewyobrażalną krzywą, utrzymując się nad skrzynią ciężarówki.

Czy w realu można by tak przekręcić kierownicę?

Prędkość nie jest duża. Kierowca, nawet jeśli był pijany w sztok, to jednak zdołał wyhamować na zakręcie. Ale uderzenie i tak jest silne.

Maska rozpłaszcza się o ścianę budynku, ciężarówka skręca, niszcząc szklaną witrynę i wjeżdżając w sklep spożywczy. Od razu widać, że coś jest nie tak. Sklep nie został narysowany do końca, istnieje tylko kilka metrów przed witryną, a cała reszta to szara mgła, pozbawiona kolorów i kształtów. Z zadartego w górę przodu samochodu bije para, sączy się bezbarwna ciecz.

– Denis – mówi bardzo spokojnie Tomilin. – Przecież prosiłem…

– Ale on nie mógł skręcić! – odpowiada Denis. – Wszystko zostało obliczone!

W jego głosie słychać szczere oburzenie. Nie sądzę, żeby był psychologiem, to raczej programista, nadający rozmytym wytycznym cyfrowe kształty.

– Prędkość trzydzieści cztery kilometry na godzinę, promień skrętu… – mamrocze Denis, ale Tomilin ucisza go gestem.

Zgniecione drzwi kabiny otwierają się ze zgrzytem. Kierowca raczej wypada niż wychodzi z samochodu i, nie patrząc na szarą mgłę w Głębi sklepu, przechodzi po szklanym kruszywie witryny na ulicę.

– Kamera! – warczy Tomilin.

Nie widzę, kto wykonuje polecenie. Może Denis ma jakiś pulpit, a może słyszą nas również inni pracownicy więzienia.

Ale kamera posłusznie rusza z miejsca i płynie za kierowcą.

A ja zaczynam się śmiać.

To już nie jest tragedia. To farsa.

Po ulicy jadą samochody, chodnikiem idą przechodnie, nikt nie zwraca uwagi na ciężarówkę, która do połowy utkwiła w budynku.

A nieprzejechani rowerzyści ciągle jadą, z obawą oglądając się za siebie. Pedałują w miejscu, koła suną po chodniku, lśnią szprychy z czerwonymi kółkami światełek odblaskowych, długie włosy jednego z chłopców rozwiewa nieistniejący wiatr. Najlepszy na świecie rower treningowy.

Kierowca omija samochód, podchodzi do chłopców, przygląda im się, wyciąga rękę, jakby chciał ich dotknąć i od razu cofa. Wyjmuje pomiętą paczkę papierosów Prima, wsuwa jednego do ust, ale zdenerwowany zapomina zapalić i krzyczy:

– Bip! Bip-bip, wasza mać! Łobuzy, bip! Bip!

Albo się domyślił, gdzie jest kamera, albo to przypadek, ale patrzy prosto na nas.

– Bip! – warczy ze złością Tomilin. – Co za bip włączył cenzora dźwiękowego?

– To przecież powszechne wymaganie wobec wszystkich zakładów państwowych! – tłumaczy Denis.

Kierowca wypuścił niezapalonego papierosa, wyjmuje drugiego. Siada na chodniku i zapala, patrząc na jadących donikąd rowerzystów.

– Proszę to zabrać – komenderuje Tomilin. – Karino, przepraszam panią.

– Bip – mówię z uśmiechem. Właśnie to chciałam powiedzieć.

– Owszem, to zabawne – przyznaje Tomilin, gdy ekran gaśnie. Może jeszcze mi pani wyjaśni, co to wszystko znaczy?

– Gdybym tylko wiedziała…

Tak naprawdę domyślam się i gotowa jestem bić brawo Czyngisowi za jego niespodziankę. Ale…

– Nasi goście zostali odizolowani? – pyta Tomilin Denisa.

– Oczywiście! – programista jest tego absolutnie pewien. –

Stiekow w ogóle został odłączony od Głębi, a tamtym dwóm zamknięto kanały.

– Jakie wersje? – pyta Tomilin.

Odpowiedzi nie ma. Pułkownik dysponuje:

– Dawać następnego!

– Którego?

– Kazakowa. Co tam u niego?

Ekran rozjaśnia się znowu. Kamera wisi na niebie, opuszcza się, zataczając koła niczym drapieżny ptak, wypatrujący zdobyczy. Niekończący się step, łamliwa, sucha trawa, mężczyzna siedzący w kucki.

Bez względu na to, jak groźnym był przestępcą, teraz to tylko człowiek skazany na samotność. Człowiek, który trzyma w ramionach małego, brudnorudego liska.

– Jego może później… – mówi w zadumie Tomilin. – A zresztą…

– Nic wam z tego nie wyjdzie – odzywam się nagle.

Tomilin odwraca się, patrzy na mnie wyczekująco.

– Nie wiem dlaczego, ale nie wyjdzie. Czegoś nie zrozumieliście.

– Wszyscy nurkowie zdobyli swoje zdolności w efekcie silnego stresu – tłumaczy Tomilin powoli i z przekonaniem, niczym wykładowca tępemu studentowi. – Przypadkowego stresu! A te… stresy są wyliczone i sprawdzone. Nie mogą nie zadziałać.

– Ależ podziałają, tylko jak?

– Zobaczymy. Udusić lisa! – mówi Tomilin, odwracając się do ekranu.

Przez minutę nic się nie dzieje. Więzień ostrożnie i czule gładzi małe zwierzątko. Kamera opuszcza się bardzo nisko, zagląda mu przez ramię, sympatyczna lisia mordka wypełnia pół ekranu.

A potem czarne oczka zaczynają mętnieć.

Lisek pisnął, drgnął i zesztywniał. Drga puszysty ogon.

Mężczyzna zdaje się tego nie widzieć. Ręka dotyka futra, gładzi zwierzątko. W szumie wiatru słychać cichy głos:

– Nie.

Ani smutku, ani bólu, ani wściekłości.

I żadnych wątpliwości.

On nie wierzy w to, co się dzieje, ten zabójca i łajdak. Najprawdziwszy łajdak, bez żadnych okoliczności łagodzących.

Nie chce wierzyć.

I nie uwierzy nigdy.

Czytałam jego akta. Wiem, że zabił swoją żonę. Wiem, że ją kochał i że pewnie nadal ją kocha. I wiem, że skazał się znacznie wcześniej, niż zrobił to luberecki sąd rejonowy.

– Nie… – mówi jeszcze raz więzień, przesuwając ręką po ciałku zwierzątka. – Nie.

Nagle puszysty ogon poruszył się.

Ostrzyżona głowa opada, człowiek dotyka wargami mordki liska. Mały języczek liże jego twarz.

– Lis jest wyłączony – mówi programista Denis, nie czekając na pytanie. – W ogóle go nie ma! Program nie przewiduje ożywienia!

Mężczyzna na ekranie gładzi zwierzątko.

– Proszę to wyłączyć – mówi Tomilin i patrzy na mnie.

– Będzie pan jeszcze trzeciego… poddawał katharsis? – pytam.

– A czy jest sens? – odpowiada pytaniem na pytanie Tomilin.

Waham się. Naprawdę chcę odpowiedzieć uczciwie. Choćby dlatego, że bez względu na to, kto stoi za tym okrutnym spektaklem, bez względu na to, jakie ambicje kipią w ministerialnych głowach, dla Tomilina ten projekt oznacza coś zupełnie innego. Zaporę na drodze przestępczości, lśniący miecz i mocną tarczę w rękach praworządności. Prawdziwi stróże porządku, supermani Głębi.

W imię tego celu bez wahania podda przestępców cierpieniu.

Bez wahania… ale i bez radości.

– On też nie zostanie nurkiem – mówię w końcu. – Coś zrobi… nie wiem jeszcze co. Mówi pan, że umierająca kobieta w pustym mieście? Nie sądzę, żeby ją ożywił. Raczej dobije.

– Nie można jej dobić – wtrąca nieśmiało programista Denis. Oto właśnie chodzi. Ten typ to psychopata, na pewno by spróbował, ale…

– Liska też nie można było ożywić – przypominam.

– Więc o co chodzi? – domaga się odpowiedzi Tomilin.

– Znam tylko jednego nurka… – wzdycham. – Ale czy naprawdę nie rozumie pan, na czym polega różnica? To przecież takie proste!

– Wolność – mówi nagle Tomilin. – Bip.

– Zdolności nurków wynikają z jednej ich cechy. – Kiwam głową. – Tylko z jednej. Oni nie znoszą braku wolności. Dlatego właśnie mogą wychodzić z Głębi, kiedy chcą. Dlatego widzą furtki w ochronie programu. Możecie wychować w swoim więzieniu, kogo chcecie… na przykład ludzi, którzy będą zabijać i ożywiać programy. Ale nie nurków. Ponieważ nurek w wirtualnym więzieniu to absurd.

1011

W gruncie rzeczy Tomilinowi nie chodzi o przegraną, sama kląska nie jest aż tak przykra. Wódz, którzy przywiódł armią na pole bitwy, marzy o zwycięstwie, ale musi być przygotowany na klęskę. Na to jednak, że wroga armia, o której donieśli wywiadowcy, utonie podczas forsowania płytkiej rzeki albo umrze na banalną dyzenterię – na to nie można się przygotować.

Tomilin patrzy na mnie, potem z niechęcią kiwa głową.

– Zapewne ma pani rację, Karino. Ale, do licha, jak udało się pani zrozumieć? Projekt przygotowywali poważni specjaliści… Kim pani jest, że zdołała pani to rozgryźć?

– Kim jestem? – Wzruszam ramionami. Pytanie było retoryczne, ale chciałabym na nie odpowiedzieć.

Kim jestem?

1100.0

Labirynt (Finał czerwony)

Kim jestem?

Jestem najzwyklejszą dziewczyną epoki komputerów. Jedną z tych, która uczyła się liter na klawiaturze, która wyrywała się z domu nie na podwórko, lecz do sieci, i nigdy nie widziała swoich prawdziwych przyjaciół. Która przywykła być tym, kim chce – swarliwą Ksenią, ciekawską nastolatką Maszą, autorem kryminałów Romanem, hakerem Siomą, solidną i mądrą Olgą… W Głębi było mnie tak wiele… i tak różnych.

Jestem bardzo zwyczajna.

Tylko że ja tutaj przebywam, a energiczny i mądry podpułkownik Tomilin pracuje.

Nawet nie wierząc w nurków i uważając ich za bajkę, wiedziałam, że jest to bajka o wolności. O ludziach, którzy nie gubią się w Głębi. Nie o czarodziejach tworzących wirtualne cuda, lecz o tych, którzy nauczyli się żyć w sieci.

I jeśli nawet teraz pracuję w MWD, mam stanowisko i stopień, to przede wszystkim jestem obywatelem Deeptown, a dopiero potem obywatelem Rosji.

– Jestem zwykłą dziewczyną – odpowiadam Tomilinowi. – Tyle że ja żyję w Głębi, rozumie pan? To pewnie źle, że tu żyję. Być może zestarzeję się w tym ciele. I raczej nie będę awansować, bo to mnie nie interesuje. Za to widzę to, czego pan nie widzi.

Tomilin patrzy na Denisa, daje mu znak głową i ten szybko wychodzi, rzucając mi szybkie, pełne sympatii spojrzenie.

Czyżby on również się cieszył, że projekt stworzenia nurków poniósł klęskę?

– Porozmawiajmy szczerze – proponuje ponuro Tomilin. – Jest pani zadowolona, że tak się skończyło?

– Oczywiście – mówię. – Przepraszam…

– Karino, przecież sama pani wie, że to niczego nie zmieni. Państwo potrzebuje kontroli nad Głębią. I nie dla własnych celów, lecz w interesie zwykłych obywateli! Rozumie pani?

– Nie rozumiem – odpowiadam szczerze. – Przecież my radzimy sobie sami. Lepiej lub gorzej, ale radzimy. Czyżby w prawdziwym świecie nie było już dla nas pracy?

– My? – pyta podpułkownik.

Kiwam głową.

– My. Ci, którzy żyją w Głębi.

– To pani prawdziwa postać? – pyta Tomilin niespodziewanie.

Takich pytań nie zadaje się nawet podwładnym. Ale mimo

wszystko decyduję się odpowiedzieć:

– Tak.

– A moja niezupełnie. – Uśmiecha się. – Kiepsko wyszło… No więc co napisze pani w raporcie?

– Prawdę – odpowiadam. – Że w więzieniu nie stwierdzono niczego, co byłoby warte służbowego śledztwa… Z wyjątkiem przypadków drobnego łamania dyscypliny. Co prawda, miałam pewne wątpliwości, zdawało mi się, że do więzienia przenikają osoby postronne, ale teraz rozumiem, że to jedynie część programu resocjalizacji więźniów.

Tomilin milczy.

– Pozwoli pan, że już pójdę? – pytam. – Muszę wziąć się do raportu.

– Będę jutro w zarządzie – mówi Tomilin. – Z własnym raportem. O dziewiątej rano. Jeśli dobrze rozumiem… zgodnie z zasadami dobrych manier… powinienem pokazać się pani w prawdziwej postaci?

To jest tak niespodziewane i wzruszające, że z trudem zachowują maską spokoju.

Ciekawe, czy jest mądry i siwowłosy, czy młody i energiczny?

Pewnie, że ciekawe…

– Połowę nocy spędzam w Głębi i o dziewiątej rano jeszcze śpię – odpowiadam. – Przepraszam. Oczywiście, jeśli to rozkaz…

Tomilin kręci głową.

– Nie. To nie rozkaz. I nie mam prawa dłużej pani zatrzymywać.

W pewnej chwili wydaje mi się, że widzę, jak on wygląda naprawdę. Niezbyt młody i niespecjalnie stary. Czterdziestoletni mężczyzna, który z uporem uczył się pracy na komputerze, próbował pojąć Głębię – nie z miłości do niej i nie z ciekawości, ale wyłącznie dlatego, że dostał takie polecenie. Samotny wojak, wyspecjalizowany w gabinetowych rozgrywkach, ale również nie z zamiłowania do nich samych, lecz po to, żeby móc robić swoją robotę.

I robi mi się go żal.

Ale żal to jeszcze nie powód, żebym miała zrywać się bladym świtem.

– Do widzenia – mówię i wychodzę.

Pomnik Ostatniego Spamera jak zwykle jest oblepiony młodzieżą. W Głębi jest dużo pomników, nietrudno zdobyć kawałek miejsca i wznieść na nim, co się chce. Ale szybko okazuje się, które z nich stają się popularne, a które nie. Na nieudanych, pod którymi nikt się nie umawia, siadają gołębie, brąz zielenieje, kruszy się marmur, w końcu przyjeżdża ciężarówka z merostwa Deeptown i wywozi nieudany twór na wysypisko śmieci. Wysypisko jest wieczne i nieskończone. Długie rzędy nikomu niepotrzebnych posągów.

Straszne miejsce.

Kończą tam wszystkie nieudane twory, opery skomponowane z sampli, książki napisane lewą nogą, szalone teorie filozoficzne, martwe obrazy. Wszystko to odchodzi donikąd, na wieczne przechowanie na bezkresnych wirtualnych wysypiskach.

Ale pomnik Spamera żyje i teraz u jego stóp niewiele jest wolnych ławek. Znajduję jedną, biorę w sklepiku butelkę piwa i siadam – specjalnie na środku ławki, dając do zrozumienia, że nie szukam przygodnych znajomości. Nikt się do mnie nie przysiada. Przywykliśmy szanować w Głębi swoją prywatność, i to bez czujnego nadzoru policji, bez supermanów nurków z MWD. To znaczy, że coś jednak umiemy?

Pomniki to tradycyjnie już miejsce spotkań. Nikt się tu ze mną nie umawiał, ale to jedyne miejsce, w którym spotkałam się w Głębi z Czyngisem.

Siedzę na ławeczce i piję zimne piwo – ma dokładnie taką temperaturę, jaką lubię. Patrzę na czyste niebo. Jak byłam mała, przestraszyłam się kiedyś nieba. Byłam z rodzicami nad morzem i leżąc na plecach, patrzyłam w górę. Niebo było bezdenne i czyste, i pomyślałam, że można w nie spaść. Oderwać się od gorącego piasku, machnąć rękami i polecieć w górę – w niebo, które stanie się przepaścią. A nad głową zawiruje przekręcona ziemia i płaczący rodzice, i zadarte głowy gapiów, i kołyszące gałęziami drzewa. Oni nie spadną w niebo, bo nie wiedzą, że można w nie spaść…

To było tak dawno, a ciągle przechowuję to wrażenie w pamięci. Razem z puzzlami, których nie dało się ułożyć. Razem z pierwszą miłością, pierwszym prawdziwym żalem, pierwszym wejściem do Głębi, pierwszą zdradą…

– Pozwoli pani?

Patrzę spode łba na Czyngisa, kiwam głową i przesuwam się trochę, robiąc mu miejsce.

– Śmieszne – mówi Czyngis półgłosem. – Wszystkie zdolności okazują się diabła warte, gdy prowajder odłącza cię od sieci. Na jedno jedyne polecenie z MWD.

– A jak teraz wszedłeś? – pytam.

– Po staremu, przez linię telefoniczną. – Czyngis siada obok.

– Nie zdradziłam was – zapewniam. – Obserwowano was od samego początku, ale uznano, że podnoszenie alarmu jest niewskazane. Dlatego was ignorowali, a kiedy zaszła potrzeba, wyłączyli.

Kiwa głową i milczy, chociaż wiem, że bardzo chce zadać pytanie.

– A jak mnie znalazłeś? – pytam. – Jest na mnie marker?

Czyngis kręci głową.

– Nie… Pomyślałem, że zwykle ludzie umawiają się pod pomnikami. Dasz łyka?

Do sklepiku z bezpłatnym piwem jest kilka kroków, ale daję mu butelkę i zaczynam mówić o tym, o czym nie mam prawa opowiadać. O tym, jak ludzie nie stają się nurkami.

– Dziękuję – mówi Czyngis, gdy kończę swoją opowieść. Dziękuję. Wierzę, że mimo wszystko jesteś po naszej stronie.

– A co ja mam z tym wspólnego? Przecież nic nie zrobiłam.

– Zrobiłaś – odpowiada z przekonaniem Czyngis. – Nie chciałaś, żeby im coś z tego wyszło. Może jako jedyna z tych, którzy obserwowali eksperyment.

– No to co? Wielu rzeczy nie chcę.

– Głębia to coś więcej, niż się zwykle myśli – mówi z przekonaniem Czyngis. – To nie tylko sfera przebywania. Jesteśmy cząstkami Głębi. Ona staje się taka, jaką chcemy ją widzieć. Gdybyśmy chcieli wypełnić ulice nurkami, już by się to stało. Widocznie tak było trzeba: ktoś z obserwujących eksperyment musiał nie chcieć, aby projekt zakończył się sukcesem.

Śmieszny facet. Niby dorosły człowiek, a…

– No dobrze, niech będzie, że to moja zasługa – zgadzam się. Przekonałeś mnie.

Czyngis uśmiecha się i oddaje mi piwo.

– Twój przyjaciel Stiekow… Naprawdę poszedł do więzienia, żeby schudnąć?

– Bóg raczy wiedzieć. – Czyngis wzrusza ramionami. – Nigdy tak naprawdę nie wiem, kiedy mówi poważnie. Pewnie sam nie zawsze to rozumie… Karino?

– Tak? – pytam, patrząc na niebo.

– Beznadziejny ze mnie amant – przyznaje samokrytycznie Czyngis.

Nie zaprzeczam. Pewnie w szkole panienki wieszały mu się na szyi. Tacy faceci uczą się uciekać przed dziewczynami, a nie zabiegać o ich względy.

– Ale wirtualne piwo nie jest najlepszą rzeczą na świecie – kontynuuje Czyngis. – Czy mógłbym cię zaprosić do restauracji?

O rany… Najpierw nie było żadnego, a teraz ustawiają się w kolejce. I Tomilin, i Czyngis…

– Czyngis – mówię, krzywiąc się – opowiem ci jedną historię.

– Opowiedz.

– Miałam w dzieciństwie taką układankę… Puzzle, nawet bardzo ładne. Byli tam rycerz i księżniczka, pochylali się ku sobie. Ułożyłam całe, brakowało tylko jednego elementu, między ręką księżniczki a głową rycerza. Rozumiesz, zapomnieli włożyć do pudełka!

Czyngis milczy.

– Ja jestem pewnie taką księżniczką – kontynuuję. – Do czego wyciągam rękę, nic nie wychodzi. Lepiej się do mnie nie pochylaj.

– Znam te puzzle – odpowiada niespodziewanie Czyngis. Jego głos zmienia się, teraz jest speszony, pełen poczucia winy. – Wiesz, że te wszystkie mozaiki są wycinane na podstawie wyliczonych na komputerze schematów?

– No, wiem.

– Zdarzało ci się tak, że zamiast jednego kawałka wkładałaś drugi? Niby pasował, ale zostawała szczelina, maleńka, niewidoczna…

– Zdarzało.

– No i kiedyś puzzle pocięto bardzo pechowo. Można je było ułożyć na dwa sposoby. Jeśli złożyłaś nieprawidłowo, zostawały szczeliny, maleńkie, niewidoczne, a w rezultacie na środku zostawało puste miejsce. Zrobił się z tego straszny skandal, co najmniej połowa tych, którzy kupili puzzle, ułożyła je nieprawidłowo. Potem zasypali firmę reklamacjami.

– Kłamiesz… – mówię stropiona. – Nie mogło się tak zdarzyć!

– Przypadkiem nie mogło – przyznaje – ale firmę wyhaczył w sieci pewien młody, nieodpowiedzialny rosyjski haker. Postanowił sobie zażartować, posiedział w nocy nad kalkulacjami… Nie przyszło mi do głowy, że zrobię krzywdę kilku tysiącom ludzi. Słowo honoru, Karino, dopiero potem zrozumiałem…

Jaka szkoda, że wirtualne naczynia się nie tłuką!

Ciskam butelką w głowę Czyngisa, ale robi unik.

– Żałosny, paskudny, tchórzliwy potworze! – Zachłystuję się w poszukiwaniu epitetów. – Ty!…

– Dlaczego potworze? – oburza się Czyngis, trzymając się w bezpiecznej odległości. – Karino, słowo honoru, wyrażam skruchę!

– Wiesz, jak ja rozpaczałam?! – krzyczę. – Może od tamtej pory mam uraz psychiczny!

Cały skwer, nie wyłączając policjanta, obserwuje nas z rosnącym zainteresowaniem. Drugi raz w tym samym miejscu… Ale obciach…

– Mam znajomego psychoanalityka – informuje Czyngis. – Karino, wybacz mi! Byłem wtedy młody i głupi!

Odwracam się na pięcie i dumnie oddalam od pomnika. Z tłumu padają okrzyki. Czyngis dogania mnie i prosi żałośnie:

– Słuchaj, to przecież było piętnaście lat temu! Nawet gdybym kogoś zabił, już by mnie wypuścili! Karino, jak mógłbym odkupić swoją winę?

Zatrzymuję się i mierzę go wzrokiem. Mówię wyraźnie, cedząc słowa:

– Jutro o ósmej. Pod moją klatką. Z bukietem kwiatów. I pamiętaj, że nie lubię róż.

– O ósmej… – mówi Czyngis głosem męczennika.

– O ósmej wieczorem – precyzuję. W końcu nie jestem oprawcą.

– Naprawdę, strasznie mi wstyd… – zaczyna znowu Czyngis.

– Spadaj i żebym cię do jutra nie widziała! – rozkazuję.

Czyngis kiwa głową i rozpływa się w powietrzu.

– Cholerny nurek – mówię tylko.

Robię jeszcze kilka kroków i zaczynam się śmiać.

Z siebie. Z małej dziewczynki, która chciała ułożyć puzzle jak najszybciej i wolała nie zauważać drobnych niedokładności. A potem dośpiewała sobie całą filozofię.

Z dziewczynki, która nie chciała dorosnąć.

Ciekawe, ile czasu zajmie mi prawidłowe ułożenie puzzli?

1100.1

Lustra (Finał niebieski)

Kim jestem?

Chciałabym wiedzieć. My wszyscy, którzy wolimy żyć w Głębi, jesteśmy dziwakami. Mamy swoje przyzwyczajenia. Ale gdy tych dziwactw staje się zbyt dużo, różnica między nimi jakoś się zaciera.

Co z tego, że moja przyjaciółka, która w Głębi uwielbia skakać ze spadochronem, w prawdziwym życiu ma lęk wysokości? Co z tego, że mój pierwszy wirtualny mąż okazał się dziesięcioletnim ukraińskim urwisem? Co z tego, że czasem lubię wejść do lasu rozciągającego się wokół Deeptown – bezkresnego, ponurego lasu, który stanowi tło – i spacerować godzinami w strzępach sinej, porannej mgły… Tam zawsze jest ranek, zawsze półmrok.

Wszyscy jesteśmy tak dziwni, że aż staje się to zwyczajne.

– Jestem zwykłą dziewczyną – mówię Tomilinowi. – Może tylko trochę częściej włóczę się po Głębi, to wszystko… Może dlatego zrozumiałam.

– Denis, wyjdź – komenderuje Tomilin, nie odrywając ode mnie wzroku. – Wiesz, co robić.

Programista wychodzi. A Tomilin robi krok w moją stronę, ujmuje mnie mocno za łokcie, zagląda w oczy i pyta, przechodząc na „ty”:

– Skąd jesteś, dziewczyno?

Próbuję się wyrwać, ale uchwyt jest mocny. Nie uda mi się uwolnić rąk.

– Przecież widział pan moje dokumenty.

– Twoje dokumenty nie są warte klawiatury, na której je wprowadzano. W zarządzie do spraw nadzoru nie ma pracowniczki Kariny Opiekanej!

Czyżby miał deep psychozę?

– W takim razie czemu mnie pan nie aresztuje? – mamroczę, usiłując wyszarpnąć rękę. Z człowiekiem, który „zabłądził”, lepiej się nie spierać. Trzeba logicznie przekonywać.

– Dałem znać tym na górze… ale nie kazali nic robić. Powiedzieli, że przeprowadzasz inspekcję z ramienia innej instancji. Tomilin nagle mnie puszcza i siada przy swoim biurku. – Skąd jesteś? Z FSB? Z policji sieci?

Co za brednie!

Ale nie spieram się. Z wariatami nie wolno się kłócić.

– Co za różnica? – pytam bezczelnie. – Przecież kazano panu nic nie robić.

– Skąd wiedziałaś, że eksperyment się nie uda? – odpowiada

pytaniem Tomilin.

– Domyśliłam się! Często bywam w Głębi. Ja…

– Może mi jeszcze wmówisz, że to twoje prawdziwe oblicze. Tomilin śmieje się sarkastycznie.

Milczę. Po co dyskutować z kimś, kto i tak ci nie uwierzy?

– No i jaki jest rezultat inspekcji? – pyta Tomilin. – Co pani napisze, Karino Pietrowna?

Wkłada w moje imię tyle ironii, że mimo woli czuję się winna.

– Prawdę – odpowiadam. – Że z wyjątkiem drobnego łamania dyscypliny w pierwszym wirtualnym więzieniu nie stwierdzono niczego niezwykłego. Co prawda, miałam pewne wątpliwości… Wydawało mi się, że do więzienia udaje się przeniknąć osobom postronnym, ale przekonał mnie pan, że to jedynie część programu resocjalizacji więźniów.

– Projektu i tak nie zamkną – mówi Tomilin, jakby przekonując sam siebie. – Są konkretne efekty…

– Jakie efekty? – pytam niewinnie. – Supermożliwościami w Głębi dysponują jedynie buntownicy, samotnicy, indywidualiści.

A tego tym z cel więziennych nie da się zaszczepić.

Trzask drzwi za moimi plecami; przyszedł Denis.

– Mów – komenderuje Tomilin. – Nie ma czego ukrywać.

Nie widzę, ale czuję, że Denis rozkłada ręce. I słyszę, jak mamrocze przepraszająco:

– To nie ma nic wspólnego z naszą aparaturą… kanał owinięty pierścieniem na szesnastu serwerach, a gdzie odchodzi w bok, nie wiadomo.

– FSB – mówi z przekonaniem Tomilin, spoglądając na mnie spod oka. – Tak? Wiedzieliście, że to przelewanie z pustego w próżne, a jednak milczeliście?

– Nie odpowiem na żadne pytania – mówię szybko, cofając się do drzwi. – Do widzenia.

Denis odsuwa się, pozwalając mi przejść, i ledwie słyszalnie mówi:

– Ma pani wspaniałą ochronę!

Przypominają mi się więźniowie, którzy patrząc na mnie, omawiali częstotliwość tykania zegara.

Ale nie dyskutuję z nimi. Wychodzę na korytarz, idę szybko, mijając pokoje personelu, zakratowane drzwi do bloku więźniów…

No i proszę, uznali mnie za kontrolera z FSB. Naszych oficjalnych sprzymierzeńców i konkurentów… Mam ochotę się roześmiać.

Ale co to za bzdury na temat kanału skręconego w pierścień?

Mam najzwyklejszy kanał wejścia, może trochę bardziej profesjonalną ochronę, ale nie na tyle, żeby nie mogli jej wykryć programiści Tomilina…

Rozluźniam się dopiero na ulicy, na tym nędznym skwerku przed więzieniem. Dopiero teraz zaczyna do mnie docierać cała ironia wydarzeń. Tomilin zwariował albo się pomylił. Albo zwierzchnictwo, chcąc mnie osłonić, osadziło nadgorliwego pułkownika.

Przecież chyba wiem, gdzie pracuję?

Siadam na brzegu wyschniętej fontanny, zapalam papierosa, kręcę głową i śmieję się basowym śmiechem Kseni.

No i teraz o wszystko obwinia pracowników FSB. Dla mnie to właściwie żadna różnica… A z taśmowej produkcji nurków nic im nie wyjdzie, i bardzo dobrze. Nie ma nic głupszego, niż produkcja cudów, rozpoczęta przed czasem. Nie nadeszła jeszcze pora – podobnie jak nie nadszedł czas odpornych na działanie ciepła nadprzewodników, czas specyfiku przedłużającego ludzkie życie do trzystu lat, nie nadeszła pora na odkrycie prawdy o mózgu delfinów i zestrzelonych UFO, na te wszystkie tajemnice, pogrzebane w najtajniejszych archiwach sieci…

A skąd ja o nich wiem?

Próbują sobie przypomnieć, ale wspomnienia plączą się, znikają, pozostawiając męczący niepokój. Nie będę o tym teraz myśleć.

To nieważne.

Wybiegam na ulicę, podnoszę rękę i zatrzymuję samochód. Kierowca cierpliwie czeka, a ja zaczynam się zastanawiać.

Dokąd teraz?

Do jednego z punktów wyjścia?

A może poszukać pechowych bojowników z Czyngisem na czele i uspokoić ich?

Tylko gdzie ich szukać? Gdzie oni szukaliby mnie?

– Poproszę do… – Zamieram na chwilę. Może pod pomnik Ostatniego Spamera? Spotkania pod pomnikami to tradycja, wiem…

A może do wirtualnego odpowiednika ulicy Pasiecznej, na której spotkaliśmy się w realu? – Na ulicę Pasieczną, w Moskwie.

Kierowca kiwa głową, a więc adres istnieje. Nic dziwnego. To jeden z najpotężniejszych i najbardziej ambitnych reklamowo-turystycznych projektów merostwa Moskwy – stworzyć w Głębi kopię miasta. Złe języki twierdzą, że na projekt poszło dość pieniędzy, żeby starczyło na odbudowę połowy Moskwy…

Gruba przesada.

Taksówka krąży po Deeptown. Wjeżdża na styk sektora rosyjskiego i amerykańskiego, pod gigantyczny łuk; rozmach konstrukcji nie pozostawia wątpliwości co do autorstwa. Podobno pewien skłonny do gigantomanii rzeźbiarz ostatnio tworzy wyłącznie w Głębi…

Przejeżdżamy pod łukiem i już jesteśmy na ulicach Moskwy.

Zazwyczaj są dość dobrze narysowane, czasami podobieństwo do rzeczywistości jest wręcz zdumiewające. Gdy podjeżdżamy do

Pasiecznej, dostrzegam milicjanta, który stoi w tym samym miejscu, gdzie był w rzeczywistości zeszłej nocy – i wzdrygam się.

W ten sposób można gładko złapać deep psychozę…

Przed domem z numerem pięć płacę kierowcy i wysiadam z samochodu. Oczywiście, nikogo nie ma. Nie czeka Czyngis, prawie nie widać przechodniów. Ulica wygląda jak prawdziwa, a to już nieźle. Może mieszkał tu jeden z programistów pracujących nad projektem i dlatego tak się postarał…

Podchodzę do miejsca, gdzie parkowałam w nocy, i zamieram.

Nocą pewnie był deszcz. Wirtualny oczywiście.

A tutaj stał samochód. Prostokąt asfaltu jest jaśniejszy, główny napór deszczu samochód przyjął na siebie.

Pochylam się, podnoszę z chodnika rozmiękły niedopałek. Mild seven. A co palił Czyngis? Nie pamiętam…

Rzucam peta i wycieram palce chusteczką.

Nie ma w tym nic niezwykłego! Absolutnie nic! Pogoda w wirtualnej Moskwie zmienia się tak samo jak w prawdziwej. To zwykłe podtrzymanie serwera, żadnych kombinacji. Samochody też jeżdżą tu po to, żeby stworzyć tło. Zwykły przypadek.

Przecież spotkałam się z Czyngisem w realu!

Tak?

Powiedziałam mu, że wejdę do Głębi. Czyngis zaproponował spotkanie w realu. Odpowiedziałam… co ja właściwie powiedziałam?

Jakieś dziwne zdanie… a, „na neutralnym terenie”… Czyngis zgodził się, zaproponował ten adres, i sprawdził, czy w ogóle istnieje.

Deeptown często jest nazywany „strefą neutralną”…

Zaczyna mi się kręcić w głowie, jakbym była śmiertelnie zmęczona albo myślała nie o tym, o czym powinnam…

– Karino?

Odwracam się i widzę Czyngisa.

Tym razem przyjechał bez kierowcy, ale samochód jest ten sam.

Teraz mogę mu się lepiej przyjrzeć – to jaguar.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę. – Czyngis rozkłada ręce. Najpierw pojechałem pod pomnik Spamera, nie było cię, więc przyjechałem tutaj.

– Odłączyli was? – pytam, chociaż chcę zapytać o coś innego.

Mówię niewłaściwe rzeczy. Robię nie to, co bym chciała. Ale za to robię to… co jest dozwolone.

Przez kogo?

– Tak – potwierdza Czyngis. – Zdolności są diabła warte, gdy prowajder odłącza cię od sieci. Na jedno jedyne polecenie z MWD.

– To jak teraz wszedłeś? – pytam.

– Po staremu, przez linię telefoniczną. – Czyngis krzywi się. Czuję się tak, jakbym się przesiadł do żyguli.

– Żyguli też samochód, niektórzy nie mają nawet takiego – mówię odruchowo. Samo posiadanie auta w Głębi to spory luksus, w pewnym okresie transport prywatny był całkowicie zabroniony.

A już mieć wirtualnego jaguara… Podatek taki, jak od prawdziwego. Podobnie jest z wirtualnymi rolleksami i patkami, i z czterdziestoletnią whisky… Ludzkie ambicje żyją również w Głębi.

– Wybacz, nie chciałem się urazić – mówi szczerze Czyngis. No i… co tam?

– Nic. Totalna klapa – odpowiadam. Zaczynam opowiadać i kierowcy, który zdołał skręcić i o zabójcy, który ożywił liska…

Czyngis uśmiecha się coraz szerzej. Chcę zapytać go o coś innego… o coś zupełnie innego. O to, gdzie się właściwie spotykaliśmy!

Ale kontynuuję opowieść.

– Liczyłem na to – mówi Czyngis. – Przysięgam, że liczyłem.

– Dlaczego? – pytam.

– Głębia to coś więcej, niż przywykliśmy sądzić – mówi z przekonaniem Czyngis. – To nie tylko strefa występowania, to coś jeszcze. Jesteśmy cząstkami Głębi. Ona staje się taka, jaką chcemy ją widzieć. Gdyby wszyscy zapragnęli wypełnić ulice nurkami, już by się to stało. Ale nie chcieliśmy, więc Głębia nie pozwoliła.

– Mówisz tak, jakby ona żyła – zauważam.

– Bo sądzę, że tak właśnie jest. – Czyngisa wcale nie peszą moje słowa. – Sieć stała się zbyt wielka. Nie można połączyć ze sobą milionów komputerów i oczekiwać jedynie zmian ilościowych. Zostawiamy w Głębi swoje ślady: odciski słów, czynów, pragnień. Uczymy ją, oddajemy jej część swojej duszy. Głębia musi kiedyś dojść do uświadomienia sobie siebie.

– Uświadomienia sobie, że jest kim? – pytam. – Rozciągniętą po całej kuli ziemskiej pajęczyną kabli, milionami komputerów?

Elektronicznym Frankensteinem? Potworem, monstrum, golemem, koktajlem z ambicji, żądzy, głupich gadek, filozofowania? Myślisz, że taka Głębia może zrozumieć w sobie człowieka? Że człowiek może zrozumieć taką Głębię?

– Może jest inaczej – sugeruje Czyngis. – Przecież my nie myślimy o tym, że nasz rozum to iskierki na pajęczynie synaps pomiędzy kaszą neuronów. Uświadamiamy sobie swoją osobowość, a nie poziom hormonów we krwi czy walkę pradawnych instynktów.

Milczy, wyjmuje papierosa z niebiesko-białej paczki mild seven.

Zanim zapali, dodaje:

– W każdym razie zawsze możemy zdecydować, kim jesteśmy: człowiekiem czy golemem.

– Czyngis, chodźmy stąd – proszę. – Znasz gdzieś tutaj jakąś miłą knajpkę?

– Lepiej w prawdziwej Moskwie. Jest taka restauracja… – zaczyna Czyngis.

Kręcę głową. Wydaje mi się, że wystarczy zamknąć powieki i zajrzeć w ciemność, żeby zobaczyć coś, czego nie chcę widzieć.

Bezkresną szarą mgłę, kaszę neuronów, mrugającą ognikami synaps.

Nie zamykam oczu.

– Zaczynam się bać, że tak naprawdę ty… – Czyngis nie kończy.

Biorę go za rękę. Ręka jest prawdziwa, żywa i ciepła. Człowiek, a nie golem.

– Czyngis, nie jestem facetem, nastolatką, staruszką ani potworem. Jestem taka, jaką mnie teraz widzisz, i tylko taka. Inna Karina nie istnieje.

– Okej – mówi po krótkiej przerwie. – Wybacz.

– To nic – odpowiadam, wsiadając do samochodu. – Dzisiaj jest taki dziwny dzień… Wyobrażasz sobie, Tomilin uznał, że jestem kontrolerką z innej instancji, z FSB…

– Nie wypowiadaj tego głośno – żartuje Czyngis. – A skąd takie przypuszczenia?

– Nie zdołali przebić mojej ochrony i wyśledzić kanału.

Czyngis kiwa głową i wyznaje:

– Ja też, szczerze mówiąc, próbowałem cię wyśledzić. Doszedłem do wirtualnego mieszkania, i to wszystko. Wspaniały pierścień, nie zrozumiałem, na czym polega ta sztuka.

– To tata – mówię bez wahania. – Jest dobrym programistą. Widocznie postawił swoją ochronę.

– Poważny tata – przyznaje Czyngis.

Jaguar rusza; odchylam głowę i patrzę kątem oka na Czyngisa.

Jaki on podobny do mojego rycerza ze starych puzzli…

Ta mozaika nigdy nie ułoży się do końca. Wiem. Wiem o tym, nawet nie zamykając oczu.

Ale rycerz i księżniczka wcale nie muszą o tym wiedzieć.

CIENIE SNÓW

1. Kurierzy i sportowcy

Gdy późnym wieczorem wyszedłem z lasu zmęczony, głodny, zły i nienawidzący całego świata oraz siebie na dokładką, natknąłem się na abori.

Tubylec siedział na betonowej płycie ukośnie wystającej z ziemi. Tej części kosmodromu od dawna nie używano, ułożone niegdyś z taką starannością płyty pokruszyły się i trawa wypierała je sukcesywnie. Z tyłu, za mną, beton zdążył się zmienić w kruszywo, nieprzypominające nawet produktu ludzkich rąk. Z drugiej strony, bliżej miasteczka, płyty jeszcze się trzymały. Najpierw się wybrzuszały – to obcy grunt próbował je wyprzeć, potem przyjmowały dawny wygląd.

Abori popatrzył na mnie – wypukłe oczy zapulsowały, regulując ostrość. Podciągnął długie, chude nogi, jakby się bał, że go ściągnę z płyty.

– Pokój i miłość – burknąłem, omijając płytę z tubylcem.

To był stary osobnik, szary kolor pseudoskóry zdradzał podeszły wiek. Tacy często dostają napadów kaszlu, a ja nie miałem ochoty ścierać z kombinezonu żrącego śluzu.

– Pokój i miłość – powtórzył abori.

Zatrzymałem się. Tubylcy mogli jedynie kopiować ludzką mowę, ale sam fakt, że się odezwał, świadczył o pragnieniu rozmowy.

– Dobrze, przyjacielu, słucham – powiedziałem, zatrzymując się w bezpiecznej odległości.

Abori zmarszczył spłaszczony nos i powiedział:

– Dobrze… przyjacielu…

Czekałem. Istotę, która mówi przez nos tylko po to, żeby przykuć twoją uwagą, należy traktować pobłażliwie.

Abori oderwał rękę od płyty, wsunął ją w fałdy pseudoskóry.

Czekałem cierpliwie, aż przestanie grzebać w swoich wnętrznościach. Może go wątroba zaswędziała…

Tubylec wydał chlupiący dźwięk, wyjął małą pomarańczową kulkę i podsunął w moją stronę, turlając na dłoni.

Perła była piękna!

Nie żaden Świt Imperium czy Kwiat Plazmowy, ale pełnowartościowa perła pierwszej kategorii, a to oznaczałoby dla mnie pięć lat życia na niezłym poziomie.

Albo bilet na Terrę.

Zrobiłem krok w stronę abori i tubylec natychmiast ukrył perłę w swoim ciele.

– Woda? – spytałem tępo.

– Woda – potwierdził abori.

Abori, rdzenni mieszkańcy tej planety, nie chcą od nas niczego, kompletnie niczego. Broń, sprzęt, żywność, ubranie – to wszystko nie ma dla nich żadnej wartości.

Tylko woda. Mała ilość czystej wody – około litra. Taka cena zadowala wszystkich i litrową butelkę na pasie noszą nawet dzieci.

Wszyscy wiedzą, jak należy postępować, gdy abori podsunie ci perłę.

Odczepiłem butelkę i pokazałem tubylcowi. Butelka była lekka.

– Zabłądziłem – powiedziałem nie wiadomo po co. – Rozumiesz? Zabłądziłem na piaskach. Nie mam wody.

Abori westchnął i zsunął się z płyty.

– Poczekaj! – krzyknąłem. – No, poczekaj trochę! Przyniosę!

Poczekaj chociaż godzinę! Pół godziny!

Pomyślałem, że przez pół godziny zdążę dobiec do najbliższego posterunku ochrony, tam napełnię butelkę, wezmę flaer – chłopcy pewnie pozwolą – i w ciągu kilku minut będę z powrotem.

Ale abori odchodził.

– Draniu! – krzyknąłem za nim.

Abori zatrzymał się; widać wyczuł jakieś zagrożenie, bo popatrzył na mnie. Głowę owiał mi lodowaty wiatr, w pustej czaszce zastukała wyschnięta kulka mózgu.

Nie na darmo się przestraszyłem. Abori mógł wysuszyć mój mózg w ciągu kilku sekund.

Tubylec wiedział jednak, że od przekleństwa do strzału w plecy droga daleka, więc odwrócił się i poszedł w stronę lasu. A ja uświadomiłem sobie, że ściskam głowę rękami, może w bezowocnej próbie osłonięcia się przed iluzją, a może próbując dopasować czaszkę do nowego rozmiaru mózgu…

Ale mnie załatwił, łajdak…

Abori odchodził. Odkorkowałem butelkę i wylałem resztkę wody na ziemię. Za mało, żeby zainteresować tubylca.

A najśmieszniejsze jest to, że woda na tej planecie nie ma szczególnej wartości. Jest jej tu dużo; dwa źródła artezyjskie zaspokajają potrzeby miasteczka, prócz tego są rzeki, jeziora i bagna. Po prostu abori uważają niekiedy za wskazane wymienić wyhodowaną we własnym ciele pomarańczową perłę na litr wody.

Nieźle się zabezpieczyli. Nikt nie będzie próbował wejść w konflikt z istotą posiadającą zdolności telepatyczne i zdolną do emitowania mikrofal. Tym bardziej że nie można odebrać ukrytej perły siłą. W martwym abori kulka rozpuszcza się w ułamku sekundy. Nie mówiąc już o tym, że inne abori odnajdą zabójcę i upieką go żywcem.

A jeśli opuści planetę, zabiją najbliższego mu człowieka. Jakim cudem udaje im się odnaleźć taką osobę, nie wiadomo, ale nigdy się

nie mylą. Tak postąpili z synem Dina Russela, człowieka, który odebrał abori Plazmowy Kwiat. Nikt nie wie, dlaczego zabił tubylca, zamiast dać mu butelkę (bo podobno miał wodę), tak czy inaczej, zapłacił za perłę strzałem i uciekł z planety, a pod wieczór abori przyszły do miasteczka. Wszystkie ogrodzenia spalili – od tej pory już się ich nie odbudowuje – i weszli do osiedla. Nikt nie próbował im przeszkodzić.

Wszyscy myśleli, że abori zabiją żonę Russela, a oni wzięli syna. Tylko duchowny próbował coś zrobić, biegał ze swoim krzyżem, wołał, a tubylcy powtarzali jego słowa: „Opamiętajcie się… niewinny… gniew Boży…" i, ciągnęli chłopaka na plac.

Tam go spalili. W jednej chwili, bez zbędnego okrucieństwa.

Był człowiek, a został wypalony w środku trup.

Kilku mężczyzn chwyciło za broń, ale w porę poczuli, że abori gotowi są powtórzyć tę sztuczkę z nimi.

A potem dwudziestu tubylców podeszło do ludzi i podało im pomarańczowe perły. Nie jako rekompensatę, po prostu proponowali wymianę – przypominali, jak powinna wyglądać.

Teraz obok mumii siedemnastoletniego chłopca, który miał nieszczęście być synem Russela, ludzie w milczeniu odpinali butelki i podawali je abori…

Patrzyłem, jak ostatnie krople wody spływają z szyjki, a potem rzuciłem butelkę na ziemię i zacząłem ją deptać. Plastik zgniótł się, ale nie pękł. Skakałem po butelce tak długo, aż rozbolały mnie pięty.

Plastik okazał się mocniejszy ode mnie.

Ściemniło się już, purpurowe słońce skryło się za horyzontem, pojawiły się gwiazdy. Podszedłem do posterunku – okrągłej, wrośniętej w ziemię kopuły z małymi wieżyczkami systemów bojowych.

Zgodnie z regulaminem kopułę powinno osłaniać pole siłowe, wszystkie wejścia miały być zamknięte na głucho, a mnie, snującego się po pasie startowym, powinni byli już trzy razy ostrzec i pięć razy spalić.

Dobrze, że nie żyjemy zgodnie z regulaminem. Dobrze, że mamy taką spokojną i cichą planetę…

Nawet abori mogą wyrządzić krzywdę człowiekowi jedynie w akcie samoobrony. Nie są źli, tylko zupełnie obcy…

Przy otwartych drzwiach kopuły, na umieszczonym w pokrowcu miotaczu rakiet Salieri, kształtem i rozmiarem przypominającym szkolny tornister, siedział Denis Ogarin. Na jego widok trochę poprawił mi się humor. Denis pomachał ręką, a potem demonstracyjnie popatrzył na mój pas, na puste miejsce po butelce z wodą.

– Można ci pogratulować, młody?

Nie lubię tego zwrotu. Po pierwsze, Denis jest tylko pięć lat starszy ode mnie, a po drugie, w wieku dwudziestu lat uzmysłowiłem sobie, że zwrot „młody człowieku" zupełnie do mnie nie pasuje. Ale Denis może do mnie mówić „młody", „koleś", „mały", a nawet „dzieciaku". Dziesięć lat temu opuścił mury korpusu kadetów na Terrze i od tamtej pory jest w piechocie kosmicznej. Porucznik! Widział prawie całe Imperium, był nawet poza jego granicami…

– Raczej się ze mnie pośmiać – powiedziałem ponuro i przysiadłem nieopodal; na miotaczu rakiet zabrakło miejsca, poza tym nie miałem ochoty siedzieć na pociskach subatomowych – tylko twardzielom z piechoty kosmicznej bank spermy opłaca państwo.

W dwóch słowach opowiedziałem, co się stało.

– Nie będę się śmiał – zapewnił Denis. Sięgnął do kieszeni, wyjął fajkę i tytoń. – Śmiać można się z tych, którzy jeszcze nie są całkiem beznadziejni… żeby zrozumieli. A ty jesteś beznadziejny.

Milczałem.

– Aloszka, opowiadałem ci o prawach fartu?

– Ze sto razy.

– A więc, mój młody przyjacielu – Denis metodycznie ubijał tytoń, nie patrząc na mnie i nie zwracając najmniejszej uwagi na moją odpowiedź – jedna z tych zasad brzmi: bądź zawsze gotów na nadejście sukcesu. Nieustannie, w każdej chwili. Jeśli nawet siedzisz na sedesie, to jeszcze nie znaczy, że za chwilą nie będziesz musiał się zerwać i polecieć za fartem z opuszczonymi spodniami.

– Denis…

– Co? Nie wyglądasz na wykończonego. Wyszedłeś z osiedla wczoraj rano, a bez wody można wytrzymać trzy dni. Po jaką cholerę otworzyłeś wymienną butelkę?

– Chciało mi się pić.

– No to się nie skarż. Zaspokoiłeś pragnienie i zrobiło ci się dobrze. Co prawda, tym samym straciłeś jedyną okazję na wyrwanie się z tego zadupia. Ale zawsze trzeba coś poświęcić.

Miał rację, miał absolutną rację. Nie mogłem liczyć nawet na pobłażliwość.

– Nie mów nikomu – poprosiłem.

– Jasne. Ale przecież i tak zaraz wszystkim rozpowiesz. Nie wytrzymasz. Upijesz się dziś wieczorem i będziesz się żalił przyjaciołom, i do twoich przezwisk dorzucą jeszcze jedno, nowe.

Milczałem.

– Aleksiej, znam cię pięć lat. – Denis objął mnie ramieniem. Wiesz, co jest w tobie zastanawiające? Na pierwszy rzut oka wydajesz się człowiekiem wyjątkowo zdolnym i fartownym. Aż zazdrość bierze… Silny, inteligentny, utalentowany chłopak. Samorodek. To prawda, że gdy miałeś dziesięć lat, zaproponowano ci wstąpienie do

szkoły sztuk pięknych na Terrze? Na koszt państwa?

– Tak.

– A ty się rozpłakałeś i nie chciałeś tam lecieć… Jeszcze przez kilka lat robiłeś te swoje statuetki, a potem dałeś spokój.

– To nie dla mnie, Denis! Pomyśl sam, co ze mnie za rzeźbiarz?

Miałem szczęście, przypadkiem wygrałem ten głupi konkurs, no i co z tego?

– Idiota. Nawet gdyby to było po trzykroć nie „dla ciebie", miałeś szansę wyrwać się stąd! I to dokąd? Na Terrę! Rozumiesz? Nawet gdyby cię po miesiącu wyrzucili za lenistwo i brak zdolności, państwo i tak brało za ciebie odpowiedzialność! Odesłanie cię z powrotem kosztowałoby więcej niż wychowywanie do osiągnięcia pełnoletności w metropolii! I nie mów mi, że wtedy tego nie rozumiałeś!

– Rozumiałem.

– No właśnie. A potem… Miałeś osiemnaście lat, kiedy na waszej planecie werbowali do piechoty kosmicznej, prawda? Przeszedłbyś wszystkie sprawdziany, wierz mi.

– Chciałem!

– Chciałeś. I złamałeś rękę tuż przed komisją medyczną.

– To nie moja wina.

Denis pykał fajką, patrząc na światła miasteczka. Najjaśniej świeciły okna budynku klubu. Ma racją, zaraz tam pójdę, upiję się i opowiem wszystkim o swojej hańbie…

– Nie twierdzę, że twoja. Są po prostu ludzie, którzy łapią szczęście za ogon, a są tacy, którzy go nawet nie zauważają. Ty należysz do tych drugich. Wybacz.

– To zwykły pech.

– Właśnie! Właśnie, Aleksiej! Zwyczajny pech, który bardzo cię lubi. Popatrz na siebie… Dwadzieścia lat przeżyłeś w tej dziurze, na planecie, gdzie nie ma nawet pięciu tysięcy mieszkańców.

Zajmujesz się Bóg wie czym, łazisz po lasach w nadziei, że jakiś aborygen podaruje ci kawałek swoich fekaliów…

– Perły to nie fekalia!

– Niech będzie, że kamienie żółciowe, wszystko jedno! Jeśli mam być szczery, ich wartość jest niewielka. To jedynie chwilowo modna ozdóbka. Ale gdy przeminie popularność pereł, na waszej planecie postawią krzyżyk. Wiesz, jak się to może stać? Jakiś modny reporter doniesie, że piękne perły są wyjmowane z kiszek paskudnych tubylców, a ich cena wynosi litr wody. I po krzyku! Bogate paniusie zrzucą z siebie perły i te kamyczki przestaną być cokolwiek warte.

– Denis…

– Alosza, siedzę tutaj pięć lat. Możliwe, że nie jesteśmy już przyjaciółmi, ale chyba nadal pozostajemy kumplami? – Denis uśmiechnął się. – I chyba możemy szczerze pogadać? Ty z

najkorzystniejszych sytuacji wychodzisz z maksymalnymi stratami.

Zerwałem się. Denis wzruszył ramionami.

– O co ci chodzi? – spytałem. – No, o co?

– Podpisali mi rozkaz – powiedział spokojnie Denis. – Będę mógł umieścić na pagonach kapitańskie gwiazdki. Pojutrze odlatuję.

– Dokąd? – spytałem tępo, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Na przeszkolenie. Przez te pięć lat nazbierało mi się sporo zaległości… ale spróbuję je nadrobić. A potem do regularnych oddziałów. – Denis zerknął na mnie. – Widocznie na granicy rośnie napięcie… Chcę przez to powiedzieć, że nie będziesz się miał kogo radzić ani komu żalić.

– Nie żaliłem się i nie mam zamiaru! – krzyknąłem. – Jedź sobie! Może przyślą kogoś fajniejszego!

– Nie przyślą, Aleksiej. Znowu redukują garnizon.

– I dobrze, mniej darmozjadów – warknąłem. – Żegnaj.

– Na razie, Aloszka.

Ruszyłem biegiem, a świeżo upieczony kapitan Denis Ogarin nadal siedział na plecaku rakietowym, na którym siedzenie bynajmniej nie jest wskazane, i pykał fajkę. Zostało mu tylko dwa dni na mojej planecie i cieszył się z tego.

A ja pewnie przeżyję tu całe życie. Jeszcze sto lat. Tylko czym będą się one różnić od już przeżytych dwudziestu?

– Piwa, Aleksiej?

– Nie, wujku Griszo. Koniaku.

Barman Grigorij faktycznie był moim wujkiem, tylko ciotecznym. Nasza kolonia nie jest duża i niemal każdy jest czyimś dalekim krewnym. Dlatego do pokrewieństwa nie przywiązuje się aż takiej wagi, chyba że bezpośredniego – matka i syn, brat i siostra…

Ale Grigorij Kononow, były żołnierz Imperium, przeniesiony do rezerwy ze względu na ranę, były horodniczy, który odszedł ze stanowiska na własną prośbę, były milioner, który wzbogacił się na Gwieździe Północy i w ciągu pół roku wydał cały majątek, był mi bardzo bliski. W swoim czasie, gdy ojciec zginął, a mama jeszcze walczyła o życie, trochę nam pomagał. Nie żebym go wyjątkowo kochał, zbyt często wujek prawił mi złośliwości, ale lubiłem go i on też mnie lubił.

– No i co tam u ciebie? – Grigorij nalał mi koniaku, nieco droższego niż pozwalały na to moje kredyty. – Jakie smutki topimy?

Piłem bez słowa, kątem oka obserwując knajpę. Na razie nie było wielu ludzi. Jedni grali w palanta i słupki na sali sportowej, inni pływali w basenie – widziałem to wszystko przez dwie wewnętrzne szklane ściany. Dwie pozostałe ściany zrobiono z bali, jak przystało na karczmę.

– Zaproponowano ci perłę pierwszej wielkości, a ty nie miałeś wody? – zasugerował wujek Grisza, a ja spojrzałem zaskoczony. Naprawdę?

Siedzący obok goście popatrzyli na mnie z zaciekawieniem. Ich oczekiwania sprawdziły się – dziesięć minut później, zgodnie z przewidywaniami Ogarina, opowiedziałem całą historię.

Kononow gwizdnął i nalał mi pełny kieliszek jeszcze droższego koniaku.

– Na koszt zakładu. I tak się dzisiaj upijesz, więc pozwól, że uczynię twojego kaca bardziej znośnym. To nic, Alosza, zdarza się…

Skinąłem głową. Ze współczuciem poklepywano mnie po ramieniu, mówiono, że różnie się w życiu układa i że w końcu do mnie też się los uśmiechnie. Zaczęto wspominać rozmaite historie: jak to rezygnując z jednej małej perły, ktoś wkrótce nabył dużą, jak abori przychodzili do tego samego człowieka dzień po dniu, przynosząc coraz większe perły… Zaczęła się normalna, uspokajająca paplanina, kiedy to razem z sympatią (wszyscyśmy tu sami swoi i w dodatku dobrzy ludzie) wyczuwało się ulgę. To nie ja! Nie ja się tak głupio zachowałem! – czytałem w ich oczach.

Piłem dużo, ale zupełnie nie mogłem się upić, pewnie z żalu.

A może to przez ten drogi koniak, który rozgrzewał w środku, ale jakby wcale nie uderzał do głowy. Dopiero gdy wstałem z wysokiego barowego stołka i nogi mi się rozjechały, zrozumiałem, że jestem urżnięty.

– Hej, Aloszka! – Pochwycił mnie Romka Coj, mój rówieśnik, chłopak chudy, ale żylasty, jak jego koreańscy przodkowie. – Ty moczymordo…

Nie powiedział tego złośliwie, raczej żartem i z sympatią, i pewnie nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie moja opowieść…

– Aloszka moczymorda – westchnął ktoś. I wcale nie chodziło o mój obecny stan, lecz o wstydliwą historię z butelką wymienną.

Wychodząc razem z Romka z baru, pomyślałem, że to przezwisko przylgnie do mnie na zawsze, podobnie jak „rzeźbiarz”, „dezerter” i inne epitety, za którymi kryły się różne haniebne historie.

Kapitan Ogarin miał rację. Pod każdym względem.

– Romka, dlaczego ja… dlaczego jestem taki? – spytałem. Język mi się plątał.

– Zaraz odetchniesz świeżym powietrzem i od razu poczujesz się lepiej – zapewnił pojednawczo Romka.

Rozbawiło mnie to.

– Ja nie o tym, Koreańczyku, głupi jesteś… Nie o tym mówię…

Romka cicho sapał, wyprowadzając mnie z klubu. Chlapiące się w basenie maluchy chichotały, idący z naprzeciwka ojciec Witalij, nasz nowy kapłan, który niedawno przyjął święcenia, zmarszczył brwi, ale

taktownie nic nie powiedział. Wyjął papierosa z marihuaną i udał, że jest zajęty poszukiwaniem zapalniczki.

Nagle dotarło do mnie, że ostatnio na mój widok ludzie jakoś często odwracają wzrok.

– No, zaraz wytrzeźwiejesz – powiedział Romka, lokując mnie na ławce przed wejściem. Dobrze chociaż, że nie ma nikogo na dworze, jedni siedzą w klubie, inni w domu… Większość w klubie, oczywiście. – To nic, Aloszka, nie martw się…

– Wcale się nie martwię.

Romka westchnął, usiadł obok mnie i powiedział dobrodusznie:

– I słusznie, nie ma się co smucić. Każdemu mogło się zdarzyć.

Może powinieneś się ożenić?

– Że co? – nie załapałem związku.

– No wiesz, mądra żona… – Zamilkł, widząc, że niepotrzebnie zaczął temat. Ale było już za późno.

– To powszechna opinia? – zapytałem.

Romka zerknął na mnie zdumiony; zrozumiał, że jestem trzeźwiejszy, niż sądził.

– Tak. Nie obrażaj się, ale rzeczywiście pora się ustatkować.

Romka był żonaty od czterech lat, miał dwóch synków, przy czym starszy już z dumą dźwigał u pasa butelkę wymienną. Romka cieszył się szacunkiem mieszkańców.

– Zrozum, Aloszka… – Romka popatrzył na mnie stropiony. Wszyscy cię lubimy. Bo w czym jest siła nas, prawosławnych? W miłości i jedności! Trzeba nie tylko być dobrym człowiekiem, ale jeszcze dobrym członkiem wspólnoty. Wszyscy się o ciebie martwią, uwierz mi. Gdy robisz kolejne głupstwo, to jeśli nawet ktoś się pośmieje, tak naprawdę się martwi! Kiedy człowiek jest sam, to… tfu! Romka splunął sobie pod nogi i roztarł ślinę butem. – Nie jest nic wart! I dla siebie jest ciężarem, i dla wspólnoty. Może rzeczywiście potrzebujesz kogoś obok siebie, bo bez tego nic ci nie wychodzi?

– I kogóż to swata mi wspólnota? – zapytałem.

Romka stropił się, ale nie mógł już się wykręcić od rozmowy.

– Olgę Nonową.

Aż mnie zatkało.

– Olgę Pietrownę? Romka! Tylko w pierwszej klasie wszyscy kochaliśmy się w nauczycielce! Ona ma ponad czterdzieści lat!

Dobrze, że nie powiedział: „W starym piecu diabeł pali”, albo że po czterdziestce zaczyna się nowe życie. Romka milczał, odwracając wzrok, a ja przetrawiałem jego słowa. A więc w osadzie uważają mnie za tak beznadziejną łajzę, że nikt, prócz starej nauczycielki, czupurnej i zarozumiałej, która mogłaby być moją matką, nie może się o mnie zatroszczyć.

O tym, że ja mógłbym się o kogoś troszczyć, w ogóle nie było

mowy.

– Wyniosę się stąd, Romka – powiedziałem. – Dokądkolwiek.

Na Pogranicze, na planety-kopalnie… Nie mogą dłużej włóczyć się i czekać, aż abori zaproponują mi kawałek fekaliów…

– Perły to nie fekalia! – obraził się Roman. W zdobywaniu pereł był niezmordowany i miał sporo szczęścia.

– A niechby nawet kamienie żółciowe – powtórzyłem złośliwie słowa Ogarina. – To przecież obłęd! Żyć tylko nadzieją, że jak będziesz miał fart, to podarują ci kawałek obcego ciała! Co będziesz wspominał, gdy nadejdzie śmierć? Jak łaziłeś z butelką po dżungli?

Romka drgnął. Byliśmy kumplami, ale teraz przesadziłem. Wstał i pochylił się nade mną.

– Nie mam zamiaru umierać i jeszcze mogę zarobić na odmłodzenie! Ale gdyby przyszło mi skonać choćby dziś, to będę miał co wspominać: czterdzieści trzy perły, żonę, chłopców! A ty, Aloszka? Co ty będziesz wspominał? Swoje rzeźby? Właśnie, a niby z czego je lepiłeś, demaskatorze? To właśnie one były z… Gdyby prawdziwi rzeźbiarze na Terrze o tym wiedzieli… Za nic by ich nie wzięli do ręki!

Milczałem. Romka miał rację – właśnie dlatego przestałem rzeźbić. Jak się dowiedziałem, czym tak naprawdę są bursztynowe okrąglaki, znajdowane w lesie, z których tak fajnie wycinało się – wycinało, a nie lepiło – śliczne, połyskujące w słońcu statuetki… Od razu przestałem się w to bawić.

– Synu marnotrawny! – powiedział twardo Romka. – Może cała wspólnota ma ci się zrzucić na bilet? Przecież sam nigdy nie zarobisz! I tak cię tu wszyscy utrzymujemy!

Wstałem gwałtownie, aż ziemia zakołysała się pod nogami, ale zachowałem równowagę i szybko zacząłem oddalać się od klubu.

Alkohol przestał działać, widocznie za dużo miałem adrenaliny we krwi. Romka, który rzadko wybuchał i szybko stygł, krzyknął za mną niepewnie:

– Hej, daj spokój, nie masz się co obrażać! Przecież to prawda!

Nie zatrzymując się, szedłem przed siebie w stronę kosmodromu. Tak, chcę się stąd wynieść! Całe życie o tym marzyłem! Ale jak mogłem jako dzieciak lecieć na baśniową, wspaniałą, starożytną Terrę, skoro mama chorowała! A jeśli chodzi o ten przeklęty nabór ochotników… Nie złamałem ręki specjalnie, po prostu urządziłem sobie trening, postanowiłem pokazać komisji wszystko, na co mnie stać, no i przeholowałem…

No, a dzisiaj… Szczęście samo pchało się w ręce, perła o wielkiej wartości… Odniósłbym ją do biura, dostał czek… I za tydzień na pokładzie liniowca turystycznego „Afanasij Nikitin”, który zatrzymuje się przy planecie raz na pół roku, wyruszyłbym do metropolii.

A teraz już koniec. Cała wspólnota i tak nie zrzuci mi się na bilet.

Zamiast tego przyjdzie ojczulek Witalij, napije się ze mną albo zapali trawkę, popatrzy mi z wyrzutem w oczy i zacznie mówić o Bogu, o przeznaczeniu, o tym, że swoim postępowaniem martwię Boga, że konsekwencje duchowe mogą się okazać tragiczne. I nawet nie zauważę, jak poprowadzę do ołtarza starą, grubą, nudną Olgę Pietrownę…

Gdy ochłonąłem, okazało się, że jestem przy pasie startowym.

Panowały ciemności, a na nocnym niebie zapalały się, płonęły i gasły gwiazdy. No dobrze, nie całkiem gwiazdy… Spadające gwiazdy.

Nasza planeta jest otoczona obłokiem pyłu i prawdziwych gwiazd nie widać. Za to co chwila nad naszymi głowami spalają się tysiące mikrometeorytów. Podobno prawdziwe gwiazdy wyglądają dokładnie tak samo, tylko nie mrugają, lecz świecą równym, spokojnym światłem. Mówią, że nasze gwiaździste niebo jest piękniejsze od prawdziwego. To dlatego czasem przyjeżdżają do nas turyści – spędzić jedną noc, potańczyć i napić się pod migotliwym sklepieniem…

Nie wiem. Ja tam chciałbym zobaczyć prawdziwe gwiazdy.

Chciałbym latać od gwiazdy do gwiazdy, odwiedzić planety Pogranicza, zajrzeć na Terrę. Być tam kimkolwiek, choćby asenizatorem. Byle tylko nie gnić w naszej dziurze! Boże, nawet jeśli w Ciebie nie wierzę, to błagam, pomóż mi się stąd wyrwać! Do prawdziwego, ogromnego świata, gdzie można stać pod niebem, na którym płoną gwiazdy, a nie międzyplanetarne śmieci! Gdzie dzieją się prawdziwe rzeczy!

– Aloszka!

Z ciemności wyłoniła się jakaś postać, poznałem Denisa – nie wiedzieć czemu był w pełnym umundurowaniu, nawet przyczepił swoje trzy ordery. I dodał gwiazdki na pagonach.

– Tak myślałem, że to ty się tu włóczysz… – powiedział ciszej, podchodząc do mnie. – To w końcu teren wojskowy, przyjacielu!

Milczałem.

– A może wykluczyłeś mnie z grona osób, z którymi rozmawiasz? – zapytał Denis.

– Nie… – wykrztusiłem. – Przepraszam… Miałeś rację. Pod każdym względem.

– No wiesz… – Ogarin rozłożył ręce. – Przyznajesz mi rację? Zamilkł, podszedł bliżej i wziął mnie za rękę. – Ja też przepraszam.

Tobie zdarzyło się nieszczęście, a ja wyskakuję z kazaniami. Nie miej żalu.

– Pokój i miłość – odparłem. No proszę, poczucie humoru jeszcze mi zostało.

– Właśnie, przy okazji… pokój i miłość… Masz wodę?

Odpiąłem z pasa nową butelkę, odruchowo zabraną z knajpy, i

podałem Denisowi. Napił się, zdjął czapkę, wylał resztki wody na głowę i w zadumie powiedział:

– Pięknie tu… Będzie mi brakowało waszego nieba… Trzymaj!

Na jego dłoni leżała perła. Nieco mniejsza od tej, którą straciłem dziś rano, ale i tak spora.

– Sprawdziłem w informatorze, powinno wystarczyć na bilet do metropolii – dodał Denis. – No, bierz.

– Nie.

– Słucham? – Ogarin popatrzył na mnie zdumiony. – Hej, Alosza, to ja! Wziąłem od ciebie butelkę wody, a w zamian daję perłę.

Co za różnica, czy zaproponował ci ją człowiek, czy abori?

– Duża. Abori nie znają jej wartości.

– I nie chcą znać. Ja też nie chcę. I tak bym nie sprzedał, zabrałbym na pamiątkę. Ale po co mi to… lepiej pomogę tobie. Weź!

– Skąd ją masz?

Denis prychnął.

– A skąd biorą je inni? Dyżuruję na kosmodromie, przeganiam tubylców, jeśli zapędzą się na pasy startowe, a oni proponują mi perły. Po co obrażać odmową chodzące lasery? Stąd właśnie perła. I nie tylko jedna.

– Nie.

– Dlaczego, na Boga? Jak biją, to uciekaj, jak dają, to bierz!

– Denis, miałeś rację co do mnie. Nie umiem korzystać z prezentów losu.

– To przecież taki właśnie prezent! Bierz, mówię ci!

– Denis, to…

– Co „to”? No, jak będzie?

Spieraliśmy się tak z dziesięć minut. Denis wciskał mi do ręki perłę, ja nie chciałem jej przyjąć. Nie umiałem uzasadnić, dlaczego nie powinienem wziąć perły. Sam tego nie wiedziałem. Ale nie chciałem.

– Aloszka… – Denis w końcu zrozumiał, że mnie nie przekona. – O co ci chodzi? Mówisz, że mam rację. No więc właśnie teraz trafia ci się los!

– To nie los.

– A co?

– Litość.

Denis splunął zirytowany, a potem absolutnie spokojnie zapytał:

– A kiedy naprawdę będzie los?

– Poznam go.

– Może masz rację – zauważył niespodziewanie. – Nigdy nie wierz w dary losu. Jeśli nie wyszarpuje się ich zębami, nie są smaczne. Brawo, Aloszka. Jednak czegoś cię nauczyłem.

Wsunął ręce do kieszeni i przygarbiony stał przede mną, tracąc swój zwykły, pewny siebie wygląd. Patrzył na migoczące niebo

pewnie dla niego to rzeczywiście niezwykły widok, skoro nie przepuszczał okazji, żeby się pogapić.

– Ładnie – zauważyłem ostrożnie.

Ogarin wzruszył ramionami.

– Właściwie to nawet nie podziwiam nieba… Próbuję znaleźć statek.

– Jaki statek?

– Jacht klasy Riksza. Godzinę temu prosił o pozwolenie na lądowanie. Myślisz, że dlaczego szukałem cię na pasie? Dla mnie możesz sobie łazić, co mi tam. Ale jakbyś trafił pod promień silnika, byłoby po tobie.

– Jacht… – powtórzyłem. W tych okolicach ciągle była to rzadkość, zacznie większa niż terrański frachtowiec czy liniowiec pasażerski. Zwykły jacht, jeśli słowo „zwykły" ma tu zastosowanie, potrzebuje umiejętnej i licznej obsługi. A do najbliższej naprawdę rozwiniętej planety jest ponad dwadzieścia świetlnych lat. – Co to za model ta Riksza?

– Nie wiem, dużo się ich teraz pojawiło. Może zwykła łajba, a może latający pałac.

– Kiedy przyleci?

– Za pół godziny. – Ogarin wyjął fajkę. – Albo trochę wcześniej.

– Pewnie chodzi o paliwo albo jakąś naprawę, turyści zwykle uprzedzają wcześniej – zasugerowałem. – Mogę popatrzeć?

– A patrz sobie.

Gapiliśmy się na roziskrzone meteorami niebo. Dostrzeżenie na nim statku jest prawie niemożliwe. A jednak było coś hipnotyzującego w tej wariackiej próbie – wśród tysięcy płonących gwiazd próbować dojrzeć jedną żywą.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – zapytał nagle Denis. – Dokładnie tak samo… Wszedłeś na pasy, żeby popatrzeć na jakiś statek.

– Pamiętam. Omal mnie nie zastrzeliłeś.

– Aha. Ale co chcesz, to był mój trzeci dzień na tej planecie.

Nie przywykłem jeszcze do waszego niedbalstwa. Na Hanumani dostałbym urlop za postrzelonego włóczęgę.

– Za postrzelonego chłopca.

– Żadna różnica. Regulamin kosmodromu rzecz święta. Daj spokój, Aloszka. Nie wypominaj…

– Dobra.

Ogarin poklepał mnie po ramieniu.

– Wiesz, myślę, że będę tęsknić. Za tym waszym obłędnym niebem i stukniętymi abori. I za tobą.

– I za mną, stukniętym kolesiem.

Kapitan zaśmiał się cicho.

– Złość się, złość. Byle nie na mnie, bo taka złość jest bezpłodna. Złość się na siebie. Zawsze i we wszystkim. Cokolwiek zrobisz nieprawidłowo, złość się na siebie. To czasem pomaga.

– Statek – powiedziałem.

– Gdzie? – Ogarin uniósł głowę.

Skłamałem. Nie dlatego, że chciałem przerwać ten potok morałów. Przywykłem do nich, zresztą Denis przeważnie mówił słuszne rzeczy.

Po prostu zapragnąłem ciszy.

Może to śmieszne, ale Denis był moim przyjacielem, prawdziwym przyjacielem. Dopiero teraz to zrozumiałem. Wszyscy inni, nawet ci, z którymi spędzałem dziesięć razy więcej czasu, byli nasi, miejscowi. Znałem ich jak zły szeląg, oni mnie również. Gdy nie masz wyboru, przyjaźń nie do końca jest przyjaźnią. Z Denisem zaprzyjaźniliśmy się po tym zdarzeniu, kiedy przez dziesięć minut trzymał mnie na celowniku, a ja się haniebnie rozbeczałem. Widywaliśmy się niezbyt często, on był wiecznie zajęty, jako starszy oficer dwudziestoosobowego garnizonu, a ja włóczyłem się po lasach w poszukiwaniu abori.

Ale Ogarin był moim przyjacielem, a teraz go tutaj nie będzie.

Pozostanie nasze małe osiedle, pozostanie garnizon, pozostanie kruszący się pod nogami kosmodrom i miliony płonących gwiazd spadną jako popiół pod moje nogi. Denis poleci na nowe miejsce służby, a ja jeszcze miesiąc czy dwa będę się kłócił ze wspólnotą, żeby w końcu pójść do wymalowanej Nonowej z bukietem czerwonych róż.

– Faktycznie statek – powiedział zdumiony Denis. – Jak ci się udało go zobaczyć? Nie zauważyłem wcześniej, żebyś miał taki talent.

Popatrzyłem na niebo nie mniej zdziwiony od niego. Rzeczywiście… Czerwony punkt, na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia od innych, nie miał zamiaru gasnąć i poruszał się znacznie wolniej.

– Idzie na silnikach plazmowych, do lądowania ma jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. – Kapitan pokręcił głową. – Brawo! Jak go zauważyłeś?

Poczułem się głupio.

Zawsze chciałem, żeby mnie pochwalił. Od rodziców słyszałem czasem słowa pochwały, od niego nigdy albo prawie nigdy. Nie było za co… Teraz, szczerze mówiąc, też nie ma za co.

– Nijak – wyznałem. – Nie widziałem statku. Tak tylko powiedziałem, na chybił trafił.

Ogarin prychnął.

– A może to dobrze?

– A co w tym dobrego?

– Fart, choć odrobina fartu. Przepadniesz tu, Aloszka.

Przepadniesz z kretesem.

– Nasza planeta jest spokojna i cicha. Giną tylko próżniaki i dranie.

– Można zginąć na różne sposoby. Nawet gdy człowiek jest cały i zdrowy, ma śliczną żonę, fajne dzieciaki i niezłe konto w banku.

Dla niektórych ludzi nie to jest najważniejsze.

– Na przykład dla ciebie?

– Na przykład dla mnie.

– I dlatego wstąpiłeś do piechoty kosmicznej?

Ogarin uśmiechnął się.

– No tak, przecież nigdy ci nie opowiadałem… Ale teraz już chyba mogę.

– A co, jestem wystarczająco duży? – spytałem ironicznie.

– Nie o to chodzi. Zdaje się, że dobrze będzie, jak to usłyszysz.

Wstąpiłem do piechoty morskiej dlatego, że miałem głupią siostrę.

– Słucham?

Wyobraziłem sobie taki obrazek: skrzywdzony przez starszą siostrę Denis pakuje swoje rzeczy, kradnie rodzicom kartę kredytową i leci na Terrę.

– Miałem głupią siostrę – powtórzył Denis. – Byliśmy bliźniętami. Wiesz, jak to jest: walki na poduszki, tajemnice, skarżenie rodzicom… Zawsze się bała, że ją zgwałcą, i prawdopodobnie podświadomie tego chciała. Powinna znaleźć sobie chłopaka, ale miała kompleksy i bała się. Pochodzę z Łaski Pana, może słyszałeś?

– Słyszałem.

Zrobiło mi się nieswojo. Denis wyraźnie chciał opowiedzieć mi coś, co nie było przeznaczone dla uszu obcego człowieka. Ale nie miałem sił poprosić go, by przerwał.

– Panowały u nas bardzo surowe obyczaje. Znacznie surowsze niż wasze, prawosławne. Imperator znosił to cierpliwie, ale po buncie fundamentalistów wysłał desant.

Głos miał Denis bardzo spokojny; już bym wolał, żeby się złościł albo przeżywał.

– Nasza rodzina nie brała udziału w buncie, ale gdy na stolicą spadło z nieba trzy tysiące komandosów, nikt nie bawił się w sprawdzanie.

Cała nasza gwardia poległa w ciągu pół godziny, z imieniem Boga na ustach łatwiej palić stosy na placach niż walczyć. Zdążyli odrobinę przetrzepać komandosów i żołnierze się wściekli. Oddano nas we władzę zwycięzców na jedną dobę. Takie niepisane prawo wojny. Rodziców już nigdy więcej nie zobaczyłem, desant wylądował, akurat gdy pojechali na targ po zakupy. Co się z nimi stało, czy to nasza kula, czy laser imperialnych, czy zawalił się jakiś dom, czy może spanikował tłum…

Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Zostaliśmy z siostrą we dwójkę, mieliśmy wtedy po dwanaście lat. Wiedzieliśmy, że naszego domu nie ominą, stał w samym centrum, obok soboru świętego Denisa, na którego cześć nadali imię mnie i moje siostrze Denisie. To był bogaty, piękny dom. Zobaczyliśmy, jak przez ogród idzie oficer w pancerzu, usłyszeliśmy pisk Antoine'a, naszego zmutowanego goryla-ochroniarza. Siostra kazała mi się schować – zawsze mną komenderowała – prymitywnie, pod łóżkiem. A sama przebrała się w króciutkie szorty i seksowną bluzkę, nawet się nie wstydziła, chociaż od dawna się przy mnie nie przebierała. Powiedziała, że ją zgwałcą, dom splądrują, ale za to przeżyjemy.

Była ładna i rozwinięta jak na swój wiek. Teraz sobie myślą, że chciała być ofiarą, małą, niewinną ofiarą wojny, i w dodatku moją zbawczynią.

Leżałem pod łóżkiem, starając się nie oddychać, i patrzyłem na jej łydki w białych podkolanówkach. Byłem tchórzem… I wiesz, od razu uwierzyłem, że stanie się właśnie tak, jak ona mówi.

Denis zaśmiał się bardzo naturalnie.

– Podnieciłem się, rozumiesz? Bałem się o siebie, martwiłem o Denisę, a gdzieś na dnie duszy chciałem zobaczyć, jak to będzie, co-dzieje-się-na-filmie-po-pocałunku. Nie zapominaj, że Łaska Pana była wówczas bardzo purytańską planetą.

Poczułem się nieswojo. Nie mogłem zrozumieć, czemu Ogarin nagle obnaża przede mną duszę, zamiast spokojnie czekać na nadlatujący jacht.

– Oficer wszedł do pokoju – kontynuował w zadumie Denis. Albo coś usłyszał, albo miał detektor cieplny…

– Czy on?… – wypaliłem, bo kapitan nagle zamilkł.

– Nie. Nie zgwałcił jej. Może już mu nie stawał, przecież od zajęcia miasta minęło trzy godziny, a może wolałby zobaczyć mnie na jej miejscu? Może nie chciał ryzykować zdejmowania pancerza, a może po prostu był porządnym, uczciwym człowiekiem, który nie chciał tak obrzydliwie postępować z małą dziewczynką?

– Draniu, nie mogłeś od razu powiedzieć? – zawołałem z ulgą.

– Nie mogłem. A więc oficer nie zgwałcił Denisy. Po prostu strzelił, bardzo celnie i humanitarnie, prosto w czoło. Zobaczyłem błysk, a potem jej stopy, jakoś tak dziwnie wygięte w krótkim skurczu, i pantofel spadający z nogi. Denisa upadła, jej twarz znalazła się obok mojej. Miała otwarte, zdumione oczy… wtedy jeszcze nie wiedziałem, że nieboszczycy często mają zdumione spojrzenie… a na jej czole widniała mała czarna plamka. Promień lasera zostawia niewielki ślad, nie zawsze widać, że mózg się zagotował.

– Dlaczego? – krzyknąłem bezradnie.

– Co dlaczego?

– Dlaczego to zrobił!

– Nie rozumiesz? – zdziwił się Denis. – Żeby nie zostawiać świadków. Od razu zobaczył, że w willi można liczyć na niezły łup. I nie chciał, żeby został świadek jego poczynań. Siostra miała na szyi kolię, nie swoją, mamy, nawet nie wiem, kiedy ją włożyła i po co. Widocznie chciała się wydawać bardziej pociągająca. Oficer przykucnął, zerwał zapięcie, zdjął kolię, ale mnie nie zauważył, a ja nie zobaczyłem jego twarzy. Widziałem tylko emblemat na rękawie: uśmiechnięta twarz chłopca w przekrzywionej pilotce. Szkoła kadetów. Jeszcze zabrał ze stołu szkatułkę z biżuterią Denisy, ale to były tanie błyskotki, potem znaleziono pustą szkatułkę w ogrodzie, widocznie okazała się zbyt ciężka. Przeleżałem pod łóżkiem do następnego wieczoru, twarzą w twarz z siostrą. Wyciągnęli mnie stamtąd policjanci z tymczasowych sił porządkowych, gdy desant opuścił miasto. Wyjaśniono mi, że rodzice zaginęli, że siostrę zabili maruderzy z oddziałów fundamentalistów, ale teraz już przywrócono porządek. Psycholodzy pracowali ze mną przez pół roku, na kontach rodziców co nieco zostało, więc bardzo się starali. Ja też się starałem. Wyjaśniłem, że chcę wstąpić do oddziału, który tak walecznie uratował nas przed bandytami, że zrzekam się spadku, domu, kopalni srebra w górach i plantacji herbaty. Wszystko podpisałem.

Bardzo spodobało się to administracji, więc dostałem dokumenty, że rodzice zginęli w walce z buntownikami i tak dalej, i tak dalej, rekomendację od rządu okresu przejściowego… i zostałem wysłany na Terrę. Miesiąc później wstąpiłem do szkoły kadetów i na moim rękawie pojawiła się naszywka: dziecięca buzia w pilotce na bakier.

– Postanowiłeś się zemścić?

– Oczywiście.

– To był kursant?

– Nie, dorosły. Któryś z oficerów, wykładowców. Uczelnia została wysłana na desant w pełnym składzie, wiadomo było, że nie będzie zbytniego oporu, a wilczęta muszą sobie ostrzyć zęby.

– Zabiłeś go?

Ogarin popatrzył na mnie tak jak dawniej, z pobłażliwą drwiną.

– Aloszka, na uczelni jest trzy tysiące osób, a większość z nich brała udział w akcji na Łasce Pana. Szukałem. Czaiłem się. Podsłuchiwałem. Ale gdy wojna się kończy, nikt się czymś takim nie chwali. Byli tam dranie, owszem, ale ci akurat nie trafili do desantu.

W końcu postanowiłem, że wysadzę uczelnię w powietrze. Zajmę arsenał i… Byłem mały i pewny siebie. Wiesz, może by mi się nawet udało, bo bardzo się starałem. Pamiętałem oczy siostry, takie zdumione, duże oczy. Tylko że gdy już rzeczywiście mógłbym zająć arsenał, okazało się, że prócz jednego wroga mam w szkole wielu przyjaciół… nawet wśród tych, którzy deptali moje miasto.

– Nie znalazłeś go?

– Nie. Chociaż na pewno go widziałem. Salutowałem mu. Śmiałem się, gdy żartował na zajęciach. Przytulałem się, gdy było mi smutno i potrzebowałem czułości. Wszyscy oni są dobrymi psychologami i wiedzą, że nawet wilczęta potrzebują ciepła. Widziałem jego oczy, ale nie wiedziałem, kim jest. I tak się to wszystko potoczyło. Opuściłem swoją przytulną planetę i wyruszyłem na włóczęgę po wszechświecie.

Statek był już bardzo nisko. Lądował kilometr od nas, lądował pięknie, tańczył w powietrzu bez tej topornej siły, właściwej frachtowcom i liniowcom. Jacht żył w niebie, był jego częścią, jakby jedna ze spadających gwiazd nagle przezwyciężyła swoje przeznaczenie i nauczyła się latać.

– Po co opowiedziałeś mi tę historię? – spytałem. – Pięć lat nie mówiłeś ani słowa, a tu nagle…

– Żebyś wiedział, Aleksiej, czym jest ten wielki świat, do którego tak się wyrywasz.

– Denis, przecież powiedziałem, że nie wezmę twojego prezentu! I tego wielkiego świata też nigdy nie zobaczę, najwyżej we śnie!

Wkrótce ożenię się z Olgą Nonową i zostanę czcigodnym członkiem wspólnoty…

– Z kim? – Ogarin zachichotał. – Może lepiej od razu cię zastrzelić?

– Jak uważasz – burknąłem.

– Chodźmy, ty chodzące nieszczęście… – Denis objął mnie ramieniem i pociągnął za sobą. – Zastanów się nad moją opowieścią, dobrze? Chodź, popatrzymy sobie na jacht.

– Nie jestem dzieckiem, żeby się gapić na turystów.

– Daj spokój. Mnie się i tak nudzi, a ciebie to zaciekawi.

I tak się złożyło, że po wysłuchaniu opowieści Ogarina pokornie poszedłem za nim w stronę jachtu, który wylądował daleko przed nami. Denis, idąc, niedbale wymachiwał zaciśniętym w ręku telefonem, jakby to była groźna broń, a przed nami czekali piraci. Niemal przez rok uważałem ten wielki wojskowy komunikator za blaster, dopóki do Ogarina ktoś przy mnie nie zadzwonił. Lubił sobie ze mnie pożartować, ten bohaterski międzygwiezdny wojownik, który wstąpił do armii, żeby zabić innego bohatera.

Jacht był już wyraźnie widoczny. Opływowy, w kształcie kropli, przypominał wieloryba, który połknął Jonasza.

– Chyba nowy model – burknął Denis. – To dobrze.

Co go to obchodzi, stary czy nowy? Niechby był nawet z kartonu i sklejony na ślinę…

Już miałem mu złośliwie przygadać – niezbyt często się na to odważałem – że on odleci czymś mniej ekskluzywnym, gdy nagle w

ręku Ogarina zadźwięczał telefon.

– Tak? – powiedział, nie zatrzymując się. – A kto… Aha. Jasne. Gdzie? Ilu? Dobra, niech lądują. I podnieś wszystkich. To nic, kopniakami.

Nie odważyłem się zapytać, ale Denis, nie odwracając się, wyjaśnił wszystko sam.

– Na orbicie są jeszcze trzy jachty i statek kurierski piątej floty. Wiesz, kto teraz wylądował? Lider wielkich regat galaktycznych.

– Przecież nie odbywają się obok nas – zdziwiłem się.

– No właśnie. I nasi też nie mają tu nic do roboty. Chodź szybciej.

– A to niby dlaczego? – oburzyłem się odruchowo.

– Uznajmy, że zmobilizowałem cię w związku z sytuacją nadzwyczajną. – Denis nie speszył się. – Mam prawo.

– Czy ty nie masz sumienia? Jestem zmęczony!

– Sumienia? Bo ja wiem… – Ramiona Ogarina drgnęły. – Później się zorientuję, czy wydali mi razem z nowym stopniem. Jakoś wcześniej nie dawali.

2. Liderzy i autsajderzy

Kiedyś poleciałem w kosmos. Nasza wspólnota miała niewielki, stary jacht, przerobiony z jakiegoś statku z czasów Wielkiej Wojny. Podobno można nim było dolecieć do najbliższej zamieszkanej planety.

Miałem wtedy dziesięć lat, to było krótko po tym, jak zrezygnowałem z podróży na Terrę. I może właśnie dlatego, żeby nie było mi tak smutno, wujek wziął mnie na pokład. Lot był suborbitalny, raz na kilka lat trzeba sprawdzić jacht w działaniu. Niewiele z niego pamiętam, strasznie mnie mdliło, najpierw od przeciążeń, a potem od nieważkości. Ale powód do dumy pozostał; niewielu moich rówieśników mogło się pochwalić choćby takim lotem.

Ale teraz, gdy z Ogarinem stanąłem przed jachtem – srebrzyście niebieskim, połyskliwym, jakby wcale nie przedzierał się przez atmosferę – zrozumiałem, jak śmieszny był ten mój powód do dumy.

Właz już otwarto, na płyty kosmodromu opuszczał się ażurowy trap. Na ostatnim stopniu, z pistoletem w ręku, stała dziesięcioletnia dziewczynka.

Zwyczajny dzieciak. Miła twarzyczka, jasne kędziory… Nie nosiła kombinezonu, lecz dżinsy z szelkami na piersi i zabawną, mieniącą się aplikacją na kieszonce. Tak dziwnie padało na nią światło, że otaczał ją jakby migotliwy obłoczek. Gdyby usunąć pistolet i dorysować skrzydełka, wyszedłby aniołek z bożonarodzeniowej pocztówki.

– Stać – powiedziała dziewczynka. – Dokumenty.

Głos miała ochrypły, a ton bardzo przekonujący.

– Kapitan Denis Ogarin, Imperialne Siły Zbrojne. – Mój towarzysz nie wydawał się zdumiony. – Pełniący obowiązki komendanta kosmodromu.

– Dokumenty.

Denis niespiesznie wyjął legitymacją, otworzył i pokazał, nie ruszając się z miejsca. Co ona mogła zobaczyć, skoro staliśmy w półmroku w odległości dziesięciu metrów?

– Stopień kapitana otrzymał pan wczoraj? – spytała dziewczyna, spoglądając na legitymację.

– Tak.

– Dlaczego właśnie wczoraj?

– Może to dziwne, ale ja z kolei od pięciu lat zadawałem sobie pytanie, dlaczego ciągle jestem porucznikiem – powiedział serdecznie Denis, ale w jego głosie zadźwięczała stal. – I w końcu wczoraj dostałem kapitana. Czy to już koniec formalności?

Dziewczyna milczała.

– Najpierw zdejmij osłonę – polecił Denis. – A potem chciałbym

wysłuchać raportu. Kto dowodzi statkiem?

– Ja. – Dziewczyna klepnęła kieszonkę z aplikacją. Rysunek lisiej mordki przestał się świecić, zgasło również migotanie wokół dziewczynki. – En Eyko, drugi pilot jachtu „Paladyn", klasy Riksza.

Pełnię obowiązki kapitana statku.

– Co się stało z Anastasisem Eyko? – Ogarin wyraźnie wiedział o jachcie i załodze więcej, niż mi powiedział.

– Nieszczęśliwy wypadek. – Dziewczynka przelotnie zerknęła na światło w otworze włazu. – Podczas składania i rozkładania blastera nie sprawdził szczątkowego ładunku akumulatora.

– Jasne. Jak rozumiem, wszystkie dowody nieszczęśliwego wypadku zostały zebrane?

– Oczywiście. – W głosie dziewczynki zabrzmiała kpina. – Jeśli pan chce, proszę przeprowadzić śledztwo.

Ogarin podszedł do niej, ujął pod brodę i zajrzał w oczy. Wydawało mi się, że dziewczyna się spięła.

– Bardzo dobrze się trzymasz. Można nieoficjalnie zapytać, skąd takie przygotowanie?

– Szkoła Córki Kali – odpowiedziała po chwili wahania.

Nie wiedziałem, co to takiego, ale kapitan wiedział.

– Jasne… I tak spokojnie mówisz o śmierci ojca?

– Ma aTan – rzuciła wzgardliwie dziewczynka.

O, to mnie ruszyło! W naszej wspólnocie wiele osób uważało, że aTan to wymysł i nabijanie w butelkę naiwnych ludzi. No tak, ale Ogarin mówił, że nieśmiertelność rzeczywiście istnieje, tylko kosztuje straszne pieniądze, dlatego możemy nie brać jej pod uwagę.

Luksus aTanu nie jest dla naszej peryferyjnej planetki.

– A ty? – spytał Ogarin.

– A może chciałby pan poznać również szczegóły mojego życia intymnego? – zapytała dziewczynka, a twarz miała przy tym tak poważną, że uwierzyłem; ta smarkula istotnie może mieć jakieś „szczegóły".

– Przepraszam. – Ogarin zmienił ton. – Zaraz przybędzie tu brygada, aby przeprowadzić kwarantannę, potem złoży pani raport.

– A pan?

– Nie lubię czytać dobrze przygotowanych dokumentów. – Ogarin wyjął z ust wygasłą fajkę i popatrzył na nią z irytacją. – Potrzebujecie paliwa?

– Nie. „Paladyn" ma technologię alkarisów, możemy zakończyć regaty bez dodatkowego tankowania.

– To dobrze. Nasze zapasy są ograniczone, a za wami idą inne jachty. Nie sądzę, żeby dysponowały tak doskonałą technologią.

Od momentu, gdy dziewczynka wspomniała o szkole Córki Kali, Ogarin zaczął rozmawiać z nią bardzo poważnie. Trzeba pamiętać,

żeby zapytać go o tę szkołę.

– Wszystkie nasze prośby wyłożyłam w zezwoleniu na lądowanie. – Dziewczyna odrzuciła z czoła jasny lok i westchnęła. – Czy coś z tego wyjdzie?

– Być może.

– Będę bardzo wdzięczna, kapitanie.

– To mój obowiązek w stosunku do każdego obywatela Imperium. – Oschły ton dawał do zrozumienia, że proponowanie łapówki będzie błędem.

Dziewczynka skinęła głową.

– Co chcecie zrobić z ciałem?

– Wyładujemy, mamy niewielką lodówkę. Będzie można pochować Anastasisa na miejscowym cmentarzu?

– Prawdopodobnie tak. To prawosławna wspólnota, ale mieszkańcy są dość tolerancyjni wobec ludzi innej wiary. Nie martwi cię, że ciało zostanie pochowane z dala od Terry?

– To tylko prochy – odrzekła dziewczynka pogardliwie. – Co innego można z nimi zrobić? Chwileczkę.

Lekko wbiegła po trapie i zniknęła w głębi statku, a wejście od razu zasnuło się mgiełką.

– Dobry jacht – pochwalił Ogarin. – Jeśli uda mi się przeżyć pięćset lat bez szczególnych wydatków, też sobie taki kupię.

– Za pięćset lat to już będzie tani złom – zauważyłem.

– Aha – przyznał kapitan, znowu zapalając fajkę. – Akurat stanieje na tyle, że wystarczy mi oszczędności.

– Regaty to droga rozrywka – zauważyłem.

– Mądra uwaga, Aloszka, bardzo mądra.

Zrozumiałem, że ze mnie kpi, i zamilkłem.

– Nie nadymaj się – rzucił Ogarin pojednawczo. – Wiesz, czym jest Szkoła Kali?

– Nie.

– To słynny elitarny college dla dziewcząt. Mieści się na Terrze, gdzieś w Himalajach, to takie wysokie góry. Oddaje się tam półroczne dzieci i zabiera, gdy skończą dziesięć lat.

– Czemu się tak wcześnie oddaje? – zdumiałem się. Pretensje wyleciały mi z głowy.

– Przeprowadza się serię operacji, to długotrwały proces… Nie jest to ingerencja w kod genetyczny, jak u superów, cechy nie są potem przekazywane z pokolenia na pokolenie i dlatego nie jest to zabronione. Do tego dochodzi specyficzne wychowanie, bardzo wielostronne. W efekcie…

Ogarin zamilkł.

– W efekcie otrzymuje się takie oto miłe dziewczęta. Oddaje się je rodzicom i ci nie muszą się już martwić o ochroniarzy.

– Uczą ich obrony?

– Uczą ich zabijania. Przy odrobinie szczęścia ta dziewuszka byłaby w stanie załatwić cały nasz garnizon. Żadnych emocjonalnych słabości, żadnego wahania… jest niewrażliwa na cudzy ból.

Za to mamy niezwykłe wprost przywiązanie do członków rodziny, zwłaszcza rodziców, zakodowane na poziomie odruchów. Jej świat dzieli się na swoich i obcych, jej reakcje przewyższają szybkością zwykłe reakcje człowieka, bojowe przygotowanie jest znacznie lepsze niż to, które można zdobyć w uczelni wojskowej. Przede wszystkim walka wręcz, terror, tłamszenie psychiki. Takie dziewczynki sporo kosztują, Aloszka. Ale to bardzo rentowna inwestycja.

– W tym wieku powinna się bawić lalkami! – zaprotestowałem.

To prawda, u nas przyjęte są wczesne małżeństwa, nawet w wieku trzynastu lat, ale ona ma dopiero dziesięć!

– Potrafi udawać zabawę lalkami – odparł spokojnie Ogarin. Jest bardzo prawdopodobne, że nie odgadłbyś podstępu aż do chwili, gdy oderwana ręka lalki znalazłaby się w twojej tchawicy. To bardzo ciekawy college. Zawieźli nas tam kiedyś na bal. Nawet nam nie spodobało się to, co zobaczyliśmy.

– Kłamiesz – nie wytrzymałem. – Nie wierzę.

– Przyznaję, że często sobie z ciebie żartowałem – westchnął Ogarin – ale nie w ten sposób. Kiedyś Imperator chciał zamknąć szkołę, ale uległ naciskom. Skończyło się na tym, że do programu nauczania wprowadzono wierność Imperatorowi i ludzkości.

Patrzyłem na jacht, próbując pogodzić te informacje z wizerunkiem kędzierzawej dziewczynki w dżinsach.

– A jeśli ona słyszy, o czym mówimy?

– No to co? One doskonale wiedzą, co z nich zrobiono. Inna sprawa, jak się do tego ustosunkowują.

– Nie wierzę – powtórzyłem uparcie.

– Jak chcesz.

Ogarin wypuścił obłoczek aromatycznego dymu i westchnął.

– Wszechświat jest ogromny, Aloszka, i nie wystarczy ludzkiego rozumu, żeby wyobrazić sobie całą różnorodność wszystkich zamieszkanych planet. Są planety, gdzie samo pojęcie wojny i przemocy zostało niemal zapomniane. Te światy zrezygnowały ze znacznej części swojej suwerenności w imię spokoju pod skrzydłami sił imperialnych. Są małe kolonie, w rodzaju waszej, gdzie odsunięcie się od cywilizacji i niewielka liczba ludności umożliwia sielankowe życie. Ale większość planet jest przesiąknięta agresją w tej czy innej formie.

– Chodzi ci o to, czy powinienem stąd wyjechać? – uprzytomniłem sobie.

– Oczywiście. Rozumiem, że tu kiśniesz, ale lepsze to niż być

martwym.

– Ale ja nie mam żadnych szans, żeby się stąd wydostać! – krzyknąłem.

– Masz – powiedział spokojnie Ogarin. – Teraz masz.

W tym momencie we włazie jachtu pojawiły się dwie nieduże sylwetki niosące długi pakunek, zawinięty w błyszczący syntetyczny materiał. Pierwsza szła dziewczynka. Ciężki pakunek – nietrudno się domyślić, co zawierał – niosła bez większego wysiłku.

Z tyłu szedł chłopiec, trochę starszy od En Eyko. Ciemnowłosy, szczupły; duże oczy spoglądały uważnie. W odróżnieniu od dziewczynki miał na sobie strój pilota, chyba szyty na miarę. W absolutnej ciszy dzieci zeszły po trapie i położyły ciało na płytach.

– Artiom Eyko? – zapytał Ogarin.

Chłopiec skinął głową.

– Co jest w worku?

– Anastasis Eyko, były kapitan statku. – Chłopiec odpowiadał niemal tak samo spokojnie jak jego siostra, ale bardzo cicho i patrząc pod nogi. Albo nieśmiały, albo przeżywał stratę ojca bardziej niż siostra.

– Przyczyna śmieci?

– Nieostrożne obchodzenie się z bronią. – Chłopiec podniósł głowę i lekko zmrużył oczy. Dziewczynka uśmiechnęła się.

– En, proszę o wybaczenie, ale musiałem dopełnić pewnych formalności – powiedział sucho Ogarin. – Chyba cieszycie się, że zredukowałem je do minimum?

Dziewczynka od razu spoważniała.

– Tak, panie komendancie. Oczywiście. Kiedy możemy wyruszyć w dalszą drogę?

– Jak tylko znajdziecie chętnego do wzięcia udziału w regatach. – Ogarin uśmiechnął się. – Jeśli dobrze zrozumiałem, reguły wymagają, żeby załoga składała się z trzech osób.

Uśmiechał się coraz szerzej, ta sytuacja wyraźnie sprawiała mu przyjemność.

– To prawda. – Dziewczynka spochmurniała.

– Problem polega na tym, że to mała, patriarchalna planeta. Denis rozłożył ręce. – Znalezienie tutaj człowieka, który zechce przelecieć pół galaktyki, nie będzie łatwe. A żeby jeszcze zgodził się lecieć pod dowództwem dziesięcioletniej zabójczyni…

En drgnęła.

– Pan się zapomina, kapitanie!

– Bynajmniej. Do moich obowiązków należy dbanie o bezpieczeństwo kolonii i jej obywateli. Dlatego uważam za konieczne uprzedzić wszystkich kolonistów, jakie zagrożenie niesie wasza załoga.

– Nie upieram się przy dowodzeniu statkiem! – wypaliła

dziewczynka. Szybkość, z jaką podejmowała decyzję, była szokująca. Może dowodzić ktoś inny! Ja i Artiom zgadzamy się lecieć w charakterze pasażerów. Prawda?

Artiom posłusznie skinął głową. W tej parze wyraźnie grał drugie skrzypce, mimo że był starszy i był chłopcem.

– Dziecko, powtarzam, że to cicha, patriarchalna planeta. – Denis zerknął na mnie. – Nikt nie umie sterować podobnymi statkami i mało kto się stąd wyrywa. Tylko Alosza chciał…

Wtedy dziewczynka zwróciła wreszcie na mnie uwagę. I to jeszcze jak!

Już po sekundzie En Eyko niemal zawisła mi na szyi, obejmując mnie i zaglądając w oczy. Na jej rzęsach drżały łzy.

– Proszą nam pomóc! Bardzo proszę! Tata wpakował w ten statek wszystkie pieniądze, tak bardzo chciał wygrać regaty! Na pewno wygramy, mamy najlepszy statek, nikt nas nie dogoni, przyrzekam!

Ja i Artiom wszystko zrobimy sami, umiemy pilotować. A pan po prostu z nami poleci! Dobrze? I jedna trzecia nagrody należy do pana!

– To duże pieniądze – przyznał Denis. – Bardzo duże. Wystarczy na taki sam jacht, na aTan i jeszcze zostanie.

– Proszę! – Dziewczynka uwiesiła się na mnie. – Proszę, proszę!

Dopiero co była zimna, opanowana i pewna siebie. A teraz proszę – zwykły dzieciak, niecierpliwie podskakujący w miejscu, z mokrymi od łez policzkami.

– Poleci pan z nami? – spytała dziewczynka.

Zerknąłem na Ogarina.

Ciągle coś jest nie tak z tym moim fartem. Niby schwytałem szczęście za ogon, i to tam, gdzie w ogóle się go nie spodziewałem, a tu od razu klapa.

– Jeszcze nie zwariowałem – powiedziałem, ostrożnie odczepiając od siebie ręce dziewczynki. Miałem wrażenie, że pozwoliła mi się odsunąć, wcale nie ustąpiła sile. – Wybacz, mała, ale nie polecę z wami.

A kapitan Denis Ogarin zachichotał.

– Aloszka, robisz postępy! Już się bałem, że się zgodzisz!

Gdy podjechała brygada od kwarantanny, Ogarin wydał kilka krótkich poleceń i poszliśmy. Chłopiec znowu skrył się we wnętrzu statku, dziewczynka zaczęła omawiać kwestię pogrzebu ojca.

– Zaczekamy na inne statki? – zapytałem.

– Czy ja wiem… Nie sądzę, żeby czekało nas równie emocjonujące widowisko. „Paladyn” był liderem wyścigu. Gdy zmienił kurs i podszedł do waszej planety, poleciało za nim kilka statków. Korzystają z okazji, żeby zatankować i odpocząć, regaty trwają ponad miesiąc. Inni pewnie olali odpoczynek i kontynuują wyścig.

– Czy teraz wycofają ich z trasy?

– Te przemiłe dzieciaki? Prawdopodobnie tak. Prawo Imperium pozwala dzieciom pilotować statki kosmiczne, ale obecność dorosłego na pokładzie jest nadal obowiązkowa. Szczerze mówiąc, nie mam prawa ich puszczać, jeśli zechcą odlecieć we dwójkę.

– Trzeba było im powiedzieć.

– Trzeba było. Ale nie chcę kłopotów w ostatnich dniach służby.

– Jakich kłopotów?

Denis przyjrzał mi się uważnie.

– Aloszka, nie żartowałem, mówiąc o bojowych możliwościach dziewczyny. A jeśli dostała rozkaz kontynuować wyścig za wszelką cenę? Nie zawaha się! My nie jesteśmy dla niej ludźmi. Dlatego wolę nagiąć prawo i nie ryzykować życia swoich ludzi i mieszkańców waszego osiedla. Niech sobie lecą. A jeśli znajdą ochotnika, który poleci z nimi, to tym lepiej.

Zatrzymał się, przypalając wygasłą fajkę. Też mi wilk kosmiczny.

– I bardzo mnie cieszy, że nie zgodziłeś się z nimi lecieć.

– Dzięki, Denis. – Od jego pochwały zrobiło mi się ciepło w środku. – Nie jestem aż taki głupi. Lecieć w załodze z autystycznym chłopcem i psychopatyczną dziewczynką? Dziękuję, nie.

– Nie kwestionuję jej umiejętności sterowania jachtem – odparł Denis. – Wątpię jedynie w zdolność współżycia w zamkniętej przestrzeni z obcym człowiekiem. Brat oczywiście należy do grupy „swoi", ale obcy?… Gdybyś poleciał z nimi i podczas obiadu zbyt gwałtownie sięgnął po nóż, skończyłbyś z widelcem w oku – prychnął Denis. A na następnej planecie wyładowaliby cię w nylonowym worku jako ofiarę nieostrożnego obchodzenia się ze sztućcami.

Aż przystanąłem. Straszny domysł pozbawił mnie tchu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ich ojciec?…

– Nie – uciął Denis. – Nie chcę. Córki Kali nie przestają być posłuszne i ta mała nie jest zdolna do zabijania swoich. No, chyba że nastąpił konflikt priorytetów…

Postukał fajką o telefon i wytrząsnął popiół.

– Nie mąć mi w głowie, Aloszka – burknął – w sprawie śmierci i tak zostanie przeprowadzone śledztwo. Zresztą co tu mówić o śmierci, skoro Anastasis miał aTan! Nie psuj mi ostatnich dni na waszej planecie. Że też musiały mi się te jachty zwalić na głowę akurat dziś, a jeszcze diabli zaraz przyniosą sztabowego szczura…

– Tak jest, nie psuć humoru.

– Co? A! Daj spokój. Uznajmy, że cię zdemobilizowałem. Specjalnie zaciągnąłem cię do tego jachtu, żebyś dokonał wyboru. Nie podejrzewałem, że to taki gips, myślałem, że masz okazję wynieść się z planety.

– Dzięki, Denis.

– Żeby chociaż było za co. Idziesz do domu, czy się ze mną

powłóczysz? Muszę jeszcze przyjąć kuriera.

Zastanowiłem się.

– A potrzebujesz pomocy?

– Nie.

– To pójdę do domu. Spać mi się chce…

– Powodzenia – powiedział Denis po chwili milczenia.

– Aha… A… a mogę przyjść jutro? Powiesz, co i jak?

– Jeśli tylko nie będzie to tajemnica państwowa pierwszego stopnia – uśmiechnął się Denis. – No, trzymaj się.

Łatwo powiedzieć – pójdę spać. Znacznie trudniej usnąć, jeśli do świtu zostało niewiele czasu, w ciągu dnia wydarzyło się tyle, że czasem przez rok się tyle nie nadzieje, a w pustym domu panuje martwa cisza.

Mieszkam w zwykłym, drewnianym, piętrowym domu, jak stworzonym dla dużej rodziny; samotnemu facetowi ciężko tu żyć. Piętro stoi puste, zajmuję tylko mój stary pokój na parterze. Niewiele tam zmieniłem, wstawiłem sobie tylko normalne łóżko.

Gdy pomyślałem, że nie ma sensu się dłużej męczyć, usiłując zasnąć, rozwidniło się na dobre. Do żyrandola – żarówka spaliła się dawno temu, ale jej nie wymieniłem, bo nie lubię górnego światła – przyczepiony jest model niszczyciela imperialnego. Sam go sklejałem, gdy miałem dziesięć lat, według szkiców z czasopisma dla dzieci „Imperialny Sokolik”. A obrazek na ścianie to już dzieło mamy. W ogóle nie umiała rysować i jeśli nawet mam jakieś zdolności artystyczne, to raczej nie po niej. Wszystkie inne obrazy są gdzieś na strychu, tylko tego nie zdejmowałem, chociaż kiedyś naliczyłem na nim siedem błędów merytorycznych. Imperator Gray nie mógł w środku Wielkiej Wojny nosić pancerza bojowego modelu Viking, bo wtedy go jeszcze nie stworzyli; nie należało umieszczać Imperatora na tle płonącego gniazda alkari, bo go tam nie było, a już żadną miarą nie mógłby Imperator przytulać do piersi wyklutego pisklęcia alkari, uratowanego z pożogi. Alkari to nie kurczęta, mają pamięć genetyczną i nawet najmniejsze pisklę wie, kto wróg, a kto przyjaciel. Rąbnąłby Imperatora dziobem w twarz – i koniec, ludzkość straciłaby wodza.

Wszystko w tym domu jest znajome; potrafię znaleźć każdy drobiazg z zamkniętymi oczami, pójść w nocy do toalety, nawet się nie budząc, położyć książkę na stole, nie patrząc i wiedząc, że upadnie na jedyne wolne miejsce. W naszej wspólnocie wszyscy uważają, że tak właśnie należy żyć – dbając o dziedzictwo ducha, narodu, wartości moralnych. Kiedyś ten pokój zajmował ojciec. W szafce na półce stoi plastikowy model robota bojowego, który sam złożył. Przed nim mieszkał tu dziadek. Parapet jest wykonany z deski, którą dziadek sam ozdobił wypalaniem. Powstał obraz przedstawiający miasto, które w przyszłości stanie na miejscu naszego osiedla.

Łańcuszek pokoleń. Dziedzictwo. Pamiętaj czyny swoich przodków, przekaż je swoim potomkom. Oto nasze główne przykazanie.

Oczywiście, ja też tak myślę – ale nie w odniesieniu do siebie.

Nie chcą! Nie chcę i już! Już to widzę – mój starszy syn zamieszkałby w tym pokoju, wiedząc, że parapet po pradziadku, robot po dziadku, a model statku po ojcu. I gdyby kiedyś zmajstrował coś godnego ducha rodziny, od razu znalazłoby się na to miejsce – na półce albo na haczyku.

Gdy zrozumiałem, że już nie zasnę, zwiesiłem nogi z łóżka, a ręką po omacku wcisnąłem klawisz ekspresu do kawy. Siedziałem chwilę z zamkniętymi oczami, słuchając cichego bulgotu. Ciekawe, czy rodzina Eyko już opuściła planetę?

Pewnie, że chciałbym wykorzystać taką szansę. Wygrają te regaty czy nie, i tak mógłbym nie wracaj do domu. Nająłbym się do jakiejś pracy, przecież obowiązkowy kurs imperialny skończyłem na piątkę, może bym poszedł do wojska albo został technikiem na jakimś kosmodromie? Wszystko jedno, i tak byłoby fajnie. Ale nie na darmo Denis, który wiecznie złości się na mnie za niedbalstwo, pochwalił mnie za odmowę… Dziewczynka miała niesamowite oczy.

Nie dlatego, że widniała w nich złość czy żądza mordu. Jej oczy po prostu zbyt łatwo, zbyt szybko się zmieniały – raz czujne i poważne, raz naiwne i proszące. Nie należy wierzyć ludziom, których spojrzenie zmienia się tak szybko.

Ekspres zagrał pobudkę, wyciągnąłem rękę i wziąłem filiżankę z kawą. Odetchnąłem jej aromatem. Cóż… to nie to. Mam jeszcze w domu torebkę prawdziwej kawy z Terry – nie ma porównania do naszej. Ciocia Liza i wujek Paweł starają się jak mogą, mielą, zamawiają specjalne przyprawy, a jednak kawa ciągle nie jest taka, jaka być powinna.

Chociaż… dlaczego akurat nasza wydaje mi się niedobra? Przecież jak się zastanowić, to właśnie terrańską kawę powinienem uznać za niewłaściwą, w końcu piłem ją z dziesięć razy w życiu, a naszą piję od zawsze. A jednak… To trochę tak jakby gdzieś w głębi, w genach, jak u alkami, tkwiła pamięć i szeptała: „Nie taka jak trzeba, do niczego, podróbka!” Ojciec Witalij mówi, że to przeżytki przeszłości, że wprawdzie Terra jest ojczystą planetą ludzi, ale nie da się wiecznie żyć w kołysce. Dla nas ojczyste powinno być to niebo, ta ziemia, bezmózgie abori i dżungla, no i oczywiście ta kawa.

Wypiłem dwie filiżanki, poszedłem pod prysznic, przebrałem się w czyste rzeczy. A potem nagle wziąłem się do sprzątania, chociaż zwykle robiłem porządki w piątek, a dzisiaj jest dopiero czwartek. Chyba po prostu musiałem się czymś zająć. Podłogę odkurzył i umył stary robot w kształcie żółwia, trochę szwankuje, ale jak się go włączy

dwa razy z rzędu w trybie generalnego sprzątania, wychodzi całkiem przyzwoicie. Wytarłem kurz, ze szczególną dbałością czyszcząc dziadkowy parapet – w ciemne, wypalone linie wiecznie właził brud i zakurzone miasto stawało się nierzeczywiste, jak makiety w naszym muzeum. Potem przetarłem szyby – do okien też jest mały robot, ale wolę sam pobiegać ze szmatką i aerozolem, niż przestawiać robota z okna na okno.

Dobrze by było, gdyby uczestnicy regat już odpoczęli i odlecieli.

A jeszcze lepiej, żeby kurier wojskowy zabrał ze sobą Ogarina.

Nie chcę się z nim żegnać. Wolę przyjść do bunkra i wziąć od chłopców list, który na pewno by dla mnie zostawił. Przeczytam i pójdę do kapłana prosić o błogosławieństwo na ślub z Nonową.

Sprzątanie parteru zajęło mi całe przedpołudnie. Nawet dywan w salonie wyczyściłem pianą, a rodzimy: kryształy w bufecie umyłem i wytarłem. I dopiero sobie uświadomiłem, że specjalnie wymyślam sobie zajęcia, żeby nie wychodzić z domu.

Czyżbym się bał, że zmienię zdanie i zostanę członkiem załogi stukniętej dziewczynki?

O, nie!

Na ulicach panowała cisza i spokój, zacząłem nawet podejrzewać, że naprawdę już po wszystkim – że uczestnicy wyścigu odlecieli i nikt prócz mnie nie dowiedział się o niespodziewanej wizycie.

Ale gdy zbliżyłem się do knajpy, zrozumiałem, że nic się nie skończyło.

Przed wejściem stało dwóch nieznajomych ludzi – wysokich, zgrabnych, jakby kruchych, jakby pochodzili z planety o niskiej grawitacji. Twarze mieli delikatne, przezroczyste, prawie nieludzkie, przypominali bajkowe elfy. Gdy podszedłem bliżej, zrozumiałem, że jeden z nich jest płci żeńskiej; pod kombinezonem odznaczały się niewielkie piersi i zaokrąglone biodra.

– Dobrego dnia. – Eteryczna para powitała mnie uśmiechem.

Żadnych innych prób kontaktu nie podejmowali. Albo na kogoś czekali, albo postanowili tak witać wszystkich mieszkańców osiedla.

– Dzień dobry – powiedziałem i przeciskając się obok nich, wszedłem do środka.

Co się tam działo!

Zauważyłem jeszcze sześciu przybyszów z innych planet, których bez trudu podzieliłem na dwie trójki. Członkowie jednej załogi wyglądali całkiem zwyczajnie, uwagę zwracały jedynie ich ciemne stroje i dziwne fryzury – długie loki nad uszami i małe, okrągłe czapeczki, jakby przyklejone do włosów. Cała trójka siedziała na wysokich krzesłach i piła wino, prawdopodobnie z własnej butelki, bo nigdy tu takiej nie widziałem. Może mają inny metabolizm, a może zwyczaj nie pozwala im pić obcych napojów?

Druga załoga była znacznie ciekawsza. Najpierw wydawało mi się, że to dzieci, dopiero po chwili zrozumiałem, że to dorośli ludzie, tylko niscy i delikatni, o błękitnawej skórze i jasnych, prawie białych włosach. Próbowałem zrozumieć, jakie warunki mogły ukształtować taki wygląd. Gdyby to była planeta o wysokiej grawitacji, staliby się bardziej przysadziści, gdyby grawitacja była niska – wysocy i chudzi. A oni wyglądali jak nastolatki o czujnych, poważnych oczach i ciągnęli wódkę, że aż miło.

A nasi jakby rozum potracili.

Pojawili się w najlepszych, odświętnych ubraniach, chyba nawet przetrząsnęli stare kufry. Wszyscy mają poważne i obojętne miny, jakby codziennie przybywały do nas całe pielgrzymki przybyszów z innych planet, i to nie turystów, którzy bawią się pod osłoną dział pokładowych, a po mieście paradują z własną ochroną, tylko właśnie takich swojaków. Wszyscy dyskutują o mądrych sprawach o polityce wewnętrznej, o stosunkach z obcymi, o zdobyczach nauki, perspektywach rozwoju wewnętrznego, o premierze filmu Atłantis – aż dziesięć wariantów do wyboru: „Atlantis" ginie albo szczęśliwie dociera na Endorię, McWiliam zostaje oskarżony o kradzież skarbów tronu lub uniewinniony, ewentualnie ginie z braku tlenu albo dostaje od swojej ukochanej zapasową butlę i udaje mu się przeżyć.

Jakiś koszmar!

Chociaż z drugiej strony rozumiałem ich; sam też miałbym ochotę zabłysnąć przed przyjezdnymi znakomitościami, o których codziennie trąbią w wiadomościach. Może gdybym przyszedł wcześniej, też stałbym teraz obok infantylnych astronautów i głośno spierał się z Romanem o wyższość jednego napędu nad drugim.

Pewnie przybysze śmieją się w duchu, słuchając naszych rozmów.

A może wcale nie? Może mają to gdzieś?

Obojętność jest jeszcze bardziej przykra niż drwina.

Uścisnęliśmy sobie z Romka dłonie i popatrzyliśmy na siebie stropieni.

– Nie gniewaj się – szepnął Coj.

– Co tam, było, minęło – odparłem równie cicho.

Uśmiechnęliśmy się i podszedłem do baru. Grigorij zerknął na mnie przelotnie z nienaturalnym uśmiechem; nawet on był oszołomiony i zdenerwowany, a przecież niejedno w życiu widział.

– Chcesz coś? Piwa? – zapytał szybko.

– Wszystko jedno, daj wódki.

Wujek popatrzył na mnie z dezaprobatą, ale nalał kieliszek i podał zakąskę. Odszedłem na bok, specjalnie ustawiając się z daleka od reszty gości. Obracałem kieliszek w palcach, patrzyłem na nienaturalnie ożywiony bar. A gdzie rodzina Eyko?

Wtedy ich zobaczyłem. No tak, niby dlaczego mieliby spędzać

czas w barze? Oczywiście siedzieli w basenie za szklaną ścianą. Artiom właśnie szykował się do skoku z trampoliny, pod nim zastygła nasza dzieciarnia; a na dole w kolorowym kostiumie kąpielowym stała En Eyko, oblepiona dziewczynkami. Wyglądali tak zwyczajnie, że z lekkim zawstydzeniem przypomniałem sobie nocne lęki.

– Aleksiej!

Odwróciłem się. Za mną stał ojciec Witalij, też z kieliszkiem i z ogórkiem.

– Słyszałeś o tych nieszczęsnych dzieciach?

– Tak, mówił mi kapitan Ogarin.

– Wszystkim powiedział… – Ojciec Witalij westchnął.- Już ogłosili, że potrzebują trzeciego członka załogi. Dlatego do ciebie podszedłem, Aloszka.

– Wiem. Ta dziewczynka to zabójca.

Kapłan przeżegnał się.

– Nie w tym rzecz, wiele osób w naszym niedoskonałym świecie musi umieć trzymać broń w ręku. Kto oskarżyłby człowieka pracującego uczciwie jako killer czy ochroniarz? Mnie niepokoi coś innego, Aleksiej. Rozmawiałem z nią, ona zupełnie nie rozumie pojęcia grzechu!

Na wszelki wypadek skinąłem głową.

– Wiem, że marzysz o opuszczeniu naszej wspólnoty – powiedział z lekkim wyrzutem ojciec Witalij – i sam pobłogosławię cię na drogę, jeśli inaczej się nie da. Ale proszę cię, nie z nimi! Dobrze?

– Dobrze – obiecałem. – A czemu nie z nimi? – spytałem jeszcze. – Dlatego że to dla mnie zbyt niebezpieczne?

– Oczywiście! – Ojciec Witalij pokręcił głową. – Czy ty nic nie rozumiesz? Nie znasz burzliwego świata Imperium, a chciałbyś wyruszyć w drogę w takim towarzystwie…

Westchnął, wypił wódkę jednym haustem i zagryzł ogórkiem.

– Nawet o tym nie myśl! – dodał. – Dobrze?

I poszedł, pozostawiając mnie własnym myślom. Czułem się speszony tym, że cała wspólnota się o mnie troszczy… Jeszcze raz zerknąłem na basen, ale dziewczynki już tam nie było, tylko jej brat opowiadał coś naszym dzieciakom.

Czyżby gdzieś poszła?

W tym momencie drzwi karczmy otworzyły się i En Eyko pojawiła się we własnej osobie, w szlafroku narzuconym na kostium kąpielowy. Skinieniem głowy powitała przybyszów w ciemnych strojach, załogi infantylnych nie zaszczycając nawet spojrzeniem.

Podeszła do baru i powiedziała:

– Podwójną wódkę z kwasem.

Wujek Grisza skrzywił się.

– Nie mamy zwyczaju podawać dzieciom alkoholu.

– Jestem mieszkanką Kulthosu, mam wszystkie prawa obywatelskie.

Nie kryjąc dezaprobaty, wujek zmieszał w wysokiej szklance sto gramów najlepszej wódki z ciemnym, musującym kwasem, dorzucił dwie kostki lodu i plasterek ogórka kiszonego, i włożył słomkę.

En wyjęła z kieszeni szlafroka garść drobnych, zapłaciła. Usiadła na stołku obrotowym, rozejrzała się po karczmie. Zauważyłem, że ludzie odwracają od niej wzrok.

– Owszem, mam prawa dorosłego człowieka – powiedziała półgłosem En i napiła się drinka przez słomkę. – To prawda, uczyłam się w specjalnej szkole i umiem zabijać. Ale przecież wiele osób umie, nawet wśród was, prawda?

Nikt nie odpowiedział.

– Więc dlaczego nie chcecie z nami lecieć? – krzyknęła dziewczynka. – To absolutnie bezpieczne, słowo honoru! Ja i Artiom umiemy sterować jachtem i mamy wszystkie szansę, żeby wygrać!

Załoga w ciemnych strojach pozostała niewzruszona, ale ci, którzy przypominali nastolatków, uśmiechnęli się. Widocznie wysoko oceniali swoje szansę.

– A jeśli nawet nie zwyciężymy – dziewczynka upiła jeszcze jeden łyk – to czy nikt z was nie chciałby podróżować? Zobaczyć innych planet, a potem wrócić, jak mu się nie spodoba? Obiecuję, że dostarczymy z powrotem tego, kto z nami poleci!

Ojciec Witalij popatrzył na milczących parafian, westchnął i twardym krokiem podszedł do dziewczynki.

– Chce pan zaproponować swoją kandydaturę? – zapytała En niewinnym głosikiem i nagle poczułem, że w jej tonie kryje się głęboki smutek.

– Miła dzieweczko – powiedział kapłan starannie modulowanym głosem. – Chciałem ci tylko wyjaśnić, dlaczego nikt nie może wam pomóc.

– No, dlaczego?

– To cicha i spokojna planeta – powiedział ojciec Witalij. – Jesteśmy chrześcijanami, prawosławnymi. Wyróżniamy się nawet w ramach kościoła Wspólnej Woli, rozumiesz?

– Niezupełnie – wycedziła dziewczynka.

– Żeby to pojąć, należałoby sięgnąć do historii, moje dziecko. Duchowny pokręcił głową. – Nasz naród wiele przeżył i długo niszczył sam siebie. Trzysta lat temu zostaliśmy pozbawieni własnego kraju, i to w taki sposób, że nawet tego nie zauważyliśmy. Zapomnieliśmy o swoich korzeniach, utraciliśmy wiarę, a potem wiara pomogła nam się odrodzić. Wiara naszych ojców i dziadów, wierność tradycjom, rezygnacja z przemocy.

– Znam historię. – En potrząsnęła mokrymi włosami, wyjęła z

kielicha słomkę, upiła porządny łyk. – Streszczaj się, duszpasterzu.

– Wśród nas nie ma tchórzy – rzekł cicho ojciec Witalij. – I nikt nie boi się z wami lecieć, nawet jeśli rzeczywiście jesteś takim doskonałym zabójcą, jak twierdzi kapitan Ogarin. A pomoc bliźniemu czy osobie słabej to wręcz nasz obowiązek.

– W takim razie o co chodzi?

Albo poszedł jej do głowy alkohol, albo sama się nakręcała.

– Drogie dziecko – kontynuował łagodnym tonem ojciec Witalij. – Twoja osoba stanowi wyzwanie rzucone naszym zwyczajom i tradycjom. U nas nie jest przyjęte, żeby mała dziewczynka umiała zabijać. I dlatego ten, kto by wyruszył z tobą, pomógłby wam, lecz zaszkodził sobie. Rozumiesz?

– Gardzicie nami? – zapytała ostro dziewczynka.

– Współczujemy wam. – Ojciec Witalij skłonił głową. – Wybacz, ale tutaj nie znajdziesz towarzysza podróży.

– Wasze dzieci są mądrzejsze od ciebie. – Dziewczynka zmrużyła oczy.

– Nawet jeśli ktoś na skutek młodego wieku czy naiwności zechce z wami lecieć – w głosie Witalij pojawiły się twarde nutki nie puścimy go. To nie Kulthos, pełnoletność osiągamy w wieku szesnastu lat. A nikt z dorosłych z wami nie poleci.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, a potem spojrzała na Grigorija.

– Pan służył w siłach Imperium, walczył i widział wszechświat – powiedziała. No proszę, co za skuteczność w zbieraniu informacji! – Jest pan niemłodym człowiekiem, ale czy naprawdę nie chciałby pan jeszcze raz popatrzeć na inne planety? Zarobić na odmłodzenie, na aTan!

Może ojciec Witalij bał się, co odpowie Kononow, ale ja nie. Za dobrze znałem wujka.

– Byłem i walczyłem. – Grigorij przechylił się przez bar i popatrzył dziewczynce w oczy. – I właśnie dlatego wróciłem. I dlatego z wami nie polecę. Da Bóg, na odmłodzenie jeszcze zarobię. No, a aTan nie jest mi potrzebny. To spokojna planeta.

En jakby oklapła. Widocznie aż do tej chwili miała nadzieję, że znajdzie trzeciego członka załogi. Dopiła drinka, skrzywiła się i odstawiła kielich z plasterkiem ogórka na dnie. Zerknęła na mnie i wymruczała:

– Co za świństwo ta wasza wódka z kwasem.

– Fakt – przyznał Kononow. – Nie zauważyłaś, że nikt z nas jej nie pije?

– Świństwo – potwierdził z westchnieniem ojciec Witalij. Wyłącznie dla turystów.

No i proszę! Trzeba przyznać, że właśnie barman i duchowny są

prawdziwymi podporami naszej wspólnoty, a nie rada starszych czy horodniczy. Jeszcze niedawno przed mieszkańcami osiedla siedziała dziwna, niebezpieczna dziewczynka, domagająca się czegoś niezrozumiałego, a teraz wyszło na to, że to zwykła, głupia turystka, małolata z wybujałymi ambicjami. Wszyscy od razu się uśmiechnęli, pobłażliwie, z sympatią, a Romka Coj, który poszedł do barmana po dolewkę, nawet poklepał japo mokrej głowie. En szarpnęła się, ale wypadło to żałośnie, a nawet śmiesznie. Dziecko, które udaje dorosłego.

Infantylni o błękitnej skórze z brzękiem stuknęli się kieliszkami. Druga załoga zaczęła z ożywieniem rozmawiać w nieznanym narzeczu.

Pewnie omawiali zmieniony stosunek sił i szansę na zwycięstwo.

En zeskoczyła ze stołka i podeszła do drzwi kompleksu sportowego, może, żeby się ubrać, a może, żeby powiedzieć bratu o niepowodzeniu. Ludzie rozstępowali się przed nią, jakby bali się przypadkiem potrącić.

I w tym momencie drzwi się otworzyły i do baru wszedł Ogarin.

Twarz miał poszarzałą, widocznie nie spał całą noc. Był bardzo spięty.

– Kapitanie, to wszystko przez pana! – zawołała dziewczyna ze złością. – To pan rozgłosił informacje o mnie i udaremnił nasz lot!

Odpowie pan za to!

Denis obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

– Uspokój się. To nieważne.

– Nieważne? – En skoczyła do niego i przypomniałem sobie, że umie zabijać gołymi rękami. – Nieważne?

Ogarin nawet nie drgnął. Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały i dziewczynka stanęła jak wryta.

– Nieważne – powtórzył kapitan. – Zostałem upoważniony do ogłoszenia wszystkim uczestnikom regat, że wyścigi zostają przerwane.

Błękitnoskórzy zerwali się z miejsc. Nie zauważyłem, jak to się stało, ale w ich cienkich, dziecięcych rękach błysnęły krótkie sztylety. Ludzie w ciemnych strojach wykazali się większym opanowaniem. Popatrzyli po sobie i jeden z nich zapytał:

– Na jakiej podstawie, kapitanie?

– Porucznik Toraki wszystko państwu wyjaśni.

Denis odsunął się od drzwi i do knajpy wszedł wojskowy, którego nigdy przedtem nie widziałem.

3. Psylończycy i Imperium

Nietrudno odróżnić od naszych wojaków oficera, który niedawno przybył z kulturalnej, dużej planety. Niby mundur ten sam, niby Ogarin ma taką samą, jeśli nie lepszą postawę… Niby Toraki wygląda całkiem zwyczajnie – wysoki, ciemnowłosy, o wystających kościach policzkowych. Połowa mieszkańców naszej wspólnoty jest do niego podobna.

A jednak wokół oficera panowała jakaś szczególna atmosfera.

Podobnie jak pole siłowe otaczało En Eyko, Toraki ego osnuwało tchnienie ogromnych sztabów, pełnych admirałów i adiutantów, ostrych rozkazów i heroicznych czynów, a także płynących poprzez przestrzeń wielkich statków. Dlaczego miałem takiego pecha? Dlaczego nie trafiłem do sił imperialnych?

– Dzień dobry, obywatele. – Oficer lekko skłonił głowę. – Lao Taroki, oficer do zadań specjalnych przy sztabie admirała Lemaka.

Jego nazwisko nic nam nie powiedziało, ale za to stanowisko…

Oficer przy sztabie słynnego Lemaka! Wszyscy nasi zrobili głęboki wydech i zapomnieli nabrać powietrza.

– Powiem krótko. – Widząc, że i tak wszyscy słuchają go z uwagą, oficer nawet nie odszedł od drzwi. – Na mocy zarządzenia admirała, które zostało uzgodnione z Imperatorem…

Jeśli nawet ktoś miał zamiar nabrać powietrza, to się rozmyślił.

– …w systemie gwiezdnym Nowy Kiteż zostaje ogłoszony stan wyjątkowy. Wszyscy obywatele od dwunastego do siedemdziesiątego roku życia zostają zmobilizowani i zobowiązani do podporządkowania się kapitanowi Ogarinowi. Zbiórka za godzinę przy sztabie garnizonu. Są pytania?

Przez knajpę przebiegł lekki szmer.

Wujek Grisza wyszedł zza baru i podszedł do oficera. Z każdym krokiem jego ruchy zmieniały się coraz bardziej. Nie kroczył jak na defiladzie, bo to byłoby śmieszne, ale do oficera podszedł już nie barman w podeszłym wieku, lecz stary żołnierz.

– Starszy sierżant sił imperialnych Grigorij Kononow. Czy mogę o coś zapytać, oficerze Toraki?

Oficer zmarszczył brwi i skinął głową.

– Proszę, sierżancie.

– Czy mogę poznać przyczyny stanu wyjątkowego?

Lao Toraki zareagował spokojnie.

– Tak, sierżancie. Dobrze będzie zresztą, jeśli poznają je wszyscy. W systemie Nowy Kiteż wykryto psyloński okręt bojowy.

– Wojna? – W ciszy, jaka zapadła, głos ojca Witalija zabrzmiał niespodziewanie głośno.

Po Wielkiej Wojnie Psylon niemal zupełnie zrezygnował z kontaktów z innymi rasami. Nie można powiedzieć, że Psylończycy ponieśli klęskę ani też że wygrali. Nikt nigdy nie uważał tej rasy za agresywną czy okrutną. A jednak Psylończycy pozostali dla nas zagadką. Wściekłe Bullraty, zarozumiałe alkari, szalone i dlatego nieistniejące już sakrasy, wszyscy nasi galaktyczni sąsiedzi tak czy inaczej nauczyli się współistnieć z ludźmi. Nauczyli się – albo zginęli.

Psylończycy przeżyli. Odizolowani w zamkniętej strefie kosmosu, pogrążeni w naukowych eksperymentach, jedynie z rzadka proponowali innym rasom jakieś handlowe czy naukowe kontakty.

Jeśli więc postanowili rozpocząć nową inwazję, nie sposób przewidzieć, z czym przyjdą tym razem i co mogą im przeciwstawić siły Aliansu.

Oficer pokręcił głową.

– Nie. Na szczęście nie. To statek z czasów Wielkiej Wojny.

– Można zapytać, co to za jednostka? – rozległ się cienki głosik En Eyko.

Lao Toraki popatrzył na nią, na chwilę tracąc swój niewzruszony spokój.

Rozumiałem go. Zobaczył małą, śliczną dziewczynkę w szlafroku narzuconym na kostium kąpielowy, która patrzyła na niego dużymi, zaciekawionymi oczami i zadawała niepotrzebne pytania.

– Można. – Sarkazm porucznika był ledwie uchwytny. – Zgodnie z klasyfikacją sztabu głównego to Ka-Es 3.

Dostrzegłem uśmieszek Ogarina i nie zdziwiłem się temu, co nastąpiło.

– Ka-Es 3… – powtórzyła w zadumie dziewczynka. – Duży krążownik desantowy, osiem statków w tej serii… Pięć zlikwidowano w czasie ataku na Terrę pod koniec wojny. Dwa spaliły Bullraty podczas przedarcia w pobliżu Ursy. Nie sądzę, żeby Psylon wznowił produkcję starego modelu. To „Loredan”, panie oficerze? Zaginiony krążownik, który odszedł na prędkości relatywistycznej?

Toraki milczał.

– Niedobrze. – Dziewczynka pokręciła głową. Nie drwiła z oficera, widocznie nowina rzeczywiście była na tyle poważna, że En nie myślała o tym, czy jej słowa pasują do dziecięcego wyglądu. Cztery szalupy desantowe, dwanaście myśliwców osłony, trzy ciężkie bombowce, czterdziestu komandosów i ośmiu członków załogi.

Bardzo dużo. Nie rozumieją, co się dzieje, prawda?

Oficer skinął głową. Zdumienie na jego twarzy zastąpił uśmiech aprobaty.

– Widzę, że miejscowa ludność jest lepiej przygotowana niż niektórzy nasi oficerowie… Cóż, w takim razie doprecyzuję sytuację.

Owszem, to bojowy statek desantowy Psylonu, który w latach

Wielkiej Wojny wyszedł z walki na prędkości podświetlnej i teraz kończy hamowanie. Prawdopodobnie ma uszkodzone przyrządy łączności hiperprzestrzennej i teraz działa autonomicznie, opierając się na rozkazach otrzymanych setki lat temu. Według subiektywnego czasu statku minęło około trzech, czterech dni; oni są ciągle jeszcze tam, w wirze wojny. Nasi analitycy są zdania, że statek miał za zadanie zająć i utrzymać rezerwowy kosmodrom w systemie Angin, obecnie Nowy Kiteż. Oczywiście łączyłoby się to z całkowitą likwidacją garnizonu i miejscowej ludności.

Żona Grigorija, która właśnie wyjrzała z drzwi prowadzących do kuchni, cicho krzyknęła. Odpowiedział jej przenikliwy pisk w odległym kącie knajpy, gdzie pulchna jasnowłosa kobieta w średnim wieku uniosła się nad stolikiem, malowniczo chwyciła za pierś i ciężko usiadła (nie zapominając zerknąć, czy aby na pewno jest za nią ławka). Nawet nie zauważyłem, że Olga Nonowa jest tutaj! Może rzucić się na pomoc mojej pierwszej nauczycielce? Wspaniały pretekst do rozpoczęcia zalotów…

– Co oznacza czterdziestu psylońskich komandosów, nie muszę chyba mówić. – Toraki zerknął niezadowolony na Nonową, przy której już krzątały się kobiety. – Jak pamiętacie, podczas przedarcia się na Terrę czterech komandosów w ciągu trzech godzin całkowicie zniszczyło starożytne miasto Wilno i znaczną część otaczających je terytoriów.

– Kiedy przybędzie nasza flota, oficerze? – En Eyko popatrzyła mu natarczywie w oczy.

– Za dwadzieścia cztery godziny. Za późno – odparł szczerze Toraki. – Mnie wysłano w celu sformowania obrony, pozostałe statki nie mogą rozwinąć takiej szybkości jak kliper kurierski.

– Dwanaście myśliwców i trzy bombowce… – Kononow pokręcił głową. – Nawet nie muszą lądować.

– Ale wylądują. Muszą przejąć infrastrukturę kosmodromu nieuszkodzoną. Ponadto na pokładzie nie ma bombowców, zgodnie z danymi z archiwum ten pokład został całkowicie zniszczony przez nasze siły przejęcia, staranowano go po prostu. Porucznik Daniel Davids nie przypuszczał, że oddaje życie nie za dzieci, lecz za prawnuki.

Pompatyczne zdanie, wyraźnie przygotowane wcześniej, nie wywołało spodziewanego efektu. Co tam dla nas wyczyn porucznika! Gdyby wysadził w powietrze cały krążownik, to byłoby coś…

– Myśliwców również jest niewiele – włączył się Ogarin. – Siedem czy osiem zniszczono, gdy „Loredan” uciekał przed pogonią.

Ale to nam nie pomoże. Flota, którą możemy wystawić, nie poradzi sobie nawet z jednym psylońskim myśliwcem, choćby uszkodzonym. Może zdradzam jakąś tajemnicą, ale garnizon

dysponuje jedynie dwoma statkami z czasów Wielkiej Wojny, którymi właściwie nikt nie umie sterować. Umieszczenie na planecie nowego sprzętu uznano za nieuzasadniony wydatek.

– Wasz system już dawno stracił znaczenie strategiczne! – odciął się Toraki. Widocznie zdążyli ten temat gruntownie omówić w nocy.

– Już wkrótce utraci wszelkie znaczenie – zareplikował spokojnie kapitan. – Pozwoli pan, że poinformuję mieszkańców, czym dysponujemy?

– Jak pan sobie życzy. – Toraki zrobił dwa kroki w bok.

Denis obrzucił spojrzeniem knajpę. Nie było nas tu zbyt wielu, właściwie należałoby puścić transmisję na całe osiedle. Chociaż we wspólnocie zawsze woleliśmy przekazywać nowiny z ust do ust, a nie przez telewizję.

– Obywatele! Byłem tu u was niezbyt długo i szczerze mówiąc, za kilka dni miałem zamiar wynieść się stąd na zawsze. Widocznie nie było mi to pisane. Zresztą przywiązałem się do was… – Uśmiechnął się olśniewająco i spoważniał. – Nasz garnizon, włączając mnie, kucharza i lekarza, liczy piętnaście osób. O tym zresztą wiecie.

Wspólnota może wystawić pod broń około dwóch tysięcy mężczyzn, zgadza się? Uzbroić możemy wszystkich, nie ma problemu, stary arsenał jest pełny. Mamy również trzy stacjonarne stanowiska rakietowo-laserowe na terenie kosmodromu, ale o ich lokalizacji nie mogę nic bliższego powiedzieć, ponieważ to tajna informacja.

W tym momencie niektórzy goście nie wytrzymali i roześmiali się. Wszyscy w dzieciństwie kręciliśmy się po tych „tajnych punktach", bawiąc się w wojnę. Wielu z nas właziło do środka i do upojenia tłukło w klawisze zablokowanych pulpitów, obracając się na fotelu celowniczego i wrzeszcząc: „Psylończycy z północno-północnego wschodu!" Czy ktokolwiek we wspólnocie nie wiedział, że Nowy Kiteż próbowali zająć właśnie Psylończycy?

Ale teraz działo się to naprawdę.

– Punkty ogniowe – powiedział w zadumie Ogarin. – To oznacza o sześciu ludzi mniej z garnizonu. Mogą się utrzymać jakieś trzy minuty, może nawet coś zestrzelą. Reszta, ojcze Witaliju, jest już w pańskiej gestii. Krótko mówiąc, w Bogu cała nadzieja.

– Nie lepiej wyprowadzić ludzi do lasu? – zapytał duchowny. Wszystkich? I niech sobie Psylończycy zajmują stary kosmodrom do czasu przybycia naszych sił!

– Nie – odparł Ogarin. – Nie możemy tego zrobić. Jeśli Psylończycy zajmą kosmodrom, to „Loredan" wyląduje i wyładuje swoje stacjonarne punkty ogniowe. Po trzech godzinach pojawi się tutaj pełnowartościowa twierdza obsadzona przez cyborgi. Chce pan wiedzieć, co się wtedy stanie? Połowa floty zginęłaby w czasie szturmu, ale szturmu nie będzie. Będzie mezonowe bombardowanie,

które załatwi Psylończyków na amen. Ale przy okazji nas i całą planetę.

– A jeśli się uzbroimy i wyjdziemy naprzeciw desantowi? – zapytał ojciec Witalij. – Mamy szansę zwyciężyć?

– Nie – odpowiedział spokojnie Ogarin. – Nie mamy żadnych szans. Jest tylko nadzieja, że uda nam się powstrzymać lądowanie „Loredanu" na jakiś czas i Psylończycy nie zdążą się okopać. Wówczas flota po prostu zniszczy agresorów, a niektórzy z nas zdołają ocaleć. Psylończycy mają… mieli rygorystyczny kodeks wojenny i godny opór słabszego przeciwnika powinien wzbudzić ich szacunek. Ktoś może dostać się do niewoli, może również przeżyć. To chyba wszystko, co mogę i powinienem wam przekazać.

Zaledwie dwadzieścia minut temu w knajpie panowało ożywienie, nieco chaotyczne i sztuczne, spowodowane niezwykłymi gośćmi i możliwością rozrywki w środku roboczego tygodnia. A teraz zapanowała cmentarna cisza.

Jesteśmy już prawie martwi. Nigdy w życiu nie pokonamy czterdziestu Psylończyków. To tak, jakby puścić na czołgi tłum dzikusów z pałkami.

Ale nie bałem się. Świadomość czegoś tak fantastycznego nigdy nie dociera do człowieka od razu. Ożyły stare strachy, powrócili wrogowie z dziecinnych książek, koszmarne sny stały się jawą.

– Za czterdzieści minut – powiedział Ogarin. – Przy sztabie garnizonu. Czekamy na wszystkich.

– Nie mamy możliwości zmusić was do walki – dodał Toraki. Ale nie mamy też innego wyjścia. Jeśli jednak postanowicie się poddać, porzucicie osiedle i ukryjecie się w lasach…

Uśmiechnął się niesympatycznie.

– W systemie Nowy Kiteż panują teraz reguły stanu wyjątkowego. Czy muszę wyjaśniać, jaka jest kara za zdradę Imperium?

Radzę wysłać małe dzieci i starców jak najdalej, oni nie wezmą udziału w walce. Niech idą piechotą, środki transportowe Psylończycy zauważą. Przynajmniej przeżyją wasze dzieci i rodzice.

– Wśród nas nie ma tchórzy, kapitanie – powiedział ostro Kononow.

– Wierzę, sierżancie. Czekamy na was.

Toraki odwrócił się i w tym momencie zawołała go En Eyko, która przez ostatnie minuty w ogóle się nie odzywała.

– A co my mamy zrobić, panie oficerze?

Kurier spojrzał zdumiony, – Słyszeliście rozkaz.

– Nie jesteśmy mieszkańcami planety, tylko uczestnikami regat galaktycznych. Mamy statek.

– Nie jest uzbrojony, dziewczynko. Dziękuję, ale…

– Nieuzbrojony, ale za to szybki! Chcemy opuścić planetę.

En obejrzała się, szukając poparcia pozostałych załóg, ale najwyraźniej jej porcja pecha była nie mniejsza od mojej.

– Kulthos to ojczyzna tchórzy! – wykrzyknął cienkim głosem jeden z niewielkich przybyszów. – My zostaniemy tutaj i wykonamy rozkaz Imperatora!

I po kolei poszli do wyjścia, omijając En Eyko szerokim łukiem.

Z jakiej oni są planety?

Załoga w ciemnych strojach nie była tak egzaltowana. Po prostu wstali i wyszli.

– Mam dziesięć lat! – krzyknęła dziewczynka, jakby domagając się współczucia. – Mój brat dwanaście! Nie zmuszacie przecież do walki swoich dzieci!

Wujek zawsze lubił dzieciaki, i swoje, i cudze, i jeśli po kimś spodziewałem się współczucia, to właśnie po nim.

– Kiedy piłaś wódkę, twierdziłaś, że masz status pełnoprawnej obywatelki Imperium – przypomniał wesoło. – Prawda?

En popatrzyła na nas. Wiedziałem, co widzi w oczach moich rodaków. Pogardę.

– Przecież na pewno masz aTan – powiedział Ogarin. – Czego się boisz? Stracić jacht?

– Dzieci nie mają aTanu! – krzyknęła En.

– Czasami mają. Ty nie masz?

– Nie!

Nie uwierzyłem jej. I nikt z naszych jej nie uwierzył. Wszyscy słyszeli, że ojciec tych dzieci miał aTan. Wszyscy też wiedzieli, że taki jacht kosztuje furę pieniędzy.

– Nie mogę wam pomóc – powiedział twardo Ogarin. – Twoje przygotowanie będzie nam potrzebne. Podkreślę w meldunku, że wszystkie załogi uczestników regat zostały zmobilizowane. Jeśli nie weźmiecie udziału w walce, będziecie poszukiwani jako dezerterzy.

To wszystko. Starszy sierżancie Kononow, będzie pan tutaj dowódcą. Proszę zadbać o stawienie się zmobilizowanych.

Wyszedł. Za nim, kręcąc głową, ruszył Toraki.

En Eyko została wśród nas sama.

Zresztą nie całkiem – w kącie tkwił jej brat. W samych kąpielówkach, z narzuconym na ramiona ręcznikiem. Silny chłopak, pewnie uprawiał różne sporty…

Na razie cicho, bezgłośnie płakał.

– To przykre – rzekł Kononow. – Wszyscy tutaj zginiemy. Jeśli wasze prawa uznały was za dorosłych, zachowujcie się odpowiednio. No, moi drodzy, nie ma co tu sterczeć! Karczma zostaje zamknięta do czasu przybycia sił imperialnych. Wszyscy, którzy przeżyją, przez tydzień piją za darmo! A teraz macie dwadzieścia minut, żeby pożegnać się z rodzinami, potem zbiórka na placu. Kto ma środki

transportu, niech podjedzie, dzieci i starcy i tak muszą iść na piechotę. Broni możecie nie zabierać, kapitan da wam coś lepszego niż te wasze zabawki. No, żywo!

– Z Bogiem – powiedział ojciec Witalij. – Do licha, żwawo!

Ale to nie rzeczowy ton wujka i nie słowa ojca Witalija wymiotły naszych z knajpy – co skończyło się ściskiem w drzwiach, przepychankami i przekleństwami. Wstyd nam było patrzeć na tego płaczącego chłopca, który nie był już taki mały. Nasze dzieciaki na pewno trzeba będzie siłą wyganiać do lasu, wszystkie będą chciały pójść z rodzicami, żeby walczyć! En Eyko stała kompletnie załamana i poniżona. A jeszcze godzinę temu wszyscy się jej bali. Też mi Córka Kali… Nie wiem, kim była ta Kali, ale jej córki są dobre jedynie w szpanowaniu.

Już tylko ja stałem ze szklanką przy barze. Nie miałem się z kim żegnać, nie miałem kogo ewakuować. Wujek i ojciec Witalij popatrzyli na mnie, a duchowny powiedział łagodnie:

– Chodźmy. Dopij i ruszamy.

Skinąłem głową i wujek z Witalijem wyszli.

W knajpie zostały tylko dzieci i ja.

Chyba w ogóle nie zwracały na mnie uwagi.

– Znowu! Znowu! – zawołał Artiom, patrząc na siostrą. – Znowu!

Dziewczynka odwróciła się i podeszła do niego twardym, niedziecięcym krokiem. Objęła brata i włożyła mu swój szlafrok. Wyglądało to dziwnie i śmiesznie – była o głowę niższa od chłopca, a zachowywała się jak matka.

– Nie bój się, doprowadzę cię. – Jej głos ociekał słodyczą. Nie bój się, dojdziesz. Wszystko będzie dobrze. Wszystko dobrze się skończy.

Artiom chlipnął i podniósł głowę. Napotkał mój wzrok, chyba po raz pierwszy mnie zauważył, ale nawet się nie zdziwił, tylko niezrozumiale powiedział:

– Siódmy raz!

– Naprawdę nie macie aTanu? – spytałem głupio.

Dziewczynka zerknęła na mnie przez ramię.

– Idź sobie! Co my dla ciebie znaczymy?! – rzuciła ostro. Gdybyś zechciał nam pomóc, bylibyśmy już daleko stąd! Jesteśmy dla ciebie obcy i ty jesteś obcy dla nas!

– Chciałbym wam pomóc – odpowiedziałem szczerze. – Ale przecież to niemożliwe.

– No to wynoś się! – warknęła dziewczynka. – Czego jeszcze chcesz?

– To nie oni, to przeznaczenie… – wyszeptał cicho chłopiec.

Postawiłem opróżnioną do połowy szklankę na barze i wyszedłem.

Ojciec Witalij czekał na mnie przy drzwiach, wujek już poszedł.

To prawda. Oni są dla mnie obcy, ja jestem obcy dla nich, a cała nasza planeta nie jest dla tych dziwnych dzieci nic warta.

Ale dla mnie jest.

– Chodźmy, Alosza. – Duchowny poklepał mnie po ramieniu. Zapalisz skręta?

– Bardzo chętnie, ojcze Witaliju… A nie zaszkodzi przed walką?

– Jest lekki, szybko przejdzie.

Wciągnąłem lekki dymek marihuany, skinąłem duchownemu głową. W milczeniu, zaciągając się delikatnie skrętami, poszliśmy w stronę placu.

Rzecz jasna, czterdzieści minut to za mało, żeby wszyscy zdążyli dotrzeć na kosmodrom. Niektóre kobiety chciały odprowadzić dzieci chociaż do skraju dżungli, dwóm starcom trzeba było pomóc, bo nie mogli iść o własnych siłach. Zdaje się, że Ogarin z radością wypisał czterem rosłym nastolatkom dokumenty potwierdzające, że zostają zwolnieni z mobilizacji i dokooptowani do uciekinierów.

Chłopcy nie docenili swojego szczęścia. Woleliby dostać broń i ruszyć do walki, niż dźwigać nosze przez las. Ale ojciec Witalij wspomniał z wyrzutem o imperatywach moralnych i zawstydzeni chłopcy pobiegli po nosze do szpitala.

Dopiero godzinę później tłum ruszył od peryferii osiedla na pole kosmodromu. Sztab był niedaleko, arsenał, którego lokalizacja stanowiła tajemnicę państwową, również. Teraz czekali tu na nas żołnierze, z czterech ciężarówek wyładowując skrzynie z bronią.

– Uwaga! – Ogarin wziął swój telefon i jego głos, wzmocniony przez głośniki kopuły sztabu, rozległ się na całym kosmodromie. Podzielić się na cztery grupy! Dowódcy grup: Grigorij Kononow, Witalij Paklin…

Nie od razu zrozumiałem, że chodzi o ojca Witalija.

– Igor Coj…

Aha, ojciec Romana. Też służył kiedyś w siłach imperialnych, chociaż niedługo. Trafił pod promieniowanie i na wszelki wypadek przenieśli go do rezerwy.

– Paweł Otwiaznyj.

Nasz horodniczy, który najbardziej na świecie lubił piwo oraz pracę w przydomowym ogródku, najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzialności, ale Ogarin nie pozwolił nikomu ochłonąć.

– Dobierzcie sobie grupy, szybko! Każdy z was dostanie jednego mojego żołnierza do łączności i koordynacji.

Czterech żołnierzy ruszyło przez tłum, widocznie wcześniej poinformowano każdego z nich, do kogo jest przydzielony.

– Grupy mają ustawić się przy ciężarówkach w celu pobrania amunicji. Żadnych pytań i kłótni, sprzęt wydadzą wam wykwalifikowani specjaliści na podstawie osobistych cech

zmobilizowanych.

Zerknąłem na „specjalistów” – czterech młodych żołnierzy, stojących przy ciężarówkach. Przybyli do nas niedawno i pewnie nawet nie wszystkich mieszkańców osiedla znali z widzenia.

– Ustawiać się! Szybko!

To był zupełnie inny Denis. Nie ten, który wiecznie ze mnie kpił; nie ten, który lubił wieczorami, patrząc na mrugające niebo, opowiadać zdumiewające historie, w których przeplatała się prawda i fantazja.

– Jeśli za godziną któryś z was nie będzie miał broni, może mieć żal wyłącznie do siebie. Pogonią was na Psylończyków z gołymi rękami!

Nie wątpiłem, że rzeczywiście to zrobi. Żarty się skończyły.

Nie wiedziałem, że Ogarin potrafi być taki. Okazuje się, że w ogóle niewiele o nim wiedziałem. Ani gdzie i jak trafił do armii, ani skąd pochodził… Przez pięć lat wystarczały mi zabawne historie z życia sił imperialnych, opowieści o heroicznych walkach i przygodach na przepustce.

Takiego Ogarina widziałem po raz pierwszy. Taki Ogarin rzeczywiście potrafiłby zabijać – i to nawet swoich, jeśli nie spełnią pokładanych w nich nadziei.

Trafiłem do grupy wujka Griszy. Tak naprawdę było mi wszystko jedno, to jego zasługa. Długa kolejka ustawiła się do ciężarówki.

Żołnierz wyciągał z jednej skrzynki ciasno zwinięty pakiet, z drugiej broń, wręczał każdemu zmobilizowanemu, dorzucał jeszcze jakąś paczką – gdy podszedłem bliżej, okazało się, że to racja żywnościowa. I to wszystko. Stropieni ludzie odchodzili na bok, a nad nami grzmiał głos Ogarina:

– Uwaga! Pancerzy nie dostaniecie, nie macie wprawy w posługiwaniu się systemami ochronnymi. Zamiast tego otrzymujecie płachtę maskującą Kameleon. Wierzcie mi, naprawdę jest bardzo dobra! Została opracowana w ostatnich miesiącach wojny, więc załoga „Loredana” teoretycznie nie powinna dysponować detektorami, zdolnymi do jej wykrycia. Uwaga! Musicie bezwzględnie przestrzegać instrukcji postępowania zamieszczonej na opakowaniu płachty.

Po aktywacji kameleona indywidualne dopasowanie do figury trwa siedem minut; przez pierwsze trzy postarajcie się stać nieruchomo, a potem ruszać się możliwie najbardziej energicznie.

Przede mną stała Olga Nonowa. W ciągu ostatniej godziny przestałem się jej bać, teraz nie swaty były nam w głowie. Przezwyciężyła już pierwszy lęk; teraz nawet przyjemnie było patrzeć na jej mocną postać i przypominać sobie, jak my, dzieciaki, z zachwytem słuchaliśmy jej opowieści w pierwszej klasie. Kto inny mógłby nam odpowiedzieć na każde pytanie? Od kogo dowiedzieliśmy

się, że moc napędu jest wprost proporcjonalna do rozmiaru dyszy, że wiciokrzew nie bywa kłujący, że wielki malarz Gauguin odciął drugiemu wielkiemu malarzowi, van Goghowi, ucho w czasie pojedynku… Nonowa wiedziała wszystko o wszystkim, więc teraz powróciła do mnie dziecięca pewność – wszystko będzie dobrze.

W końcu nadeszła nasza kolej. Młody żołnierz otarł pot z czoła, zerknął na Olgą i wręczył jej potężną wielolufową broń.

– To szansa, w sam raz dla pani. Nie jest trudna w obsłudze.

– Młody człowieku – powiedziała surowo Olga – czym jest szansa, wiedziałam, gdy pana jeszcze nie było na świecie. Sześciolufowy automatyczny system ognia laserowego, skonstruowana przez wielkiego Martyzenskiego. Inaczej trak.

Lekko podrzuciła szansą, ujęła ją wygodniej i powiedziała:

– Pif-paf.

Ludzie obok uśmiechnęli się, pewnie poczuli się dumni, że u nas nawet nauczycielka umie posługiwać się trakiem. Żołnierz – pamiętałem, że ma na imię Wołodia – wręczył Nonowej pakiet z płachtą i od razu dwie racje żywnościowe.

– W porządku – burknął. – Tylko że teraz trzymają pani lufami do siebie. W czasie walki proszę raczej odwrócić. Następny.

– Cześć, Boksa – rzuciłem. Takie miał przezwisko, może z powodu sukcesów w starożytnym, półlegalnym rodzaju sportu, a może z innego powodu. Wołodia popatrzył na mnie ponuro, podał płachtę i niewielki pistolet.

– Bierz. To trzmiel, średni blaster plazmowy.

Zaskoczony, nie od razu zareagowałem. Widząc przy ciężarówce Wołodię, liczyłem, że dostanę prawdziwą, porządną broń. Na przykład szansę albo słynny ultimatum. A on mi daje blaster! Z czegoś takiego uczyliśmy się strzelać w szkolnej strzelnicy!

– Wołodia, coś ty?

Na moje ręce spadł pakiet z płachtą i racja żywnościowa. Wołodia mruknął:

– Głupku, dałem ci w prezencie kilka minut życia. Automatyka Psylończyków przede wszystkich odstrzeli tych z ciężkim uzbrojeniem.

Idącego za mną Pawlika Biziajewa obdarował moim wymarzonym ultimatum. Podekscytowany Pawlik rozpłynął się w radosnym uśmiechu, a ja stałem z płonącymi policzkami i zastanawiałem się, co zrobić.

Zażądać normalnej broni? Bez żadnych ulg i darowanych minut?

Ale przecież i tak ktoś musi dostać zwykły blaster, więc dlaczego nie ja?

– Trzmiel? – Ogarin podszedł do mnie, machając telefonem.

Spojrzałem zaskoczony, bo jego głos nadal huczał nad polem, ale zrozumiałem, że to nagranie. – Bardzo dobrze. Postanowiłem

sprawdzić, czy z głupoty nie złapałeś się za szansą.

– Denis, nie potrzebuję taryfy ulgowej!

– Nie mów głupstw. Po prostu chcą zachować kilku ludzi jak najdłużej. Między innymi ciebie. Wyluzuj.

– Ale…

– Wyluzuj się, mówię! – Denis zabrał mi broń i rację, położył na ziemi. Otworzył paczkę z płachtą, narzucił mi na ramiona, nacisnął jakąś wypukłość. Brudnoszara tkanina zafalowała, zasyczała, popełzła po ciele. – Nie ruszaj się! Kameleon musi się przyzwyczaić do twojej figury.

Pokornie zastygłem.

– Szkoda, że to stary model i twarz będzie odsłonięta – skomentował Ogarin, gdy płachta otuliła mnie całkowicie, zostawiając jedynie malutki owal. – Kiedy podejdą Psylończycy, wtulisz twarz w ziemię, może cię ominą… – Skrzywił się. – Jeśli pójdą dalej, możesz zaatakować… ale możesz też nie atakować. Nie liczymy na zwycięstwo, chodzi o grę na zwłokę. Wasz oddział ulokuje się wokół punktu ogniowego Gamma. Zniszczą go szybko, jeszcze z powietrza, ale potem desant wyruszy, żeby skontrolować pozycje. Wtedy zacznie się wasza praca. Jeśli Psylończyków będzie trzech czy czterech, może coś z tego wyjdzie. Kiedy odbijecie pierwszy atak, od razu wycofujcie się w stronę lasu, nie zapominając zostawić osłony, bo będą was gonić. I to już chyba wszystko.

Uśmiechnął się niewesoło.

– Trzymaj się, młody. Bardzo cię lubię i nie chciałbym wieczorem znaleźć twojego przypieczonego trupa.

– Uważaj, żebyś sam się nie przypiekł – odciąłem się.

– To moja praca.

– Kapitanie? – rozległ się cienki głosik.

Odwróciliśmy się – obok stali En i Artiom Eyko. Chłopiec dostał lekki blaster i płachtę, En nie miała broni.

– Słucham – rzekł Ogarin.

– Kapitanie, nie chcą mnie dopuścić do mojego statku.

Dziewczynka była spięta i Ogarin to widział.

– Zgadza się, taki wydałem rozkaz. Po co wam teraz jacht?

– Nie mam zamiaru odlatywać! – En potrząsnęła głową. – Ale statek na pewno zostanie zniszczony. Muszę koniecznie zabrać sprzęt.

– Broń? – sprecyzował Ogarin.

– Sprzęt. – Dziewczynka nie poddawała się. – Specjalistyczny sprzęt.

Na jej czoło wystąpiły kropelki potu. Palce nerwowo drżały.

– Po co?

– Kapitanie, moim obowiązkiem jest ochrona Artioma. Nie mogę wykonywać zadania bez specjalnego sprzętu. Kapitanie, jestem bardzo

spięta i trudno mi kontrolować moje zachowanie, gdy mam świadomość, że nie zdołam wypełnić swojego obowiązku.

Zdumiewające. Jej występ przebijał wszystkie szaleństwa ostatniej doby. W samym środku tłumu składającego się z dwóch tysięcy uzbrojonych ludzi stała mała dziewczynka i prawie otwarcie groziła kapitanowi sił imperialnych.

Ogarin zerknął na mnie.

– A ty co tak sterczysz? Ruszaj się, kameleon ma zapamiętać twoje ruchy! Skacz, biegaj! No, jazda!

Zacząłem się ruszać, ale w miejscu. Rozmowa była zbyt ciekawa, po prostu nie mogłem odejść. Ogarin pokręcił głową, ale nie wyganiał mnie.

– Czy En odleci bez ciebie? – zwrócił się do chłopca.

Artiom pokręcił głową.

– To dobrze. – Kapitan zerknął na zegarek. – Ile czasu potrzebujesz?

Oceniłem, że stąd do miejsca cumowania jachtu jest jakieś trzy kilometry.

– Dziesięć minut, żeby dotrzeć do statku, dziesięć na zebranie rzeczy, dziesięć na powrót, pięć minut rezerwy – wyskandowała dziewczynka.

– Zezwalam – powiedział Ogarin, poniósł do ust telefon i coś wymamrotał.

Zanim skończył, dziewczynki już nie było. Biegła, niemal nie poruszając rękami, za to przebierając nogami z niesamowitą szybkością. Jakby nie była człowiekiem, tylko cyborgiem.

– Jak mechanistka – powiedział z goryczą Denis.

– Nie jest cyborgiem – zapewnił posępnie chłopiec.

– Wiem. Ale jest niewiele lepsza. – Ogarin spojrzał na niego. Kochasz ją?

– Ona jest dobra – rzekł Artiom. – Najlepsza ze wszystkich.

– Kim tak naprawdę jesteście? – zapytał ostro Denis.

Chłopiec popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Było w nich ostentacyjne zaskoczenie i naiwność.

– Nie mam czasu i możliwości, żeby się czegokolwiek o was dowiedzieć – podkreślił Ogarin. – Prawdopodobieństwo mojej śmierci w czasie ataku Psylończyków wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Chciałbym po prostu wiedzieć. Rozumiesz?

Chłopiec oblizał wargi.

– Mały, bez względu na to, kim jesteście, nie życzę wam źle. Denis podszedł do Artioma. – Być może gwizdnę na kilka zasad i pozwolę wam odejść z pola bitwy. Tylko musisz mi wyjaśnić, kim jesteście i czym tak naprawdę są dla was te regaty.

Artiom wyraźnie się wahał. Nie było w nim tej twardej

stanowczości, cechującej En.

– Na pewno pozwoli nam pan odejść?

– Aloszka, czy kiedykolwiek cię oszukałem? – spytał Ogarin, nie odwracając się.

– Nie – odparłem szybko.

– Pewnie i tak jest już za późno… – Artiom odwrócił się, jakby próbował odszukać siostrę wzrokiem. – Nie wiem… Obiecuje pan, że pozwoli nam odejść? Ja już dłużej nie mogę, słowo honoru! To już siódmy raz, siódmy raz!

Denis wyciągnął rękę i poklepał go po policzku.

– Obiecuję, mały. Mów. Powiedz prawdę i ewakuuj się razem ze wszystkimi.

Jeszcze nie skończył, a już stało się jasne, że powiedział coś nie tak, gdzieś się pomylił. Twarz Artioma wykrzywił pogardliwy grymas i chłopak się cofnął.

– Nasze dokumenty ma siostra, kapitanie. Odpowie na wszystkie pańskie pytania.

Ogarin przygryzł wargi i skinął głową.

– Jasne. W takim razie spadaj, szczeniaku. Boisz się umrzeć, to przynajmniej nie bój się żyć.

– Lepiej od ciebie wiem, czym jest życie i śmierć!

Przez chwilę wydawało mi się, że przed nami stoi nie chłopiec, ale dorosły mężczyzna. Było coś w jego spojrzeniu, w jego słowach…

Artiom odwrócił się i poszedł.

– Wiesz – powiedział Ogarin, odprowadzając go wzrokiem kiedyś na manewrach zaprowadzili nas, kadetów, do teatru. Sztuka była bardzo ciekawa. Spóźniliśmy się na początek, a gdy już zrozumieliśmy, o co chodzi, poderwali nas z miejsc, ustawili i zaprowadzili do obozu.

Popatrzył na niebo, uśmiechnął się i zaczął nabijać fajką.

– Zrobili to specjalnie, to byli bardzo mądrzy ludzie. Chcieli nam pokazać, że nie na każdą sztukę trafimy w porę i nie każdą obejrzymy do końca. Czy to w teatrze, czy w życiu… Dobrze, Aloszka.

Czas na mnie, trzymaj się.

Ogarin wsunął niezapaloną fajkę do kieszeni, objął mnie mocno i poszedł w stronę sztabu. Minutę później nad kosmodromem znów huczał jego głos:

– Do diabła! Następnego, który bez rozkazu odbezpieczy broń, zastrzelę osobiście!

Wzruszyłem ramionami.

Dziwny z niego człowiek.

– No i proszę. To tak sprawy wyglądają.

Podszedł do mnie Siemiecki, dyrektor naszej jedynej szkoły.

[Kolejne spotkanie czytelników prozy S. Łukianienki z Jurijem

Siemieckim – słynnym fanem rosyjskiej SF, żarliwym członkiem rosyjskiego Fandomu. Zabijanie go na kartach powieści SF stało się ambicją rosyjskich twórców fantastyki, przyznawana jest nawet nagroda za „najlepsze literackie zabójstwo Siemieckiego". Czytelnik, stykając się w utworze z bohaterem o tym nazwisku, odruchowo zaczyna traktować go jak nieboszczyka i zastanawiać się, w jaki sposób Jurij Siemiecki zginie tym razem (przyp. tłum.).]

Niewysoki, o wąskich ramionach, kiedyś wydawał się nam olbrzymem, podobnie jak Olga Nonowa olbrzymką. Tyle że Olga faktycznie była potężna.

– Wiesz co? – powiedział melancholijnie Siemiecki. – Napijmy się! Nigdy nie piłem ze swoimi uczniami, a teraz się napiję!

Wyjął z kieszeni płaską butelkę i podał mi.

– Dziękuję – łyknąłem koniaku. – Czemu nie wkładasz kameleona?

– A co mi tam! – Siemiecki machnął ręką. – Zdążę. Zresztą, i tak jestem nieduży, nie zauważą mnie. Co najwyżej dostrzegą tę broń.

Podniósł za lufę ultimatum i pomachał nim nad betonem, obtłukując plastikową kolbę.

– Jak myślisz, dlaczego tobie, rosłemu chłopakowi, dali mały pistolet, a mnie, takiemu cherlakowi, wielką armatę?

– Nie wiem – powiedziałem, oddając butelkę.

– No właśnie – westchnął Siemiecki. – Pójdę już.

Ruszył, wlokąc za sobą broń, i po chwili zniknął w tłumie.

Zrobiło mi się strasznie przykro – zrozumiałem, że nigdy więcej go nie zobaczą.

Jeszcze kwadrans staliśmy przy ciężarówce. Wszyscy dostali już sprzęt i teraz czekali nie wiadomo na co.

– No, najwyższa pora! – rozległ się w końcu głos wujka Griszy. – Ruszamy do tajnego punktu ogniowego Gamma. Wszyscy pamiętają, gdzie on się znajduje?

Wielogłosy ryk potwierdził, że nikt nie zapomniał swoich dziecięcych wygłupów.

– Jazda! – Tym okrzykiem Grigorij zmusił swoich ludzi do ruszenia się. – Z nami jest Bóg, Wspólna Wola i Grey!

Ruszyliśmy przez kosmodrom, nie w szeregu, ale dość równo, a nawet, jeśli brać pod uwagę sytuację, radośnie. Czy to wydana broń tak na nas podziałała, czy może to kwestia przebywania w tłumie?

W ogonie kolumny ktoś zaintonował wojskową pieśń: Wszyscy urodzeni jesteśmy do tego, żeby gwiazdy przemieniać w pył!, ale ponieważ niewiele osób znało słowa, piosenka szybko ucichła.

Pięć minut później ochronne płachty zaczęły działać, widocznie dostosowały się do ciał. To jeden, to drugi człowiek rozmywał się i przemieniał w niejasny cień, nad którym niczym obłoczek płynęła

twarz w wycięciu kaptura. W ruchu ludzie byli jeszcze jako tako widoczni, ale gdy zastygli, całkowicie zlewali się z tłem.

A może te płachty rzeczywiście nam pomogą i uda się odbić atak psylońskich komandosów? Nie mają czym zbombardować planety, więc będziemy grać na zwłokę; potem przybędzie flota i rozniesie krążownik w pył, a sława naszej planety rozniesie się po całej galaktyce. Grey da nam kredyty na rozwój, dziennikarze zlecą się całymi tabunami i skoczy w górę cena pereł…

W ten sposób, oddając się uspokajającym marzeniom, doszedłem do tajnego bunkra Gamma. Oczywiście na powierzchni nic nie było widać, wszystkie budowle mieściły się głęboko pod ziemią, pod betonowymi płytami. Ale pamiętałem kilka zamaskowanych wejść i mniej więcej wiedziałem, w którym miejscu wynurzą się na powierzchnię laserowo-rakietowe wieże obrotowe, gdy zacznie się walka. Grigorij pogadał chwilą z żołnierzem i zaczął wydawać polecenia. Zostaliśmy rozlokowani w promieniu dwustu metrów wokół bunkra, mieliśmy się tu położyć. Gdyby pięć minut później ktoś rzucił okiem na to miejsce, mógłby pomyśleć, że kosmodrom jest pusty. Ja widziałem tylko swoich najbliższych sąsiadów – Siemieckiego, Nonową, Artioma i En Eyko, która tymczasem zdążyła wrócić.

– Napijesz się? – zapytał Siemiecki, wyjmując butelką.

Pokręciłem głową. Wystarczy. Przypomniałem sobie swoją niedawną idiotyczną myśl, że widzę Siemieckiego po raz ostatni, i przekląłem się za wybujałą wyobraźnię.

Jeszcze pożyjemy!

Siemiecki upił łyk i zaczął się wiercić; usiłował położyć się na ultimatum i przykryć go swoim ciałem. Kiepsko mu szło – albo wystawały boczne rączki, albo wysuwała się lufa. Siemiecki kręcił się, rozkładał ręce, walił w kolbę kolanami i cicho klął.

– Co ty tam robisz z tą bronią? – zawołał ktoś. Rozległy się śmiechy.

– Idźcie do licha – mruknął Siemiecki. – Próbuję się jakoś zamaskować.

Nonowa nie miała takich problemów. Potężną szansę ułożyła wygodnie na piersi, kołysząc ją niczym niemowlę. Niedawne omdlenie wyraźnie zdążyło wylecieć jej z pamięci.

Artiom i En nie zwracali uwagi na to, co się dzieje. Te dziwne dzieci rozmawiały o jakichś swoich sprawach. Wyglądało, że się kłócili. Twarz dziewczynki, prawie zupełnie zasłonięta kombinezonem, była czerwona i wściekła. Coś poszło nie tak.

– Uwaga, wszyscy!

Drgnąłem, gdy w uszach zabrzmiał mi głos Ogarina. Nie uprzedzono nas, że płachty są wyposażone w środki łączności.

– Będę utrzymywał z wami stały kontakt, niestety jednostronny. Dostałem informację, że wszystkie grupy zajęły swoje pozycje.

Dzieci i starcy są już w lesie. Przekazali mi meldunek, po czym radiostacja została zniszczona. A teraz sprawa najważniejsza: według danych satelitów „Loredan" zaczął wysadzać desant.

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Jako pierwsze idą trzy myśliwce. Powtarzam: trzy. Za nimi cztery szalupy desantowe. Widocznie to wszystko, co im zostało.

Stacjonarnym punktom ogniowym wydano rozkaz przepuszczenia myśliwców i skoncentrowania ognia na desancie.

Głos Denisa lekko drgnął. Doskonale rozumiał, że tym rozkazem skazuje swoich ludzi na śmierć. Gdy celowniczy będą usiłowali zniszczyć pole siłowe szalup desantowych, myśliwce załatwią bunkry.

Ale wtedy my zyskamy szansę.

– Czas pozostały do pojawienia się myśliwców: trzy minuty, do pojawienia się desantu: sześć minut. Powodzenia!

Znowu zapadła cisza. Ale nie na długo.

– Nie kazałem ci tego robić! – zawołał Artiom.

Zerknąłem na przybyszów. Chłopak, ledwie widoczny w kameleonie, uniósł się na łokciu; En gwałtownym ruchem przygniotła go do betonu i coś szybko powiedziała. Wydawało mi się, że odczytałem z jej warg: „Teraz już za późno".

Każdy ma jakieś swoje problemy.

– Nie podoba mi się to – powiedział sam do siebie Siemiecki.

I w tym momencie w niebie rozległ się cienki wizg. Wiedziałem doskonale, że nie powinienem się demaskować, ale mimo wszystko spojrzałem w górę.

Psylońskich myśliwców nie było widać – atakowały ze stratosfery. Ale sam atak wyglądał jak na filmach. Standardowy epizod zdławienie obrony planetarnej.

Sześć jasnych punktów, sześć wirujących pomarańczowych bąków leciało prosto na nas.

Ziemia zadrżała, za naszymi plecami rozsunęły się płyty i wyłoniły metalowe kolumny. Część otworzyła się, wysyłając w niebo krótkie cygara rakiet, część zaczęła tworzyć parasole anten. Jakby w odpowiedzi na ognisty deszcz, planeta stworzyła nową potworną formę życia – stalowe grzyby.

Za późno.

Sześć plazmowych pocisków uderzyło w środek kręgu. Fala uderzeniowa odrzuciła mnie na kilka metrów, zatkało mi uszy. Niczym we śnie patrzyłem, jak wirujące ogniste wiry wgryzają się w beton, zanurzając się coraz głębiej, w wilgotny chłód betonowych korytarzy, w wypełnione generatorami i głowicami bojowymi podziemia, w bezpieczne, jakże bezpieczne bunkry, w których siedzieli

żołnierze Imperium dwóch chłopców, wysłanych rozkazem Ogarina na pewną śmierć.

To niemożliwe!

Wydawało mi się przez moment, że zobaczyłem cień rakiety Psylończyków, która zanurkowała za plazmowymi pociskami w ziejącą ogniem gardziel. Ziemia jeszcze raz drgnęła i zapadła cisza. A potem nad nami przeleciała i zniknęła srebrzysta sylwetka myśliwca.

Tajny punkt Gamma został zniszczony, zanim zdążył cokolwiek zdziałać.

Jakby Psylończycy dokładnie znali jego lokalizację.

Nieprawdopodobne…

Wstałem i w bezsilnej wściekłości pogroziłem niebu. Przez watę w uszach przebił się niegłośny huk – to ktoś zaczął strzelać do myśliwca, głupio i nieskutecznie.

– Przerwać ogień! Wszyscy przerwać ogień! – Ogarin wrzeszczał ze wszystkich sił. – Zająć pozycje! Czekać na pojawienie się desantu! Wszyscy mają zająć pozycje!

Padłem na kolana i przywarłem twarzą do betonu. Gdzieś głęboko pod nami wrzało ogniste jezioro, ale to nie budziło strachu.

Z tyłu wzbiła się w niebo kolumna gęstego czarnego dymu, niespodziewanie równa i piękna.

A na horyzoncie pojawiły się jeszcze dwie takie same kolumny.

Zostaliśmy pozbawieni baz stacjonarnych już w pierwszych minutach walki. Psylończycy nie dali nam szansy zaatakowania szalup desantowych.

4. Zdrajcy i bohaterowie

Pod względem fizycznym Psylończycy są bardzo słabą rasą.

Podobno nawet ziemskie dziecko byłoby w stanie zabić dorosłego Psylończyka bez większego wysiłku.

Poza tym są bardzo nieliczni. Każdy żeński osobnik jest w stanie dać najwyżej trójkę potomstwa w ciągu całego życia. Takie są uwarunkowania fizjologiczne – w organizmie występują tylko trzy komórki jajowe.

Ale Psylończycy nigdy nie próbowali pokonać przeciwnika siłą fizyczną czy przewagą liczebną.

Szalupa desantowa wylądowała mnie więcej kilometr od nas.

Ściskaliśmy mocno broń, z nienawiścią patrząc na jajowaty szary statek, otulony tęczowymi zasłonami pól siłowych. Żadnych nadziei na przebicie tej osłony ręczną bronią.

Komandosi zaczęli wychodzić.

Nawet w pancerzach bojowych nie wyglądali zbyt groźnie.

Pancerze miały po jakieś dwa metry długości, niby nic takiego, ale gdyby coś takiego z podobnym wyposażeniem próbowano wyprodukować na Terrze, ważyłoby to co najmniej dziesięć ton. Nawet teraz nie mamy przenośnych reaktorów kwarkowych, które dawały psylońskim komandosom energię, oraz „strumieniowych" pól siłowych, umożliwiających im poruszanie się z taką lekkością.

Było ich dziesięciu. Rozsypali się w tyralierę i ruszyli na nas.

Lekko, otwarcie, może naprawdę nie widzieli nas pod płachtami, a może wzgardliwie ignorowali.

– Obrońcy punktów Alfa i Gamma, przygotować się do walki! – odezwał się znowu Ogarin. – Ogień otworzyć dopiero na komendę swoich dowódców. Ochrona sztabu otwiera ogień na moją komendę!

Leżeliśmy bez ruchu. Czasem zerkałem w stronę sąsiadów, próbując ich wypatrzyć, czasem na podchodzących niespiesznie komandosów. Czyżby słynny ultimatum, strzelający ładunkiem antyprotonów, nie zdołał przebić ich osłony? Czy laserowa salwa szansy naprawdę nie da żadnego efektu?

Górne kończyny Psylończyków poruszały się rytmicznie, w czasie marszu wymachiwali rękami prawie jak ludzie.

No, dalej, dalej… Wujku Griszo, na co czekasz? Do wrogów zostało trzysta metrów, nawet z mojego blastera można strzelić…

I w tym momencie zaatakowali Psylończycy.

Znowu nas uprzedzili.

Zobaczyłem szybkie kreski ognistych nici – pociski plazmowe albo jakieś inne draństwo. Ogłuszony pokręciłem głową, a komandosi dalej szli spokojnie w naszą stronę. Spojrzałem w prawo i osłupiałem.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Siemiecki, pozostał tylko wypalony krąg, z którego pionowo sterczała stopiona lufa ultimatum. Nie zdążył oddać nawet jednego strzału.

Patrzyłem chwilę na ten pomnik – na zdradziecką broń, której nie dało się ukryć pod kameleonem… A potem wyciągnąłem spod brzucha własny blaster.

– Nie ulegać prowokacjom! – rozległ się głos Kononowa. Okazało się, że również miał z nami łączność.

Prowokacjom?!

– Idź do diabła, wujku – wymruczałem.

Wycelowałem do jakiegoś Psylończyka – czy to nie wszystko jedno, do którego strzelę? I nacisnąłem spust.

Nasi tylko na to czekali.

Kiedy walnęło pięćset luf, powietrze zaczęło płonąć.

– Aaa! – rozległ się przejmujący krzyk tuż nad moim uchem.

Nie przerywając strzelaniny, spojrzałem w górę, absolutnie pewien, że Olga Nonowa umiera.

Ależ skąd!

Dzielna nauczycielka stała wyprostowana, ignorując nasze chaotyczne salwy i ogień Psylończyków. Szansa chodziła w jej ręku z boku na bok, laserowe promienie smagały ziemię. Nie wiem, co ją chroniło. Może ten fart, którego zawsze brakowało mnie, a może straceńcza odwaga?

– Macie, obcy! – krzyczała Nonowa, a oczy jej błyszczały.

Patrząc na nią, nikt by nie pomyślał, że to spokojna nauczycielka klas młodszych. I nawet jeśli jej strzelanina nie przynosiła żadnych efektów – zbyt nisko opuszczała lufę i paliła tylko beton przed sobą – to sam jej przykład sprawiał, że człowiek czuł się dumny ze swojej rasy.

W szeregu Psylończyków nastąpił wybuch. Czyjś wystrzał jednak przebił osłonę komandosów. Groteskowa postać drgnęła, rozpadała się na pół i runęła.

– Dobrze ci tak! – wrzasnęła Nonowa, uznając to trafienie za swoją zasługę.

Odpowiedź Psylończyków nastąpiła natychmiast. Najwyraźniej zrozumieli, że załatwimy ich przewagą liczebną, i przerwali pojedynczy ogień. Za to przed każdą postacią pojawił się mały czerwony obłoczek.

Nie wiedziałem, co to takiego.

Ale wujek Grisza wiedział.

– Wycofać się! Natychmiast! – wrzasnął. – W sposób zorganizowany! Pierwszy i drugi pluton na lewo! Trzeci i czwarty na prawo!

Jakie znów plutony? Po drodze Grigorij próbował podzielić nas

na oddziały i teraz przypomniało mi się, że trafiłem do czwartego plutonu. Tylko że bieg w prawą stronę, tam gdzie ział lej po bunkrze, równałby się samobójstwu. Przecież każdy zajmował pozycję, jak chciał.

Czerwone obłoczki przed komandosami zlały się w jedno, tworząc purpurowy pas. Niczym złowieszcza chmura sunęły na naszą pozycję.

Chyba po raz pierwszy w życiu nie posłuchałem wujka i pobiegłem w lewo.

Obok mnie gnała Nonowa, wymachując ciężką szansą jak lekkim wskaźnikiem, potem Artiom, En, a z tyłu jeszcze z dziesięć osób.

Nasza linia obrony złamała się. Tylko kilku ochotników – albo nie słyszeli rozkazu wujka, albo ogarnął ich szał bojowy – zostało na swoich miejscach. Odgłosy strzelaniny dobiegały, dopóki po obrońcach nie przesunął się pas czerwonej mgły.

Wtedy wszystko ucichło.

– Bydlaki! Dranie! – krzyczała cienko En Eyko. – Nie mieli prawa użyć pełznącej tarczy!

Rany, mówi jak dziecko! Jakie prawa obowiązują na wojnie?

Minęło zaledwie kilka minut, a nasz chaotyczny tłum znalazł się kilometr od bunkra. Psylończycy też zmierzali w jego stronę, ignorując rzadkie strzały. Zaraz sprawdzą dogasające resztki, a potem…

A potem pójdą dalej, żeby nas dobić.

Poruszają się niewiele szybciej od nas, ale za to mają dalekosiężną broń. I mogą iść godzinami, nie zmniejszając tempa i nie tracąc sił, bo przecież wspomaga ich pancerz.

Zwolniłem kroku, zatrzymałem się. Za moim przykładem poszli jedynie En i Artiom, Olga Nonowa i pozostali biegli dalej.

– En, co macie zamiar zrobić?

Nie wątpiłem ani przez chwilę, że naszą planetę i rozkazy Ogarina mają gdzieś.

Dziewczynka rzuciła mi pogardliwe spojrzenie, ale od razu zmieniła wyraz twarzy.

– Trzeba się ukryć. To przecież jasne, że walka jest już przegrana!

Skinąłem głową. Nie ma sensu spierać się o rzeczy oczywiste.

– Zaraz zaczną przeczesywać kosmodrom, trzeba się przyczaić.

Gdy wyląduje „Loredan” i zacznie się wyładunek sprzętu, spróbujemy przedrzeć się do naszego jachtu. Może uda się uciec i kontynuować regaty.

– Poszaleliście z tymi regatami! – krzyknąłem.

En Eyko wzruszyła ramionami.

– No to co? Znowu masz szansę. Ale teraz prócz marchewki jest jeszcze bat.

Powariowali.

Spojrzałem na Artioma.

Chłopiec wcale nie wyglądał na szaleńca. W jego oczach czaił się smutek, strach i wstręt, ale nad tym wszystkim przeważało błaganie. Czemu aż tak się boi śmierci?

Dzieci jeszcze nie rozumieją, czym jest śmierć. Za wcześnie dla nich na taki strach.

Ale chłopiec się bał.

Jeszcze raz popatrzyłem na słupy dymu. Ładnie nas załatwili, przewidzieli wszystkie nasze plany. Spłonęły punkty ogniowe Alfa, Beta, Gamma…

Zaraz, ale przecież było ich cztery!

Potrząsnąłem głową. Gdzie zawsze chodziliśmy się bawić? Zwykle do Alfy albo do Gammy, bo to najbliżej. Rzadziej do Bety. I chyba ze dwa razy, wracając z wyprawy po lesie i Srebrzystych Wodospadów – do Delty.

Czyżby nawet Ogarin nie wiedział o istnieniu tego punktu?

Dziesięć kilometrów, mniej więcej na południowy zachód. Popatrzyłem w tamtą stronę – błękitne niebo pozostało czyste.

– Wiem, gdzie się ukryjemy – powiedziałem. – Chodźmy.

Są religie, według których cały świat to sen. Sen Boga, który ten świat wymyślił. Twój własny sen. Sen jakiegoś niepozornego człowieka. To by wiele wyjaśniało, sny zawsze są trochę przerażające.

Nawet piękny i dobry sen jest smutny, choćby dlatego, że trzeba się z niego obudzić.

A może to rzeczywiście tylko sen?

Szybkim krokiem szliśmy po bezkresnym betonowym polu, coraz bardziej oddalając się od metodycznie okrutnych Psylończyków i od naszych ludzi, którzy próbowali stawić im opór.

We śnie nie można zdradzić, prawda?

A może, jeśli zdradziłeś we śnie, to znaczy, że jesteś gotów do tego na jawie?

Może to wszystko mi się śni? En Eyko z jej nerwowym bratem i atak Psylończyków? Albo przynajmniej sam atak… Zaraz się obudzę i okaże się, że uczestnicy wyścigu polecieli dalej, żadnego „Loredana” w ogóle nie ma, a ja muszę kupić bukiet kwiatów i iść do Olgi Nonowej. Ojciec Witalij pewnie tak wytłumaczy mój koszmar, w którym niemłoda nauczycielka okazała się nagle bohaterką.

Niestety.

To wszystko dzieje się naprawdę.

Po prostu ożyły dawne strachy i straszne sny stały się jawą.

I te cienie, które tak przyjemnie było wyobrażać sobie wieczorem pod kołdrą, gdy odłożyło się książkę o czasach Wielkiej Wojny – te cienie wróciły. Cienie, teraz już z krwi i kości, zapragnęły naszej krwi.

Czy oni naprawdę nie rozumieją, że minęło ponad dwieście lat i że mamy pokój?

Nie mogą nie rozumieć. Psylończycy są przecież bardzo mądrzy.

A więc rozkaz, wydany przez dawno nieżyjących władców, znaczy dla nich tak wiele?

I A może po prostu, widząc na planecie ziemską osadę, doszli do wniosku, że wojna została przegrana, a ich rasa unicestwiona, podobnie jak rasa sakrasów? Ruszyli zatem do ostatniej, bezwzględnej walki, żeby przynajmniej drogo sprzedać swoje życie.

Cienie. Cienie przeszłości. Zapal tysiące lamp, obstaw świątynię świecami, wyjdź na słońce, a one i tak podpełzną. Ze zwycięskiej wojny, z owianych legendami czynów. Jak nazywał się ten pilot, który staranował „Loredana"? Już nie pamiętam. Jego bohaterski czyn przetrwał jedynie jako krótka notatka w wojskowych archiwach. A ofiary tego czynu dotarły do miejsca przeznaczenia, żeby zginąć z godnością.

Psylończycy są skazani. I nie mogą tego nie rozumieć.

Gdy stajesz się tylko cieniem, już nie czujesz bólu.

– Aleksiej?

Zerknąłem na Artioma. Chłopiec szedł obok mnie, jego siostra trochę z przodu.

– Tak?

– Całe życie tutaj przeżyłeś?

– Mhm.

Pewnie zaraz mi powie, że to nudne. No cóż, sam o tym wiem.

– I nigdy nigdzie nie poleciałeś?

– Nie.

Chmurnie się uśmiechnął.

– Zazdroszczę ci.

– Czego?

– Kiedyś marzyłem o podróżach. Potem przestałem.

– Dlaczego?

Artiom wzruszył ramionami.

– Dlatego że wszystkie podróże gdzieś się kończą.

– Masz problemy, prawda? – zapytałem ostrożnie.

– Jeszcze jakie.

Nie wyglądał już na zamkniętego w sobie, raczej na skazańca, który stracił nadzieję. Jakby siłą rozpędu robił to, co należy, dlatego że tak trzeba, ale nie czuł przy tym zadowolenia ani nie liczył na sukces. Tak piszesz egzamin, wiedząc, że i tak nie zaliczysz.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. – Jestem pewien, że wyjdziecie z tego cało. Zaraz się ukryjemy, a potem ty i En odlecicie.

Miał sympatyczny uśmiech. Szkoda tylko, że mi nie uwierzył.

– Nic z tego nie wyjdzie. Zobaczysz.

Dlaczego go pocieszałem?

Który z nas bardziej potrzebował pociechy? Na moich oczach

ginęła nasza wspólnota. Przede mną nie było już nic. A szansę przeżycia były tak śmiesznie małe, że nawet trudno byłoby je obliczyć.

A mimo wszystko chciałem pocieszyć tego chłopca, dziwnego i obcego, który tak pechowo trafił na naszą małą, cichą planetkę.

Jakby za nim stały jego własne cienie i większe nieszczęścia niż płonąca planeta.

– Boisz się śmierci? – spytałem.

– Coś ty – odpowiedział szczerze Artiom. – Ani trochę. Ojej, kto to?

En, która szła przed nami, zatrzymała się, w jej ręku błysnął metal. Skoczyłem do przodu, chwyciłem ją za rękę, krzyknąłem:

– Stój! Nic nie rób! To abori!

Nie wiem, jak to się stało, ale po ułamku sekundy już nie trzymałem jej ręki. Dziewczynka patrzyła na mnie pogardliwie.

– I co z tego? Wiem, że są potencjalnie niebezpieczni.

Abori szedł ku nam spokojnie, kichając, smarkając i plując kawałeczkami śluzu. Słowo daję, nie miał kiedy wyjść na spacer.

– Pokój i miłość! – zawołałem do niego.

– Jest niebezpieczny! – krzyknęła z uporem En.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak! – warknąłem. – En, te istoty wysyłają wiązki mikrofal. To po pierwsze. Kontaktują się ze sobą telepatycznie. To po drugie. Cechuje ich wysoka empatia i mszczą się okrutnie za śmierć każdego ze swoich współbraci. Zabiją ciebie i tego, kto jest ci bliski. To po trzecie.

En zerknęła na Artioma i zawahała się.

– A jeśli go nie ruszę?

– Wtedy wszystko będzie w porządku. Nie są agresywni. Nic od nas nie chcą, rozumiesz? Nic!

Abori podszedł, zamlaskał, nabierając powietrza, i powiedział przez nos:

– Pokój i miłość.

Wziąłem En za rękę i zacząłem ostrożnie obchodzić abori dużym łukiem. Artiom szedł obok mnie, tak żebyśmy osłaniali go przed tubylcem.

– Pokój i miłość – powtórzył abori. Wsunął rękę w fałdy skóry, pogrzebał i zrobił krok w naszą stronę.

Perła miała trzy centymetry średnicy, czyli wielkość Kwiatu Plazmowego. Miała przy tym czerwonawy połysk, co było niezwykłą rzadkością.

Abori cierpliwie czekał.

Moja ręka sama sięgnęła do butelki z wodą i znieruchomiała.

Ile czasu będziemy musieli siedzieć w bunkrze? Kilkanaście godzin? Dobę? Kilka dni? En i Artiom w ogóle nie mają wody, a czy znajdziemy w bunkrze jakieś zapasy – nie wiadomo.

– Wiesz przyjacielu, jakoś nie mam do tego głowy – powiedziałem i rozłożyłem ręce. Poszliśmy dalej.

Abori nie zdziwił się, oni niczemu się nie dziwią. Podreptał w miejscu i ruszył za nami.

– To wasz produkt eksportowy? – zapytał Artiom.

– Tak, jedyny – potwierdziłem.

– I ta kulka jest pewnie sporo warta? Dlaczego nie wziąłeś?

– Trzeba ją wymienić na wodę.

– Przecież masz butelkę.

– Pieniędzmi pragnienia się ugasimy, Artiom.

– Słusznie – przyznał.

Dystans między nami a tubylcem zwiększał się nieuchronnie, ale abori się nie poddawał. Szedł za nami, drapiąc się i kołysząc, i wydając bulgoczące dźwięki. En oglądała się co chwila, wyraźnie zdenerwowana.

– Nie bój się, nic nam nie zrobi – uspokoiłem ją.

– Nie boję się o siebie – odpaliła dziewczynka.

– Gdy ukryjemy się w bunkrze, trochę się pokręci, a potem sobie pójdzie – obiecałem. – Mieliśmy szczęście, że Psyłończycy nie wiedzieli o punkcie Delta.

– Nie ma o nim żadnej informacji – zauważyła ponuro En. Nawet w archiwach imperialnych. W czasie wojny zdarzało się, że ze względu na tajność sprawy niszczono pewne dokumenty, a potem o magazynach, bazach czy kosmodromach kompletnie zapominano.

Niedawno na Endorii odkryto podziemną automatyczną fabrykę, która przez te wszystkie lata produkowała magazynki do blasterów desantowych. Umieli kiedyś budować.

Zrobiło mi się nieswojo. Do głowy przychodziły najgłupsze myśli, a kłęby dymu, wybuchy i rozbłyski, które pojawiały się od czasu do czasu, bynajmniej nie działały krzepiąco. To Psyłończycy rozprawiali się z naszą wspólnotą.

Gdy doszliśmy do punktu Delta, od natrętnego abori dzieliło nas pół kilometra. Zamaskowany właz znalazłem szybko – tego się nie zapomina. Oczyściłem z pyłu panel kontrolny na betonowej płycie, przyłożyłem dłoń. Staroświecki mechanizm zastanowił się chwilę i dał zielony sygnał. W czasie wojny niemal zupełnie zrezygnowano z zamków reagujących na konkretną osobę, wystarczało rozpoznanie człowiek – obcy.

Bo przecież można zdradzić kraj, można zdradzić planetą. Ale czy znalazłby się szaleniec zdolny do zdrady całej ludzkiej rasy?

Wąskim betonowym korytarzem zeszliśmy na głębokość dwudziestu metrów. Odkręciłem zabezpieczenie na ciężkim stalowym włazie i go odchyliłem.

– Światło się pali – zauważył zdumiony Artiom.

– Włącza się, gdy ktoś wchodzi do bunkra – wyjaśniłem. – Byłem tu po raz pierwszy, kiedy miałem mniej lat niż ty teraz.

Staliśmy w długim korytarzu pod rozmieszczonymi w sporych odstępach lampami. Po bokach widać było rząd stalowych drzwi.

– Dalej są pomieszczenia techniczne – powiedziałem. – Nie ma sensu się tam pchać. Lepiej chodźmy na posterunek bojowy, tam są fotele, można posiedzieć.

Dzieci dziwnie przycichły. Poszedłem przodem, przyglądając się gryzmołom na ścianach, wykonanych niegdyś kopciem albo flamastrem. Zobaczyłem nawet swój krzywy podpis… Kiedyś uważaliśmy to za wielki szpan – zostawić swój ślad na ścianie martwego bunkra. Głuptasy…

– Stanowisko bojowe. – En pokazała symbol na drzwiach.

– Właśnie. Niezbyt tam przytulnie, ale… – Dotknąłem panelu sensorycznego i drzwi wsunęły się w ścianę.

– Ojej… – szepnął wstrząśnięty Artiom.

Ja też byłem w szoku.

Kiedyś, gdy tu przychodziliśmy, stanowisko było na głucho zablokowane. Mogliśmy siedzieć przy pulpicie i bębnić palcami w klawisze, bez efektu. Towarzyszyło nam przyćmione światło i cichy szum wentylatorów.

Teraz stanowisko żyło.

Przed głównym pulpitem bojowym świecił ogromny, trójwymiarowy ekran. Widać było na nim schematyczny obrazek ogromnego kosmodromu, jakieś budowle, statki… Po mapie pełzły czerwone i zielone punkty. Czerwonych było niewiele, łatwo się domyślić, że to psylońscy komandosi; zielonych znacznie więcej, ale na pewno nie dwa tysiące, najwyżej połowa.

– Proszę się określić – zabrzmiał niegłośny kobiecy głos. Rasa, obywatelstwo, stopień, imię, nazwisko.

Przełknąłem gulę w gardle.

Komputerowe stanowisko bunkra ożyło. Widocznie po rozpoczęciu ataku systemy rozpoczęły reaktywację punktu bojowego.

– Proszę się określić – powtórzył kobiecy głos, nie zmieniając intonacji.

– Człowiek, Imperium ludzi, ochotnik, Aleksiej Kononow wyszeptałem.

– Rozpoznanie zakończone. Zgodnie z zasadami stanu wyjątkowego sterowanie punktu bojowego Delta przechodzi na ochotnika Aleksiej a Kononowa. Proszę zająć miejsce dowódcy.

Obejrzałem się, szukając wsparcia, ale En była wstrząśnięta nie mniej niż ja. Rozglądając się czujnie, trzymała blaster w obu rękach, jakby szykowała się do odparcia ataku. W oczach Artioma pojawiła się dziecinna radość – chłopiec trafił do swoich bohaterskich snów, w

których dostaje się do ręki władzę i broń.

– Przejmuję dowodzenie – powiedziałem, nie poznając własnego głosu. – Proszę zameldować o sytuacji.

Fotel dowódcy był dla mnie za duży, jakbym znowu stał się dzieckiem. No tak, obliczono go na człowieka w pancerzu bojowym.

– Nastąpiła inwazja. Przeciwnik został zidentyfikowany jako psyloński krążownik desantowy „Loredan". Siły inwazji: cztery szalupy desantowe, czterdziestu komandosów, trzy myśliwce typu tramp. Do chwili obecnej siły planetarne zniszczyły jedną szalupę desantową i trzech komandosów. W tej chwili na planecie znajduje się trzydziestu siedmiu Psylończyków. Myśliwce osłaniają „Loredana", który wszedł na trajektorię lądowania. Przewidywany czas lądowania: dwadzieścia cztery minuty.

Komputer bunkra nie umiał się dziwić. On również był cieniem dawnych snów.

– Punkty wspomagające Alfa, Beta i Gamma zostały zniszczone podczas ataku myśliwców. Zwracam uwagę na precyzję ataku, co sugeruje obecność na planecie wrogich agentów. Siły ochotnicze, zdekoncentrowane, przemieszczają się chaotycznie po obszarze kosmodromu. Zwracam uwagę na niekompetentne dowodzenie. Trwa opór naszych wojsk w rejonie sztabu. Szacowany czas zajęcia sztabu dziewięć minut. Czekam na polecenia.

Na pulpicie przede mną widniały dziesiątki przycisków, paneli sensorycznych, wskaźników i małych ekraników. Nie wiedziałem, jak tym wszystkim sterować, ale na szczęście nie musiałem.

– Przedstawić wszystkie możliwości walki z wrogim desantem.

– Atak na krążownik „Loredan" w momencie dotknięcia planety. Prawdopodobieństwo powodzenia pięć procent. Zaatakowanie desantu psylońskiego na terenie kosmodromu. Prawdopodobieństwo powodzenia siedemdziesiąt trzy procent; potem nastąpi zniszczenie bunkra przez siły kosmiczne agresora.

– Przecież mieliśmy się tu tylko ukryć! – krzyknęła za moimi plecami En Eyko. – Aleksiej!

Czytałem dużo książek o wojnie, obejrzałem również sporo filmów, więc powinienem wiedzieć, co robić. Nie wiedziałem tylko, jak dokładnie stacjonarne stanowiska punktów ogniowych odwzorowują mostki statków kosmicznych.

Akurat mam okazję to sprawdzić.

– Niebezpieczeństwo buntu – powiedziałem.

– Wykonane – zameldował komputer, gdy niebieskawa „szklanka" pola siłowego nakryła mój fotel. En Eyko, która już podniosła pistolet, nie odważyła się strzelić.

Spojrzałem na ekran, gdzie czerwone punkty likwidowały zielone. Dziesięciu psylońskich komandosów zaczęło otaczać sztab.

– Atak desantu, wykonać – powiedziałem.

– Wykonuję – potwierdził łagodny głos.

Co się teraz działo nad nami, mogłem sobie tylko wyobrazić.

Laserowe wieżyczki i rury rakiet wysuwają się spod ziemi. Rozwijają się czasze radarów. Rozbłyski energii rozwijają się w ogniste pętle, których mocy wystarczyłoby dla statków bojowych.

Desant, nawet dobrze osłonięty, powinno to załatwić!

– I tak nie zwyciężymy! – krzyknęła En Eyko. – Na pewno!

Myśliwce zniszczą bunkier, „Loredan" wyląduje i umocni się na planecie, a potem wszystko spalą bombami mezonowymi!

Jej głos, zniekształcony polem siłowym, wydawał się jakiś nieludzki.

I w pewnym stopniu tak rzeczywiście było.

– Tam są moi przyjaciele – powiedziałem, wskazując głową ekran, gdzie beznadziejnie bronił się sztab piechoty kosmicznej. Teraz będą mieli szansę.

– Szansę? A my? Czy my mamy szansę? – krzyknęła En Eyko.

Ładna dziewczynka o kędzierzawych włosach, którą tak dobrze nauczyli bronić i osłaniać.

Swoich.

A my jesteśmy dla niej obcy. Bez różnicy, czy to Psylończyk, człowiek z tej planety.

– Mielibyśmy szansę – warknąłem – gdybyś nie przekazała Psylończykom informacji o trzech znanych ci punktach bojowych.

Spojrzałem na Artioma – chciałem sprawdzić, czy o tym wiedział.

Chłopiec przygryzł wargę.

Wiedział.

– Głupcze! – krzyknęła En Eyko. – To była jedyna możliwość!

Pozwoliliby nam opuścić planetę!

Chwyciła Artioma jedną ręką i przycisnęła do siebie jak lalkę.

Pistolet nadal był wycelowany w moją głowę, ale dziewczynka nie próbowała strzelać. Widocznie doskonale umiała ocenić moc pola siłowego.

– Zniszczeniu uległo czterdzieści procent systemów bojowych oznajmił komputer. – Zlikwidowano dziewięciu osobników.

Czekałem. Nie musiałem naciskać przycisków i chwytać wroga w krzyżyk celownika. Czas dziecięcych zabaw przeminą}.

– Zniszczeniu uległo sześćdziesiąt procent systemów bojowych.

Zlikwidowano czternastu wrogich osobników. Przypadkowe straty naszych sił w granicach dopuszczalnych norm.

Zabawy się skończyły. Pozostały normy.

– Zniszczeniu uległo osiemdziesiąt procent systemów bojowych. Zlikwidowano szesnastu wrogich osobników. Obsłudze stanowiska zaleca się opuszczenie bunkra.

– Zdjąć osłonę ze stanowiska dowódcy – poleciłem, wstając.

Na głównym ekranie czerwone punkty pospiesznie przemieszczały się w naszą stronę. I tak nie uciekniemy, ale lepiej zginąć pod niebem niż spłonąć w jeziorze plazmy w betonowej norze.

– Bydlaku! – krzyknęła En Eyko.

– Nie strzelaj, zabraniam! – krzyknął Artiom. – Nie zabijaj go!

Wzruszyłem ramionami. Było mi prawie wszystko jedno. Zrobiłem to, co powinienem zrobić. Dalej i tak jest już tylko śmierć.

– Chciałbym wiedzieć, kim wy właściwie jesteście.

En Eyko płakała, opuszczając pistolet. Z przyjemnością by mnie zastrzeliła, ale zdaje się, że nie mogła złamać bezpośredniego zakazu brata.

Za to ja powinienem zabić ją. Ta dziewczynka popełniła najbardziej niesłychane przestępstwo w dziejach – zdradziła ludzi obcym.

Nawet w latach Wielkiej Wojny coś takiego zdarzało się bardzo rzadko, a jeśli już, to pod wpływem tortur, łamania psychiki, szantażu…

Podczas gdy ona… dobrowolnie!

O co tu chodzi? W jakim celu wykonano tą dziewczynkę-robota, gotową poświęcić ludzkość w imię nawet nie siebie, lecz brata?

Jeśli to rzeczywiście jej brat.

– Wychodzę na powierzchnię – oznajmiłem. – A wy jak sobie chcecie. Nie będę was namawiał.

Ale nie musiałem nikogo namawiać.

Dopiero gdy odchyliłem właz i znalazłem się na zewnątrz, mogłem ocenić efekty swoich działań.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko, inaczej niż na filmie.

Wpadliśmy do bunkra, przejęliśmy dowodzenie, wydałem rozkaz, uaktywniły się systemy bojowe. Trzy minuty walki przesiedziane pod ziemią.

Teraz już wiedziałem, co może zrobić stacjonarny punkt ogniowy kosmodromu, jeśli się go w porę nie zniszczy.

Wszystko wokół nas było czarne, wypalone. Pogorzelisko z wysepkami betonowych płyt. Tam, gdzie wysunęły się wieżyczki obrotowe, połyskiwały jedynie kałuże metalu. Niebo zasłaniały chmury popiołu, ziemię pokrywała czarna warstwa pyłu.

Jakie siły rzucili Psylończycy na tę nieuwzględnioną w planach podziemną twierdzę?

– Popatrz, En Eyko – powiedziałem. – To twoja robota.

– Mam taką pracę. – W jej głosie nie było śladu emocji. – To nie ja ściągnęłam Psylończyków na waszą planetę.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem, jak coś się gramoli w chmurach popiołu.

Nie wiem, jak Psylończykowi udało się wydostać ze zniszczonego pancerza. Nie wiem też, dlaczego przeżył, chociaż pancerz zamienił się w kupę złomu. Ale najwyraźniej zdrowo oberwał. Nie mógł iść, czołgał się.

Wyjąłem blaster i poszedłem na spotkanie wrogiemu komandosowi, wzbijając tumany czarnego pyłu.

Psylończyk podniósł głowę.

Miał szaroniebieskawą skórę, dokładnie taką jak na obrazkach.

Nieproporcjonalne, za krótkie i za cienkie nogi, długie ręce o chwytliwych palcach… Nie wiem, dlaczego nazywają ich jajogłowymi, mnie czaszka Psylończyka przypominała rozszerzającą się ku górze gruszkę. Resztki jasnych włosów sterczały rzadkimi nadpalonymi kępkami, ale innych ran nie było widać.

– Kiepsko, co? – zapytałem.

Duże okrągłe oczy patrzyły na mnie nieruchomo. Bez swojego scyborgizowanego pancerza Psylończyk był bezbronny, nawet bardziej niż ja po wyjściu z bunkra. Zdaje się, że nawet nie miał broni.

– Pokój i miłość.

Abori, ten sam abori, brnąc po kostki w popiele, podszedł do nas.

Oddychał ciężko, mówił z wysiłkiem. No proszę, jednak przeżył!

Patrzyłem na purpurową perłę w jego ręku. Dlaczego z takim uporem mi ją proponuje? Śmieszne.

I jeszcze to jego „pokój i miłość”.

– Gdzie ty tu widzisz pokój i miłość? – spytałem sarkastycznie. Co, stary? Wsadź sobie swój kamyczek w odpowiednie miejsce.

– Miejsce – westchnął Abori.

– A najlepiej uciekaj stąd, jeszcze cię zabiją przypadkiem…

– Przypadkiem.

Znowu spojrzałem w oczy Psylończyka. Komandos czekał, spokojnie i obojętnie. Może był w szoku, a może ta krucha rasa umiała umierać z godnością.

– Przecież już jesteś martwy – powiedziałem. – Wszyscy jesteście martwi. I dlatego przyszliście zabijać. A ja na razie jeszcze żyję.

– Na razie jeszcze? – spytał abori.

Wsunąłem blaster w kaburę i odwróciłem się. I osłupiałem.

Za mną stało półkolem sześciu Psylończyków. Pancerz mienił się ciemnymi tęczowymi błyskami, jak rozpalony metal. Broni w ich rękach nie zauważyłem, zresztą po co im broń? Cała ta metalowa skorupa była bronią. Pewnie gdyby drgnął mi palec na spuście blastera, wyparowałbym w jednej chwili.

En i Artiom Eyko podeszli do Psylończyków. Zdaje się, że jeden z nich rozmawia z dziewczynką.

Cóż, zdrada jednak się opłaciła. Rodzeństwo Eyko odleci z planety, Psylończycy się tu umocnią, a flota imperialna zrzuci na

powierzchnię setki mezonowych bomb.

Zaciekły atak punktu ogniowego Delta nie dał nam nic, prócz krótkiej chwili triumfu.

Jeden z Psylończyków podszedł bliżej i popatrzył na mnie z góry; w pancerzu był wyższy o dwie głowy.

– Kto dowodził walką?

Zawsze mieli świetne systemy translacyjne, komunikacja międzyrasowa nigdy nie sprawiała im problemu. Jedyne, czego nie mogli zrozumieć, to pretensje prymitywnych ras w rodzaju ludzi czy Bullratów.

– Ja dowodziłem.

– Jesteś żołnierzem?

– Ochotnikiem.

Twarz Psylończyka zasłaniał hełm. Zresztą wyraz jego twarzy i tak by mi nic nie powiedział.

– Liczyłeś na zwycięstwo?

– Nie.

– Na zadanie nam ogromnych strat?

– Nie.

– Więc czego chciałeś?

– Pomóc naszym.

Abori podszedł do nas ciężko, wyciągnął rękę z perłą do Psylończyka i zamlaskał:

– Pomóc naszym.

Oślepiający błysk, nawet nie wiadomo co i skąd wystrzeliło, i ciało abori rozleciało się na krwawe strzępy.

– Po co to zrobiłeś? – spytałem.

– Niepełnowartościowy osobnik, niezdolny do walki o przetrwanie, nie powinien przeszkadzać w rozmowie istot rozumnych.

No proszę, uznano mnie za istotę rozumną… na podstawie pokrętnej, obcej logiki.

– Zostaniesz wzięty do niewoli – rzekł Psylończyk. – Już wkrótce planeta będzie nasza. Rozpoczniemy negocjacje z Imperatorem ludzi.

– Nie będzie żadnych negocjacji – zaprotestowałem. – Wojna skończyła się dawno temu. Po prostu was zniszczą.

– Rozpoczniemy negocjacje – powtórzył Psylończyk. – Statek niedługo wyląduje. Ci, którzy nam pomogli, zostaną uwolnieni, ci, którzy stawiali opór, zlikwidowani, ci, którzy stawiali opór godnie, wzięci do niewoli.

Nie sądzę, żeby zauważył, że już nie patrzę na niego, tylko na brzeg lasu w oddali.

– Niepotrzebnie zabijaliście abori – zauważyłem. – Ten tutaj pewnie nie był pierwszy, którego zabiliście?

– Niepełnowartościowy osobnik – uciął Psylończyk.

Wyglądało to tak, jakby poruszał się cały horyzont. Szare, miękkie, amorficzne postacie wychodziły z lasu jedna za drugą. Nie wiedziałem, że umieją się poruszać tak szybko.

– Popełniliście błąd – stwierdziłem. – Znowu popełniliście błąd.

Nie wolno tak po prostu dzielić na swoich i obcych, pełnowartościowych i niepełnowartościowych. To nigdy nie zdaje egzaminu.

– Statek ląduje – oznajmił uroczyście Psylończyk. Wyciągnął rękę i zerwał blaster z mojego pasa. Metaliczne palce zacisnęły się i po chwili komandos odrzucił pognieciony pistolet. – Jesteś jeńcem.

Podszedł do rannego Psylończyka i z łatwością podniósł go zakutymi w pancerz rękami. Nawet wzruszająco to wyglądało.

A z zasnutego popiołem nieba płynął niski huk. Krążownik, ciągle niewidoczny, schodził do lądowania, dając o sobie znać rykiem silników. Dmuchnął wiatr, zwiał popiół w stronę lasu, a wysoko w górze zabłysnął gigantyczny cylinder.

Ale ja patrzyłem na poruszający się horyzont.

Te melancholijne istoty, które niczego od nas nie chciały, jeszcze nigdy nie występowały w takiej masie…

Widocznie bodziec okazał się bardzo poważny.

En i Artiom Eyko stali w otoczeniu Psylończyków, obserwując lądujący krążownik. Pewnie komandosi mieli zamiar wypuścić ich, gdy tylko „Loredan” dotknie powierzchni lądowiska.

Te dziwne dzieci, podobnie jak Psylończycy, nie rozumieli tego, co już zrozumiałem ja. Tu nie wystarczyłoby krótkie wyjaśnienie, trzeba się urodzić i dorosnąć na tej żałosnej planecie, żeby właściwie ocenić to, co się działo.

Psylończycy mają swój kodeks honorowy, abori mają swój.

Najpierw wybuchł krążownik.

Wyglądało to tak, jakby dokładnie w połowie przecięto go laserem – a przecież nie mieliśmy tu laserów o tak gigantycznej mocy…

Rufa od razu spadła na dół, ale dziób jeszcze przez kilka sekund utrzymywał równowagę, jakby przecięty na pół statek był jeszcze w stanie funkcjonować.

Widocznie abori doszli do tego samego wniosku, bo część dziobowa nagle jakby się wywróciła na drugą stronę – poleciały z niej jakieś śmieci, ogniste strugi i sinawe błyskawice ładunków. Chwilę później na niebie rozbłysły trzy jasne gwiazdy – to Psylończycy zostali pozbawienie myśliwców.

Nawet nie chciało mi się cieszyć. Myślałem tylko o tym, że nie warto było z takim poświęceniem bronić planety – należało wszystko rzucić i uciekać do lasu.

Zostawić cienie przeszłości samym sobie.

Niech głupi i niepełnowartościowi aborygeni sami zdecydują, kogo wpuścić do swojego domu.

Ziemia drgnęła raz i drugi, gdy odłamki statku dotknęły kosmodromu. Przez betonowe pole przeszła fala wstrząsu, wywracając ocalałe płyty. Upadłem prosto na ciało nieszczęsnego tubylca. Zdaje się, że strategiczny kosmodrom Imperium ostatecznie utracił wszelkie znaczenie. Teraz nie wyląduje tu nawet jacht.

Pierścień abori, zamknięty wokół kosmodromu, drgnął i skierował się w stronę środka.

Psylończycy zwarli szereg. Przed nimi zapłonęły znajome czerwone obłoczki, zlały się w jedną wstęgę i zaczęły sunąć w stronę zbliżających się abori.

Tubylcy zareagowali natychmiast; widocznie w takiej masie potrafili wyczuwać zagrożenie znacznie szybciej i bardziej skutecznie je usuwać.

W ułamku sekundy pancerne sylwetki Psylończyków rozpaliły się do białości. Gdy roztopione segmenty pancerzy upadły na ziemię, w środku nie było już żadnych ciał.

Czy warto było wyciągać pochopne wnioski na temat niepełnowartościowych osobników? Ktoś poleciał w kosmos i stworzył cywilizację maszyn, a inni po prostu nie czuli takiej potrzeby.

Podszedłem do dzieci.

En Eyko miała w oczach szaleństwo.

– Boję się – wyszeptała. – Boję się…

Nie jak mała wystraszona dziewczynka, lecz przerażona kobieta.

– Radziłbym ci jak najszybciej biec do jachtu – zasugerowałem. – Może ocalał? Dla ciebie wszyscy tu są obcy. A dla abori… cóż, znalazłaś się w jednym szeregu z Psylończykami.

Szara fala miękkich, falujących ciał zbliżała się coraz bardziej.

Zauważyłem, że tubylcy zaczynają dzielić się na oddzielne strumienie – płynęły do resztek krążownika, do bunkra sztabowego, gdzie pewnie jeszcze zostali psylońscy komandosi, i do jakichś innych, tylko abori znanych obiektów.

Jedna grupa skierowała się do nas.

– Artiom, czy wiedziałeś, że En chce się skontaktować z Psylończykami?

Chłopiec drgnął i skinął głową.

– To była twoja decyzja?

– Nie. – Słowa przychodziły mu teraz z łatwością. – Nie moja.

Ale nie zabroniłem jej. Nie chciałem umierać. Teraz też nie chcę.

En pisnęła, cienko, przenikliwie. Wiedziałem, co się stało – poczuła zagrożenie. Abori nie są okrutni, ale dają odczuć, co mają zamiar zrobić.

W jej rękach znowu pojawił się pistolet i dziewczynka otworzyła

ogień. Strzelała szybko i wydawało się, że bez celowania, a jednak abori padali jeden po drugim. Nie próbowałem jej przeszkodzić – po pierwsze, nie zdążyłbym, po drugie, niczego by to nie zmieniło.

Wziąłem tylko Artioma za ramiona i zasłoniłem mu dłonią oczy.

Sam też zamknąłem oczy – widok był zbyt straszny. En strzelała jeszcze przez kilka sekund. Nie wiem, jak to możliwe.

Spodziewałem się, że za chwilę pod moimi rękami zapłonie twarz Artioma. Wtedy musiałbym się odsunąć – nawet jeśli on niczego nie zobaczy, ja poczuję się jak zdrajca.

Ale nic takiego się nie stało.

– Pokój i miłość.

Popatrzyłem na abori. Jego rodacy otaczali nas, a popiół, w który zmieniła się En Eyko, zmieszał się pod ich nogami z resztkami płonącego betonu i prochami Psylończyków.

– Pokój i miłość.

– Oni postąpili niewłaściwie – wymamlał abori. – Wy tak nie róbcie.

Po chwili dołączył do tłumu swoich współbraci.

Zdaje się, że był to pierwszy abori, który zniżył się do normalnego ludzkiego języka.

– Co się ze mną stanie? – zapytał nagle Artiom.

– Abori cię nie ruszyli.

– Powiesz wszystkim? O En i o mnie?

– Tak. Nie mogę milczeć.

– En rozmawiała z Psylończykami, ale oni i tak wiedzieli, gdzie znajdują się punkty bojowe kosmodromu. Niczego to nie zmieniło.

– Być może – przyznałem. – Ale czy to coś zmienia z punktu widzenia Imperium?

– Mam pistolet – rzekł chłopiec. – Pozwolisz mi odejść? Samemu, bez przesłuchania?

Nie odpowiedziałem.

– Mógłbym cię wyłączyć – dorzucił Artiom. – Słowo honoru.

Ale nie chcę tego. Proszę, odwróć się na chwilę.

Abori odchodziły. Patrzyłem na tę burą falę, na swój sposób absolutnie moralną i logiczną.

Dlaczego tak się dzieje, że do nikogo nie czuję złości?

Nawet do Psylończyków.

Nawet do zdrajców.

Nawet do siebie.

Nie jesteśmy Psylończykami ani abori.

Nie mamy aż tak surowych zasad moralnych. Potrafimy zdradzić wszystkich, nawet siebie. Ale prócz tego umiemy zrozumieć.

Wszystkich, nawet najbardziej obcych.

Może właśnie dlatego zwyciężyliśmy w Wielkiej Wojnie.

– Bardzo mi was żal – powiedziałem do Artioma. – Naprawdę.

– Dziękuję. Wierzę ci. Odwróć się i poczekaj chwilę, nie od razu się zdecyduję. Ale ty mi nie pomożesz, prawda?

– W tej sprawie… nie.

Odwróciłem się i popatrzyłem na bunkier sztabu. Pewnie ci, którzy ocaleli, zbiorą się właśnie tam. Chciałem wierzyć, że będzie komu się zebrać.

Czekałem, odwrócony, dość długo. Artiom rzeczywiście zdecydował się nie od razu.

Siedzenie na plecaku od miotacza rakiet Salieri rzeczywiście jest dość wygodne. Z zewnątrz plecak jest oblany amortyzującym plastikiem, a ziemia wokół i tak promieniuje silniej niż dziesięć małych rakiet z ładunkami jądrowymi.

– Zamiast przeszkolenia czeka mnie szpital wojskowy – odezwał się Denis. – Bez dwóch zdań. I pewnie na długo. Ale to i tak drobnostka.

Niebo płonęło tysiącami spadających gwiazd. Patrzyłem w górę, bo bardzo chciałem zobaczyć lądujący statek floty jako pierwszy.

Teraz miałem duże szansę.

– Nonowa naprawdę tak heroicznie walczyła? – zapytał Ogarin.

– Jeszcze jak!

Obóz, w którym nasi ochotnicy czekali na przybycie statków szpitalnych, był tuż obok. Dźwięczny głos Nonowej zagłuszał wszystko.

– W życiu bym nie pomyślał – prychnął Denis. – Nabij mi fajkę.

Wziąłem z jego rąk woreczek i kątem oka zerknąłem na kapitana. Opaska na oczach i fajka upodabniały go do pirata.

– Myślisz, że uda się uratować oczy? – zapytałem.

– Nie sądzę. Raczej dadzą sztuczne. To nic, Aleksiej, zdarza się. Nie każdą sztukę można obejrzeć do końca… Toraki ma się znacznie gorzej.

Skinąłem głową, ale uświadomiłem sobie, że on tego nie zauważy, więc powiedziałem:

– Zgadza się. Ale i tak chciałbym wiedzieć, kim byli En i Artiom.

– Każdy ma swoją sztukę, Aloszka – westchnął Denis. – Czasem uda się obejrzeć kawałek cudzej, ale to zawsze tylko kawałek.

Pamiętasz moją opowieść?

– Pamiętam.

– Wiem jedno: to będzie koniec szkoły Córek Kali. Jeśli oczywiście złożysz zeznania pod przysięgą.

– Złożę.

– Jeszcze jedna sztuka została odegrana. – Denis wziął fajkę z moich rąk. – Takie jest życie… Zrozum, Aloszka, nigdy się nie dowiesz, kim byli En i Artiom, nie dowiesz się, dlaczego Psylończycy

ruszyli do ataku i czy rzeczywiście zdrada dziewczynki nie była potrzebna. Jutro przeniosą mnie do szpitala i nawet sztuki mojego życia nie poznasz do końca. Najpierw będę do ciebie pisał, opowiadał, jak widzę świat nowymi oczami, jak wesoło przebiega służba.

Potem powoli zacznę zapominać waszą małą planetę, ciebie, waszych bohaterów z przypadku; nawet ta walka pójdzie w niepamięć.

Z tobą będzie tak samo. Ale nie żałuj, Aloszka. Nigdy nie żałuj cudzych, nieobejrzanych do końca sztuk. Pisz swoją.

– Nie wiem, czy mi wyjdzie.

– Nikt nie wie. Zazwyczaj wychodzi. Źle czy dobrze… to już inna sprawa.

Tysiące gwiazd spadało z nieba, a ja wiedziałem, że nie zauważę lądujących statków wcześniej niż Ogarin. Nawet teraz, gdy ma opaskę na oczach.

Co do całej reszty… też miał rację. Jak zwykle. Słusznie twierdził, że wszystkich historii nie można poznać, nawet w skrócie. I że ja zapomnę o nim, on zapomni o naszej planecie, a my wszyscy zapomnimy o En Eyko i jej bracie. To nie nasza sztuka.

Ale na razie siedzieliśmy obok siebie, ramię w ramię, pod niebem obcym dla Ogarina i ojczystym dla mnie, i czekaliśmy na statki imperialne.

Wiem, spóźnili się nawet na opuszczenie kurtyny.

ATOMOWY SEN

Będąc zwierzęciem, człowiek jest gorszy od zwierzęcia.
Rabindranath Tagore

Część 1

Smok

1. Smok numer 13

Szedłem jego tropem drugą godzinę. To nie było trudne przedzierający się przez skład porcelany słoń zostawiłby mniej śladów. Obok dużej sosny leżały strzępki papieru i celofanu.

Podniosłem je, obejrzałem: resztki wojskowych racji żywnościowych. Do licha, rzadka rzecz…

Przechodząc przez strumień, który opływa Siedem Wzgórz i wpada do Wielkiej Rzeki, zauważyłem wgłębienia w glinie. Człowiek tu usiadł… nie, przyklęknął i pił, odwrócony plecami do czarnych zarośli.

Albo wariat, albo bohater. Zresztą kto inny mógłby wejść na moją ziemię? Zaniepokoiłem się trochę. Nie było ze mną Księcia i wolałem nie ryzykować, ale minutę później zrozumiałem, że nie ma się czego bać.

Na środku pola dzikiej pszenicy, w kałuży błękitnej krwi leżał wielki, dwumetrowy pająk. Kolejny dowód, że ktoś tędy szedł. Rzeczywiście wariat albo kompletny dyletant. Kto, do ciężkiej cholery, zabija pająki? Jasne, ten wielki czarny stwór aż się prosi o kopniaka czy cios kamieniem, ale żeby strzelać do pająka z automatu? Obcy (tak go nazwałem) wpakował w pająka co najmniej dziesięć pocisków. Pokonałem wstręt i dotknąłem przetchlinek stwora. Ciepłe i jeszcze wilgotne. Pająk zginął jakieś dwadzieścia minut temu.

Zacząłem biec. Automat miękko uderzał mnie w plecy, kłujące ciernie drapały nogi nawet przez gruby materiał dżinsów. Ale zżerała mnie ciekawość. No i w końcu zobaczyłem obcego na brzegu Wielkiej Rzeki.

W lesie spotyka się najróżniejszych ludzi: żołnierzy ze zdziczałych garnizonów, mnichów z sekty Prawdziwie Wierzących albo Zakonu Braci Pana, chłopów, którzy przenoszą się z wioski do wioski, dzieciaki z młodzieżowych band… Ale ten obcy stanowił wyjątek. Po pierwsze, był sam, a mało kto decyduje się na samotną wyprawę po lesie. Po drugie, był świetnie wyposażony. Na szyi miał nowiutkiego lugera, na ramionach wypchany plecak, na sobie burozielony kombinezon desantowy… wszystko razem zbyt ekskluzywne jak na dwudziestoletniego szczeniaka. A po trzecie, przejawiał zaskakującą beztroskę.

Rozejrzałem się, podejrzewając podstęp, ale szczeniak był sam.

Zdaje się, że miał zamiar przepłynąć Wielką Rzekę, bo rozebrał się niespiesznie i zaczął wiązać ubranie w węzeł. Robił to wszystko umiejętnie, ale mój Boże, z jakąż niefrasobliwością!

Gdyby to był inny obcy, obdarty i nieciekawy, wcale bym mu nie przeszkadzał.

Zabawiłbym się i tak, obserwując go z zarośli. Ale razem z tym obcym odchodził jego – czyli już prawie mój – luger! Chwyciłem niezawodny AK i wyszedłem na brzeg.

Odwrócił się i zauważył mnie dopiero po dłuższej chwili. Pochylił się do przodu, ale byłem na to przygotowany. Zaraz chwyci swój automat i wtedy strzelę. Pierwszy.

Obcy nie strzelał. Wypuścił nawet z ręki automat, a jego duże oczy powiększyło jeszcze bardziej zdumienie i… zachwyt. Zachwyt?! Czy on nie wie, kim jestem? Od obcego dzieliło mnie kilka metrów i mogłem mu się spokojnie przyjrzeć. Jasnowłosy, muskularny chłopak, nieźle zbudowany, o sympatycznych, regularnych rysach, chyba nawet przystojny. Nie przypominał dzisiejszej młodzieży… W końcu obcy otworzył usta.

– Dzień dobry!

Osłupiałem. Czy on zupełnie oszalał?

– Co ma być dobre?

Stropił się:

– Dzień… dobry.

Kątem oka obserwowałem jego twarz, a sam niespiesznie rozpiąłem swoją czarną skórzaną kurtkę. Poły się rozchyliły i chłodny wiatr przebiegł mi po piersi. Nie noszę koszuli. W lesie trudno byłoby utrzymać ją w czystości, a ja nie znoszę brudu. Obcy przyjrzał mi się z uwagą. Wiedziałem, co zobaczył. Czarny tatuaż: smok zwinięty w pierścień gryzie własny ogon, a pośrodku pierścienia widnieje cyfra 13.

Myślałem, że padnie na kolana i zacznie szlochać, ale nie. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się i powiedział niepewnie:

– Nazywam się Mike.

Ognisko nie chciało się zapalić. Mike wyjął z plecaka płaską manierkę, chlusnął i niebieski płomień skoczył na dwa metry w górę. Ostrożnie zerknąłem w stronę lasu. Cicho. Nadal cicho. Czyżby rzeczywiście był sam?

Mike podał mi dużą paczkę, sam wziął taką samą.

Wszystko się zgadza, żołnierska racja… Z plecaka wystawały brzegi identycznych paczek i karnawałowo barwne denka konserw.

Skąd wziął te produkty? Niedbałym gestem Mike odpiął od pasa krótki, szeroki nóż, zerwał opakowanie racji. Otworzyłem swoją, zacząłem jeść, nie czując smaku. Mike wcinał z apetytem, co nie

przeszkadzało mu co chwila rozglądać się na boki. Czasem zadzierał głowę, patrzył w niebo i pospiesznie opuszczał wzrok, jakby zobaczył tam coś strasznego. Za każdym razem odruchowo spinałem się do skoku – jego pozycja wydawała się tak dogodna, tak bezbronna… Czemu tak kręci głową? Przecież to zwykły las – żółte, brązowe i purpurowe liście, szerokie, pokryte guzami pnie, kłujące trawy i cierniste krzewy, pętlami oplatające drzewa. I zwykłe niebo szczelna, szara zasłona z jasną plamą słońca w zenicie i ciemnymi smugami deszczowych chmur tuż przy ziemi.

– Chce pan? – Mike podał mi butelkę.

Jedyne, co budziło mój szacunek do tego chłopca, to jego małomówność. Owszem, zachowywał się jak samobójca, zdaje się, że nawet nie wiedział, kim jestem, ale przynajmniej o nic nie pytał.

Wziąłem butelkę, napiłem się. Zwyczajna woda, z lekkim posmakiem środków dezynfekcyjnych. Skąd ten szczeniak wziął te wszystkie rzeczy? A „szczeniak" tymczasem pochylił się nad plecakiem, wystawiając na mnie plecy. Znowu musiałem wziąć się w garść. Nie zachowywałby się tak bezczelnie, gdyby nie miał jakiejś osłony.

Pewnie ktoś trzyma mnie na celowniku, na przykład z tamtych krzaków… Aż pożałowałem, że tak szybko wyszedłem na otwarty teren, teraz musiałem czekać. Znowu sięgnąłem po butelkę i wtedy poczułem w uszach znajomy szum. Oczy wyszły mi z orbit, w ustach pojawił się gorzki smak… Wiem, że to tylko złudzenie, ale i tak tego nie lubię. Mam ochotę splunąć i zasłonić oczy dłonią. Skupiam się.

Książę! Czuję ciepłą falę ekscytacji, jeszcze chwila i na otaczający świat nałoży się inny obraz.

Zobaczyłem siebie z boku. Siebie, Mike'a i płonące ognisko…

Książę patrzył na nas z tych krzaków, w których dopatrywałem się zasadzki. Musiałem ostudzić jego zapał. Gdzieś obok są wrogowie!

Moja świadomość wyczuła stropienie Księcia, a potem w głowie jakby wybuchł pocisk. Nie lubię, gdy Książę zaczyna węszyć, ale teraz musiałem to jakoś ścierpieć. W końcu ból ucichł i znowu wyczułem myśli Księcia. Obcy był ponad wszelką wątpliwość sam.

Dobrze. Podejdź do nas, tylko ostrożnie. Wstałem gwałtownie, to najszybszy sposób zerwania kontaktu telepatycznego.

Mike spojrzał na mnie zaskoczony. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby sięgnąć po broń.

Zresztą i tak bym mu na to nie pozwolił. Przez chwilę poczułem do chłopca coś na kształt współczucia.

– Masz dużo jedzenia?

Mówiłem ostro, nie udając już. Mike pokręcił głową.

– To czemu mnie częstowałeś?

Milczał. W jego oczach pojawił się strach. Uśmiechnąłem się.

– Myślisz, że nie wyrządzę krzywdy człowiekowi, z którym dzieliłem posiłek?

Mike pokręcił głową i ostrożnie sięgnął po automat. Za późno.

Książę już stał za jego plecami.

– Głupcze. Smoki nie uznają ludzkich zwyczajów.

Książę skoczył. Mike szarpnął się i znieruchomiał pod dwustukilogramowym cielskiem.

Znowu usiadłem, podniosłem z ziemi niedokończoną rację.

Na pierwszy rzut oka Książę sprawia niezbyt przyjemne wrażenie.

Jestem z nim od tak dawna, że już przestałem to zauważać. Książę był jeszcze małym, mieszczącym się w dłoniach szczeniaczkiem, gdy zacząłem się nim opiekować. Karmiłem go mlekiem, a gdy zdechły ostatnie krowy, to krwią. A teraz Książę osiągnął wielkość sporego cielaka.

Dwieście kilogramów mięśni, rudej sztywnej sierści i ogromne, mądre oczy. I paszcza, która mogłaby przegryźć człowieka na pół.

Mike poruszył się, ale Książę warknął cicho. Popatrzyłem na sterczące spod psa nogi.

– Chcesz jeść?

Nie, Książę był najedzony. Chyba dorwał w lesie szakala… Do tej pory kiepsko orientuję się w jego warczeniu. No dobrze, ale co zrobimy z tym smarkaczem?

Podniosłem jego plecak, wysypałem zawartość na ziemię. Śpiwór, rakietnica, apteczka… O, wielcy bogowie! Radiostacja!

Skąd on to wziął?

Popatrzyłem na Księcia i skinąłem głową. Książę nie uwierzył, warknął zdumiony.

– Puść, zabić zawsze zdążymy.

Mike wstał, zachwiał się i klapnął na ziemię. Zerknął na Księcia i szybko odwrócił wzrok. Potem popatrzył na mnie i rzekł niespodziewanie twardo:

– Bałem się tylko jednego: że spotkam idiotę. Na szczęście myliłem się.

Gdy nadszedł Ostatni Dzień, Robert Eldhaus, niegdyś przeciętny baseballista, a od pewnego czasu równie przeciętny biznesmen, jechał pociągiem. Prezes firmy Eldhaus System (sprzęt elektroniczny dla sportowców) wolał latać samolotem, ale teraz podróżował z rodziną, a jego żona panicznie bała się latania…

Dwie głowice radzieckiej rakiety balistycznej spadły na miasteczko pięćdziesiąt kilometrów od nich. Gdy fala wybuchu wykoleiła jadący po grzbiecie wzgórza pociąg, Robert wyskoczył przez okno nawet w wieku czterdziestu lat miewał jeszcze sportowe odruchy.

W płonących wagonach coś pękało i wybuchało, przez ryk

płomieni przedzierały się krzyki, niebo zasnuło się szarą zasłoną. Wtedy jeszcze Robert nie wiedział, że już więcej nie zobaczy słońca.

Siedział na zrudziałej od żaru trawie i potrząsał głową, próbując dojść do siebie.

Gdy zwymiotował, od razu poczuł się lepiej. Długo patrzył na wagon, w którym siedział tak niedawno. A potem zerwał się i skoczył w ogień.

Stalowe płyty topiły się, farba płonęła. Płomienie były prawie niewidoczne. Robert zrozumiał, że to wina promieniowania świetlnego wybuchu atomowego. Kopnięciem wybił szybę i zsunął się w dół, na ścianę, która teraz była podłogą. Gdzieś na dole płonął ogień, powietrze pełne było gryzącego dymu, oczy zaczęły szczypać. Najbardziej przeszkadzał półmrok – nieruchome ludzkie sylwetki wydawały się jednakowe. Zsuwając się ze wzgórza, pociąg przeturlał się kilka razy i niemal wszyscy pasażerowie stracili przytomność. Tylko w kącie, trzymając się kurczowo siedzenia, stała jakaś kobieta. Robert chciał ją zaprowadzić do wybitego okna, ale ona jeszcze mocniej wbiła palce w poręcz. Robert zostawił ją i poszedł dalej. Żona i dwójka dzieci siedzieli prawie na środku wagonu, a teraz trudno było znaleźć ten środek. Eldhaus potknął się o coś, omal nie upadł – przed nim siedział śmiertelnie przerażony chłopiec. Robert chwycił go i postawił na nogi.

Nie, to nie był jego syn… Pomógł chłopcu wyjść przez okno i poszedł dalej, teraz nachylając się nad każdym ciałem. Pomógł wydostać się jeszcze komuś i sam nie pamiętał, kiedy w końcu wyszedł.

Stało się to dopiero wtedy, gdy zrozumiał, że wszedł do niewłaściwego wagonu…

Ściemniło się, ale na horyzoncie z dwóch czy trzech stron majaczyło drżące, purpurowe światło. Z pociągu został czarny stalowy szkielet, przypominający kościec gigantycznego węża. Nieliczni ocaleli pasażerowie zdążyli się już rozejść, pojedynczo albo grupkami. Do Roberta podchodziły różne osoby, wołając, żeby szedł z nimi, ale on tylko kręcił głową. Nie miał już dokąd, nie miał z kim iść.

I kiedy ucichły ostatnie głosy, gdy zapadła cisza, wypełniona trzaskiem stygnącego metalu, poczuł ulgę. Skończyło się wszystko.

Po prostu wszystko.

Robert podszedł do buchającej żarem sterty żelastwa, przysunął rękę do metalu… Ale nawet ból, który wybuchł w dłoni, nie przyniósł ulgi, nie dał zapomnienia. Robert zamknął oczy i pochylił się do przodu, żeby upaść na obojętne, rozpalone stalowe płyty. Wtedy usłyszał za plecami szmer.

W ciemności Eldhaus nie mógł dojrzeć twarzy dwóch chłopców, którzy stali za nim.

– Czego chcecie? – wykrztusił z trudem.

Chłopcy cofnęli się.

– Po co za mną chodzicie?

Jeden z chłopców powiedział zdławionym głosem:

– Wyciągnął nas pan z pociągu…

Robert padł na kolana, wcisnął twarz w tłusty, czarny popiół.

Uratował. Tak. Tych uratował. Swoich nie dał rady.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Znaleźliśmy butelkę z wodą.

Robert podniósł głowę i długo patrzył na brudną chłopięcą twarz.

– Pijcie. Jak się nazywasz?

– Rockwell.

Chłopiec wyjął z kieszeni monetę i próbował zerwać nią kapsel.

– Aon?

– Nie wiem. On nic nie mówi…

2. Umowa Gwarantuję!

Mike nie odrywał ode mnie wzroku. Ale mnie nie tak łatwo nabrać.

Gwarantować można wszystko, zwłaszcza w jego sytuacji. Grając na zwłokę, powtórzyłem:

– Skrzynka nabojów? Dwa cekaemy?

– Tak. I żywność. I lekarstwa…

Poczuł się trochę raźniej, widocznie zrozumiał, że propozycja mnie zainteresowała. Cóż, każdego by zainteresowała.

– Trzysta kilometrów…

Naprawdę się wahałem. Pomijając wszystko, było w tym coś poniżającego. Smok wynajęty na ochroniarza! Bo jeśli odrzucić wszystkie słowne kamuflaże, Mike proponował mi, żebym został jego przewodnikiem. Popatrzyłem na Księcia i zapytałem:

– To co, zabawimy się?

Książę źle mnie zrozumiał. Wysunął pazury i wyciągnął łapę w stronę głowy chłopaka.

– Przestań! Nie trzeba go zabijać!

W westchnieniu chłopaka dało się słyszeć zbyt dużą ulgę.

– Na razie nie trzeba!

Wziąłem Mike'a za kołnierz i podniosłem.

– Zapamiętaj sobie jedno, szczeniaku!

Książę warknął z aprobatą.

– Nie zawieram z tobą żadnych układów! Niczego ci nie obiecuję! Po prostu akurat się nudzę.

Pospiesznie skinął głową.

– Pójdziemy razem, ale w każdej chwili mogę się rozmyślić.

Jasne? Jeśli zrobisz się zbyt bezczelny, nie dałbym za twoje życie nawet łuski po naboju!

Mike jakoś oklapł.

– Ja muszę tam dojść. Muszę… – wymamrotał żałośnie.

Puściłem go i zacząłem grzebać w jego rzeczach.

Widocznie Eldhaus nadał dobry kierunek, bo rano wyszli na drogę. Magistrala o znaczeniu państwowym, L 39. Zwykle sunął tędy nieprzerwany strumień samochodów, teraz było cicho.

Siedzieli na poboczu i czekali. Pół godziny później dał się słyszeć równy huk motocykla. Za kierownicą ogromnej, jaskrawoniebieskiej hondy siedział dwudziestoletni chłopak, lustrzana płaszczyzna hełmu zasłaniała pół twarzy.

– Niech się pan zatrzyma!

Eldhaus rozpaczliwie zamachał rękami, motocyklista gwałtownie zwolnił.

– Czy to wojna? Wie pan, co się stało? Gdzie jest prezydent?

Robert biegł obok motoru, wyrzucając z siebie pytania.

Motocyklista milczał, twarz miał absolutnie obojętną. Nagle szarpnął kierownicę, zwracając motocykl na Eldhausa.

Robert poczuł tępe uderzenie, usłyszał cichnący ryk silnika, a potem zapadła cisza.

Rockwell długo go tarmosił. Eldhaus leżał z zamkniętymi oczami i myślał. Nie chciało mu się wstawać, ale zrobił to.

– Zuch – powiedział w stronę, w którą pomknął motocykl.

Rockwell pokręcił głową tak energicznie, że starannie przycięta grzywka spadła mu na oczy.

– On jest zły!

– Zły? A ja?

– Dobry…

– Dziwne słowo. Nigdy takiego nie słyszałem!

Robert roześmiał się i poklepał stropionego chłopca po głowie.

– Pojęcie zła i… i jego odwrotności straciły sens. Od teraz i na wieki wieków! Amen!

Już prawie zapomniałem, że istnieją takie mapy. Cienkie kartki papieru z wyraźnymi, kolorowymi liniami.

Mike wskazał palcem.

– Tutaj!

Popatrzyłem i roześmiałem się.

– W góry? Chcesz dojść do Gór Skalistych? Zwariowałeś, szczeniaku…

– A o co chodzi?

Zatrzęsłem się ze śmiechu.

– Zastanów się chwilę, rusz pustą głową! Trzeba by przejść sto pięćdziesiąt kilometrów lasem!

Zapomnijmy na chwilę o farmerach, o bandach, nawet o klasztorze i garnizonach… To wszystko pokonamy. Potem przeprawimy się przez Prawy Dopływ, kiedyś już się przeprawiłem. Ale później!

Tyle kilometrów przez obcy las!

– No i co?

– Jak to co?

Uśmiechnął się nagle.

– Smoki tak daleko nie latają?

Bezczelny gówniarz. A ja po prostu zastanawiałem się, co z nim zrobię. Przegapiłem moment.

– Puść mnie – powiedział nagle. – Weź wszystko: broń, rzeczy… Tylko wypuść.

– Dlaczego?

– Pójdę w góry sam. Muszę!

Nie kłamał. Jak go wypuszczę, faktycznie ruszy nago przez las ten dziwny obcy, który boi się pająków i nie lęka Smoka…

Mój Boże, co takiego niezwykłego czekało go na końcu tej drogi?!

Znowu wziąłem mapę.

To był dziwny obóz. Zwykle uciekinierzy zbierają się rodzinami, budują domy, schrony. A tu wszystko wyglądało na tymczasowe. Szałasy, namioty… Było to tym dziwniejsze, że szef obozu, milczący czterdziestoletni mężczyzna, nie sprawiał wrażenia człowieka beztroskiego. Z nieprawdopodobną energią i powodzeniem organizował napady na ocalałe fermy – przede wszystkim interesowała go broń i żywność. Wokół szefa skupiała się niewielka grupka, kilku mężczyzn, którzy zostali wtajemniczeni w jego plany i ufali mu bezgranicznie.

Obóz był dziwny również z innego względu. Chętnie przyjmowano tu sieroty, dzieci wyganiane z innych, normalnych osiedli.

Komu one były potrzebne? Tylko zbędne gęby do wyżywienia, a do pracy jeszcze za słabe… A przecież z każdym dniem coraz trudniej było przeżyć. Szare chmury, które zasnuły niebo Ostatniego Dnia, nie rozwiewały się nawet na chwilę. Pod koniec lipca nadeszły pierwsze mrozy. Drzewa nie zrzuciły liści i teraz stały pokryte śniegiem.

Liście zrudziały, kora pokryła się wypryskami, ale drzewa żyły.

Na przekór wszystkiemu.

Zabrałem Mike'owi lugera, nowy pistolet, nóż, granaty i naboje.

Piękny arsenał… Ostatni raz widziałem granat rok temu. Plecak z rzeczami wręczyłem chłopcu – niech dźwiga. Szczerze mówiąc, nie miałem na razie żadnego planu działania, ale nie było potrzeby zabijania Mike'a.

Szedłem za jeńcem, przodem zaś, torując drogę, biegł Książę.

Chwytliwe łodygi powojów, ciągnące się między drzewami i splecione z szarymi pętlami pajęczyn, pękały pod jego ciężarem.

A pająki, siedzące na dolnych gałęziach drzew, syczały urażone i zwijały się w kosmate kule.

Miałem wielką ochotą przyłożyć im kolbą, ale hamowałem się w końcu sam wybrałem tę drogę przez wzgórze, najbardziej zapajęczone miejsce w lesie. Chłopak kulił się zabawnie, przechodząc pod pająkami… Skąd on przyszedł, czyżby nigdy nie widział pająków?

Może z bagien? Raczej nie. Bagna to domena łysogłowych, z bandy Kulawego Jacka. Z garnizonu? W pobliżu Sun City jeszcze jest jeden, ale to daleko, szczeniak by nie doszedł.

– Skąd idziesz?

Mike drgnął.

– Nie mogę tego powiedzieć – odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

Uśmiechnąłem się. Nie, to nie. Jak zechcę, to wszystko wyśpiewasz. Skąd wziąłeś broń i po co idziesz w góry. Ale na razie się nie spieszyłem. I tak zresztą się domyśliłem, skąd on jest. Tylko w klasztorze, za grubymi murami, można wyrosnąć na takiego silnego, bystrego i… mazgajowatego. Tylko mnisi zachowują się mniej lub bardziej niezależnie wobec smoków. Ciekawe tylko, kim on jest:

Prawdziwie Wierzącym czy Bratem Pana? Mike przerwał moje rozmyślania.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego nazywa pan siebie Smokiem?

Tego już za wiele! Żeby zadawać takie pytania z taką niewinną miną?!

Zdaje się, że Prawdziwie Wierzący nie mogliby się tak twardo trzymać. Do prowadzenia takiej gry zdolni są jedynie Bracia. Tym bardziej że Mike nie nosi krzyża, a Prawdziwie Wierzący nie zdejmują go nawet pod groźbą śmierci.

Pomyślałem zarozumiale, że rozgryzłem szczeniaka.

– Nazywam siebie Smokiem, ponieważ nie jestem człowiekiem – powiedziałem.

3. Smocze łowy

Stali w długim, nierównym szeregu: kilkunastu dorosłych mężczyzn i ze czterdziestu chłopców ubranych w pstrokate, niedopasowane rzeczy. Szef obozu patrzył na nich w milczeniu.

Ściemniło się, mżył drobny deszczyk i płomień pochodni co chwila opadał, jakby miał zgasnąć. Rockwell wziął Niemego za rękę.

– Czemu Eldhaus zwleka? – szepnął.

Niemy skinął głową.

Jakby słysząc słowa Rockwella, Robert otworzył usta.

– Żyjemy tutaj od czterdziestu siedmiu dni.

Obrzucił swoich ludzi długim, ciężkim spojrzeniem, jakby oczekując protestów. Ale wszyscy milczeli.

– I przez te wszystkie dni myślałem o człowieczeństwie.

Eldhaus mówił półgłosem, więc ostrożnie podeszli bliżej.

– Zastanawiałem się, co ludzie muszą zrobić, by przeżyć, i zrozumiałem jedno: ród ludzki jest skazany.

W słowach Eldhausa była pewność, straszliwa w swojej niewzruszoności. Robert zauważył, jak drgnęły twarze słuchaczy, i uśmiechnął się zadowolony.

– Czy my jesteśmy skazani? Owszem, jeśli pozostaniemy ludźmi. Nie, jeśli przestaniemy nimi być. Jak, zapytacie? Nie mamy władzy nad naszymi ciałami, na zawsze są skazane na ludzkie słabości.

Ale mamy władzę nad swoją duszą! Myślicie, że najstraszniejszą rzeczą w naszym nowym świecie jest promieniowanie albo chłód?

Nie! To, co najstraszniejsze, tkwi w nas! Najstraszniejsza rzecz, która czyni człowieka człowiekiem, to dobro!

Wziął głęboki oddech i zaczął mówić szybciej, podnosząc głos:

– Usłyszeliście to słowo po raz ostatni. Nie ma go już, nie istnieje! Wyrzucimy go ze swojej pamięci! Przestaniemy być ludźmi… i przeżyjemy.

– Kim w takim razie będziemy?

Pytanie zadał jasnowłosy chłopak, stojący obok Rockwella. Eldhaus skinął głową:

– Dobre pytanie! Możemy nazwać się jak chcemy. Na przykład smokami.

– Nie chcę być smokiem! – Głos jasnowłosego załamał się, a Rockwell nagle doskoczył do niego i uderzył z rozmachu w twarz.

Robert jakby nie zauważył tego, co się stało, tylko na jego wargach pojawił się uśmieszek. Odetchnął głęboko i po chwili zakomenderował:

– Padnij!

Odruchowo upadli w błoto, posłuszni mocy jego głosu. A Eldhaus mówił dalej:

– Przeprowadzę was przez błoto i krew. Leżcie i myślcie o tym, że od tego dnia przestajecie być ludźmi. Zaczyna się nowa era.

Era Smoków!

Zjedliśmy kolację. Obliczyłem, że zapasów Mike'a powinno wystarczyć na tydzień. Chłopiec podniósł na mnie wzrok.

– Zanocujemy tutaj?

– Zmęczony?

– Mogę iść dalej. Powinniśmy się pospieszyć.

Dzielny smarkacz… Wszyscy Bracia Pana są tacy, twardzi i mocni, a jeśli już Zakon postawi przed nimi jakieś zadanie… Jedno

mnie tylko dziwiło: dlaczego Bracia poprosili mnie o pomoc?

Czyżby rozumieli, że w lesie jest tylko jedna siła – Smoki?… Dobrze by było.

Wstałem, odszedłem od ogniska, rozpiąłem dżinsy, wysikałem się. Może faktycznie tu zanocować? Drzewa nie były zupełnie rdzawe, raczej zielonobure. Lubię takie miejsca w lesie. I mech rósł bardzo gęsty, można nazbierać na posłanie… Wyciągnąłem się, popatrzyłem w górę, na równą, szarą zasłonę. Na zachodzie, w miejscu, w którym słońce schodziło za horyzont, było trochę jaśniej. W ostatnich latach chmury jakby rzedły, w dzień widać było na niebie jasną plamę słońca. A dwadzieścia lat temu z trudem udawało się odróżnić noc od dnia. Ołowianoszare chmury i śnieg, ciągle śnieg, a powietrze ostre i suche. Wysunięcie nosa z omotanego wokół twarzy szalika oznaczało samobójstwo. Boże, jak wtedy było zimno!…

– Biegiem!

Eldhaus niepotrzebnie wrzeszczał, w takim śniegu nie sposób biec. Brudnoszare zaspy sięgały niemal do pasa, pod nogami również leżał śnieg, tylko ubity. Rockwell szepnął do Niemego:

– Pod nami jest z pięć metrów śniegu! Jeśli się zapadniemy…

– Biegiem!

Sam Eldhaus jechał na nartach, pięciu mężczyzn z automatami również. W półmroku, który teraz oznaczał dzień, nie od razu dostrzegli, że dotarli do celu. Ale Eldhaus podniósł ręką i zatrzymywali się jeden po drugim. Chrzęst śniegu umilkł, słychać było jedynie głośny oddech pięćdziesięciu zgrzanych chłopców. Eldhaus wskazał przed siebie:

– Tam…

Zza drzew przebijały się światła. Robert powiedział zmienionym głosem:

– Jeremy, rozdaj noże.

Stojący obok niego mężczyzna zrzucił z ramion plecak. Brzęknęła zmarznięta stal. Eldhaus przeżegnał się szybko, ukradkiem.

Położyłem się spać, przytulony do grzbietu Księcia. Tak było wygodniej. A „szczeniak” leżał pod łapami psa. Nawet jak zasnę, nie ucieknie… Całkiem sympatyczny chłopak z tego Mike’a, silny, skupiony… Jakby go tak wyszkolić, nauczyć życia w lesie i wybić z głowy wszystkie mnisie głupoty… Do licha, wyszedłby z niego niezły Smok!

Kiedyś wychowałem dwóch Smoków. Jednego zabiły Leśne Wilki – była taka niewielka banda. Odszukałem potem ich legowiska i wszystkich wyrżnąłem. Drugi Smok (wybrał sobie dziwaczną ksywkę Agasfer) żyje do tej pory. Podobno powędrował gdzieś na północ.

Niezły pomysł… Zaszkodzić Braciom Pana i zabić ich wysłańca to jedno. Wykorzystać ich magazyny, uzupełniając nasze zapasy, to

drugie. Ale zwerbować Brata Pana! Zasypiałem powoli i gdy usłyszałem głuchy dźwięk, nie od razu zrozumiałem, że to Księciu burczy w brzuchu.

Na skraju wioski czuwało dwóch wartowników. Prawdopodobnie mieli dyżurować w różnych miejscach, ale stanęli razem, żeby uciąć sobie pogawędkę – ostatnią w ich życiu.

Z ciemności, z pobliskiego lasu, pomknęły w ich kierunku dwa szybkie cienie – nie kryjąc się, otwarcie i nieuchronnie. Gdy człowiek dla ochrony przed mrozem ma na sobie kilka warstw ciepłych ubrań, zerwanie karabinu z ramienia nie jest takie proste.

Niemy skoczył na swojego wartownika, gdy ten odbezpieczał M-16. Ostrze noża przejechało po twarzy, wartownik krzyknął, wypuścił broń i upadł na śnieg. Drugi cios był już bardziej precyzyjny.

Niemy wyjął z rozchylonych palców strażnika karabin i odwrócił się.

Jego towarzysz miał mniej szczęścia. Drugi wartownik nie tracił czasu na zdejmowanie karabinu, tylko powitał napastnika ciosem pięści. Z rozbitym do krwi nosem chłopak odleciał na kilka kroków, a wartownik już podnosił automat…

Z ciemności wysunął się Jeremy i nie celując, strzelił z pistoletu. W ciszy nocy nie pomógł nawet tłumik, dały się słyszeć dwa głośne trzaski. Jeremy skrzywił się i machnął ręką. Obok nich przemknęły cienie. To Smoki pobiegły w stronę domów.

Podchodząc do wartownika, zaufany Eldhausa strzelił jeszcze raz, a potem odwrócił się do pechowego Smoka i wpakował w niego resztę nabojów z magazynka. Spojrzał na Niemego i zniżył się do wyjaśnień:

– Rozkaz Eldhausa. Tacy nam niepotrzebni, prawda, Niemy?

Niemy popatrzył na leżącego chłopca, który wyglądał, jakby spał. I nagle głucho, urywanie powiedział:

– Ja… ja nie jestem niemy… ja jestem Smo… – Spazm ścisnął mu gardło i chłopiec nie dokończył. Przycisnął dłonie do szyi i wyszeptał: – Jestem Smokiem…

Jeremy jakby wcale się nie zdziwił. Pokręcił tylko głową.

– Brawo, Smo… – powiedział, przedrzeźniając eks-Niemego. Idziemy!

Wbiegli do pobliskiego domu. Drzwi były otwarte, w pierwszym pokoju natknęli się na Rockwella i Jasnowłosego. Ci w milczeniu patrzyli na łóżko, na którym, owinięta kołdrą, kuliła się pod ich wzrokiem młoda kobieta. Światło stojącej na stole potężnej lampy akumulatorowej odbijało się w jej ogromnych, przerażonych oczach.

Jeremy wziął Rockwella za ramiona, obrócił go i powiedział:

– Marsz!

W ślad za nim do drugiego pokoju wpadł Jasnowłosy; potem Niemy wyszedł sam. Jeremy chciał go popchnąć, ale pochwycił

spokojne, zimne spojrzenie i cofnął rękę.

Drzwi nie zamknął…

W drugim pokoju stały dwa łóżka, jedno zaścielone, na drugim leżała skłębiona pościel. Pod ścianą, zasłaniając się zerwaną z okna zasłonką, stała dziewczyna, trochę starsza od nich, może piętnastoletnia.

W pokoju panowała cisza, tylko za drzwiami słychać było szamotaninę.

Smoki napadły na wioskę znienacka.

Jasnowłosy popatrzył na dziewczynę i na Rockwella, a potem poprosił:

– Nie trzeba…

Nie odrywając od nich wzroku, dziewczyna przestąpiła z jednej bosej nogi na drugą. Spod zasłonki wystawała różowa piżama z koronkowym obszyciem pod kolanami.

– Dlaczego? Mam już czternaście lat i czuję, że mam w sobie siłę na ten wyczyn! – Rockwell zachichotał i dodał: – Sądzę, że tobie też się uda. Niemy również nie zawiedzie. Prawda?

Niemy spokojnie wyciągnął dziewczynę zza zasłony.

– Niemy, opamiętaj się! Przecież ona nie ma z tym nic wspólnego! – Jasnowłosy podbiegł do Niemego, a ten odwrócił się i cicho, akcentując każde słowo, powiedział:

– Ona jest człowiekiem. My jesteśmy Smokami.

Rockwell i Jasnowłosy popatrzyli na siebie w osłupieniu.

Wysłałem Księcia na zwiady, a sam położyłem się na trawie, rozkoszując się poranną ciszą. Szczeniak Mike jeszcze spał. Zresztą sam i tak by daleko nie zaszedł.

Wiszący na gałęzi pająk obudził się, wytrzeszczył oczy, łypnął nimi raz i drugi, potem wyciągnął długie kosmate nogi i ukrył się w listowiu. Pająki są bardzo mądre. Pojawiły się z dziesięć lat temu, wcześniej o tym paskudztwie nikt nawet nie słyszał. O, wtedy było ich zatrzęsienie! Rude, szare, czarne, nawet białe – albinosy, duże i małe, gładkie, jakby pokryte lakiem, albo porośnięte krótką szczeciną, przypominającą sierść. W lasach wybuchła panika. Krążyły plotki, że pająki są jadowite i piją ludzką krew. Mówiono nawet, że potrafią hipnotyzować wzrokiem. Jako jeden z pierwszych zorientowałem się, jak jest naprawdę. Schwytałem w lesie mnicha z Zakonu Braci Pana i wsadziłem go do dołu, po którym od tygodnia łaził pająk, ściany aż pobielały od pajęczyny. Mnich też zrobił się biały, posiwiał w ciągu jednej nocy. Ale przekonałem się, że pająki boją się ludzi jak ognia.

W mojej głowie jakby wybuchła bomba wodorowa – to łączył się ze mną Książę. Gdy jest podniecony, kiepsko orientuje się w sile przekazu.

Odebrałem jego obrazy słowami – Książę mówił powoli – i

zerwałem się.

Chciałem kopnąć Mike'a, ale zmieniłem zdanie i potrząsnąłem go za ramię.

– Hej, smarkaczu! Mike! Wstawaj!

Od razu otworzył oczy, jakby wcale nie spał. Naprawdę może okazać się całkiem sensowny!

4. Związani krwią

Zostali w tamtym rozgrabionym obozie. Tam stały prawdziwe domy, a mrozy nasilały się coraz bardziej. I chociaż Smoki miały tylko dwóch rannych (o chłopcu zabitym przez Jeremy'ego starano się nie wspominać), nie było sensu błąkać się po lasach.

Rockwell, Jasnowłosy i Smo (bo tak brzmiała teraz jego ksywka) zamieszkali w jednym pokoju. Nie wiadomo, co łączyło tę trójkę.

Rockwell i Smo przyjaźnili się od czasów Ostatniego Dnia, ale Jasnowłosy sprawiał wrażenie, jakby nienawidził swoich współlokatorów. Ale to właśnie on poprosił, żeby zamieszkali razem.

Rockwell siedział w fotelu i leniwie, nie zwracając się do nikogo w szczególności, mówił:

– Kiedyś był tutaj kemping… potem osiedlili się tamci… a teraz my, Smoki. A po nas…

– Po nas nie będzie nikogo. Odchodząc, spalimy obóz – powiedział twardo Smo.

Było ich sześciu, pewnie z jakiejś wioski. Sześciu i dwie śrutówki. Drobiazg. Dałem znak Mike'owi, żeby został na miejscu, i wyszedłem zza drzew.

Na mój widok zamarli. Brodaty drab, porośnięty włosami jak pająk szczeciną, który mieszał w kociołku jakąś strawę, zastygł z łyżką w wyciągniętej ręce. Szedłem powoli – Smoki nie muszą się spieszyć. Skupili się po drugiej stronie ogniska, pochylając głowy coraz niżej, w miarę jak podchodziłem. Nie zatrzymując się, przeszedłem przez ogień – coś takiego robi na widzach spore wrażenie, chociaż przez grube buty i wpuszczone w nie dżinsy nawet nie zdążyłem poczuć ciepła.

– Pomyślnych łowów, Wielki Smoku!

Wygłosili powitanie drżącymi głosami. Tylko jednemu głos nie zadrżał. Pochwyciłem jego wzrok pełen nienawiści. Dobrze, zapamiętamy go sobie…

– Kim jesteście?

Trąciłem nogą jednego z nich, natychmiast zerwał się i zameldował:

– Wielki Smoku, jesteśmy biednymi wędrowcami, idziemy do klasztoru Prawdziwie Wierzących na Szarych Wzgórzach, my…

– Mnisi?

– Nie, Wielki Smoku! Jesteśmy chorzy, pragniemy uzdrowienia…

Zatrząsł mną wewnętrzny śmiech. Ci, którzy wpadali Smokowi w łapy, zawsze mówili, że są chorzy.

– Broń!

Niespiesznie zgiąłem lufy o kolano.

– A teraz wynocha!

Wymienili spojrzenia, nie wierząc własnemu szczęściu. Ten, który patrzył na mnie z nienawiścią, znowu podniósł wzrok.

– A rzeczy?

Bezczelny. Leniwie uderzyłem go w twarz i poleciłem:

– Zabierać!

Po chwili zniknęli z polany. Zostało tylko płonące ognisko.

Zawołałem półgłosem:

– Książę! Mike!

Wyszli z zarośli, podeszli do ognia. Skinąłem na Księcia i powiedziałem:

– Ten bezczelny, który dostał w gębę. Rozumiesz?

Książę potrząsnął łbem i miękkimi, niesłyszalnymi skokami skrył się w lesie.

Mike nie zwrócił na to uwagi, zaabsorbowany czymś innym – Smo… To przecież niemożliwe… Było ich sześciu! Potężni, silni, z karabinami… Dlaczego pana posłuchali?

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem Smokiem. Boją się.

– Rozumiem, że Smokiem… to znaczy kimś bardzo silnym, śmiałym…

I bezlitosnym.

– Ale ich było sześciu!

Przez wilgotne żółte drzewa dobiegł cichnący krzyk.

– Było. Teraz jest pięciu.

Mike spochmurniał.

– Ale…

– Książę. Przecież musi coś jeść.

Nadal nie rozumiał.

– On jada ludzi? I pan mu na to pozwala? To zwierzę jest ludojadem?

– Książę nie jest zwierzęciem – odparłem spokojnie. – To również Smok.

Twarz Mike'a stała się śnieżnobiała.

– A pan?

Padał deszcz. Pierwszy deszcz po trzech latach zimy. Rockwell pomyślał, że niemal taki sam był ten dzień, gdy Eldhaus ogłosił im swój cel.

Smoki. Era Smoków… Rockwell uśmiechnął się. Robert lubi

napuszone słowa. Ale w końcu zawdzięczają mu życie.

Przez niskie, ciężkie chmury przebiegła błyskawica. Niechętnie przetoczył się grom.

Czterdzieści siedem Smoków siedziało wokół ogniska – ogromnego, po prostu gigantycznego ogniska, pożerającego dziesięć domów osiedla. Zniszczyli wszystko w ciągu godziny. Chrzęściły pękające ściany z dykty, izolator termiczny sypał się jak białe konfetti, brzęczały szyby, drzwi ze zgrzytem wypadały z zawiasów… Ściągnęli wszystko na środek wioski i Jeremy przesunął po całym tym chłamie płomieniem z miotacza ognia.

Eldhaus podszedł do ogniska i uśmiechnął się krótko.

– Jak tam nastroje, Smoki?

Nikt mu nie odpowiedział. Eldhaus wyglądał dziś jeszcze dziwniej niż zwykle.

Z jakiegoś powodu nie włożył swojego szerokiego pasa, na którym zawsze wisiała kabura z magnum, nie miał kurtki ani swetra, jedynie jasną koszulę, która przylgnęła do ciała, podkreślając silną, muskularną sylwetkę. Robert gestykulował gwałtownie, jakby gdzieś się spieszył… albo był nakręcony adrenaliną.

– Myślicie, że przenosimy się do innego obozu? Że znowu wyrżniemy kilkunastu ludzi i będziemy grzać tyłki w ich domach?

Rockwell poczuł rozdrażnienie; Eldhaus nie musiał mówić takim tonem. Nie miał przed sobą zalęknionych chłopców, jak trzy lata temu. Teraz siedziały przed nim Smoki – to prawda, że stworzone przez niego, ale jednak Smoki. Płomień, który rozpalasz sam, parzy równie boleśnie jak cudzy ogień.

– Nie będzie żadnych obozów – powiedział wyraźnie Eldhaus. Jesteście Smokami i wasza siła tkwi w samotności. Nie sądzę, byście jeszcze kiedyś zebrali się wszyscy razem, tak jak teraz. Każdy z was zdoła sam przeżyć w lesie i zwyciężyć w walce każdego wroga. I nawet jeśli któryś z was będzie musiał wezwać na pomoc inne Smoki, musicie pozostać samotnikami.

Robert podniósł do oczu rękę z zegarkiem, skinął głową, jakby coś liczył i kontynuował:

– W lesie znajdą się ludzie, którzy strzelają lepiej od was. Znajdą się tacy, którzy będą silniejsi i ostrożniejsi, będą mieli lepszą broń i bezpieczniejsze kryjówki. Ale nie powinno być ludzi bardziej nieludzkich od was.

I nie będzie, pomyślał Rockwell. Po tym pierwszym obozie napadli na wiele wsi. W zeszłym roku w poszukiwaniu nowych ofiar musieli dokonywać ponadstukilometrowych wypadów – nikt nie odważył się osiedlić w pobliżu legowiska Smoków.

– Dziwiliście się, że z każdej wsi kazałem puścić wolno jednego człowieka, który widział, co siedziało. Złościliście się, gdy kazałem

zabijać tylko nożami. Ale ja wiedziałem, co robię. Tworzyłem wam opinię; sławę potworów, najdzikszych bestii lasu. Lepiej niż jakakolwiek kryjówka ochroni was powszechny strach. Szybciej niż kule zabije samo wasze przybliżenie się. Będą się was bać, będą was słuchać, jeśli każdy Smok pozostanie nieludzko okrutny.

Coś ty wymyślił? Jesteśmy, jacy jesteśmy, inni już nie będziemy… – pomyślał Rockwell. Przesunął wzrokiem po Smokach, szukając Smo. Na twarzach malowało się lekkie rozdrażnienie. A Smo patrzył na Eldhausa dziwnym wzrokiem.

– Nie będę wymyślał wam praw… to wasza sprawa. Sami wychowacie swoich następców. A ja… ja nie nadaję się na Smoka.

Zbyt wiele we mnie z człowieka. Robiłem to, co było trzeba, i gardziłem sobą za to. Kochałem was i nienawidziłem.

Rockwell drgnął. Zrozumiał, co się zaraz stanie.

– Teraz nadszedł wasz czas, czas Smoków. I niech nic nie wiąże z przeszłością nowych władców świata. Bądźcie bezlitośni!

Głos Eldhaus przeszedł w krzyk, jego postać na tle ogniska podrygiwała jak marionetka.

– Utrwalcie swój pierwszy dzień ludzką krwią, Smoki! Przemieńcie się w zwierzęta, stańcie się nimi do końca! No! Dalej, Smoki!

W nieruchomym szeregu ktoś krzyknął i zerwał się, podnosząc z kolan automat. Szczęk zamków falą przebiegł po Smokach i utonął w terkocie strzałów. Z ogniska sypały się snopy fajerwerków, kule dziurawiły ludzkie ciało i drobiły płonące drewno.

Pierwszy do Eldhausa podszedł Smo – i drgnął. Robert jeszcze żył, trafiło go zaledwie kilka kul. Wokół miotały się Smoki. Jasnowłosy wrzeszczał: „Jeremy! Wyłaź, paskudo!" A Robert obserwował Smo. Jego wargi poruszyły się i Smo usłyszał:

– Jak ja siewami zmęczyłem, Smoczęta…

Smo padł na kolana i przypadł ustami do poszarpanej, spływającej krwią rany na piersi Eldhausa.

5. W imieniu Zakonu idę?

Mike szedł z tyłu i nie przestawał marudzić.

– Jest pan zwierzęciem! Potworem! Dlaczego ja z panem – Jestem Smokiem. A idziesz dlatego, że dałem ci kopniaka.

Powoli psuł mi się humor. Zapadał zmierzch. Przeszliśmy lasem spory kawał, nie spotykając nikogo po drodze, dzień był przyjemny i ciepły, a ten szczeniak ciągle marudził. Ile można! Podbiegł Książę, trącił mnie nosem. Odebrałem jego myśl: Mam go dosyć.

No właśnie. Zatrzymałem się, zaczekałem na Mike'a. Rozchełstana bluza, plecak zsuwa się z ramion. Patrzył na ziemię pod nogami i omal

na mnie nie wpadł. Ująłem go pod łokcie, uniosłem do góry i powiedziałem:

– Mam cię dosyć. Albo idziemy dalej i nie mówisz więcej ani słowa na ten temat… wiesz. Albo oddam cię Księciu.

Puściłem Mike'a. Utrzymał równowagę, tylko trochę się zachwiał. Patrzył na mnie długo, w końcu rzekł:

– Idziemy dalej, Smo?

– Otóż to.

W jego oczach coś zabłysło.

– Ja po prostu muszę dojść.

Niespodziewanie mu uwierzyłem. Uwierzyłem, że nie przestraszył się mojej groźby, bardzo zresztą poważnej, tylko tego, że nie dojdzie do celu. Klasztorny fanatyk…

Wkrótce dotarliśmy do strumyka i dalej szliśmy jego brzegiem.

Książę nie lubił iść wodą, warknął i znikł w zaroślach.

– Wiesz, Smo, dlaczego mnie nie zabiłeś? – zapytał nagle Mike.

Uśmiechnąłem się.

– Oczywiście, że wiem. Mam mało nabojów, a ty obiecałeś je zdobyć. Poza tym… – popatrzyłem pobłażliwie na Mike'a -…podoba mi się, że nie tchórzysz. Będzie z ciebie pożytek.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Po prostu nie wiedziałem, kim jesteś. Gdybym wiedział, przestraszyłbym się. Wcale nie jestem odważny, Smo, i tobie też chodzi o coś innego. Nie możesz zrozumieć. Nie wiesz, kim jestem, skąd i po co idę przez las, i dlatego mnie oszczędziłeś. Zaciekawiło cię to. Chcesz zrozumieć, kim jestem.

Wyjąłem nóż i obróciłem go przed nosem Mike'a.

– Mogę ci obciąć uszy, chcesz? Oraz inne części ciała, po kawałku. Dopóki wszystkiego nie powiesz.

Mike pobladł, ale odpowiedział twardo:

– Sam wiesz, że to nie będzie to samo.

Miał rację. Wiem. Schowałem nóż i wymamrotałem:

– Wcale nie muszę się czegoś o tobie dowiadywać… Jesteś zwykłym mnichem, nowicjuszem.

Mike nie odpowiedział. Przeszliśmy jeszcze kilometr i usiedliśmy, żeby odpocząć. Zgarnąłem stertę liści i usadowiłem się wygodniej, chłopiec poszedł za moim przykładem. Dawniej liście spadały tylko jesienią, a teraz spadają i wyrastają nowe przez okrągły rok.

Trudno zrozumieć, dlaczego spadają, skoro są tak samo twarde i czerwonobrunatne, jak te, które zostają na gałęziach.

– Smo, zawsze byłeś sam? – zapytał półgłosem Mike.

Już miałem się zdrzemnąć, ale sen pierzchnął.

– Nie. Nie zawsze.

Smo znalazł tę dziewczynę, gdy pościg już ją doganiał. Opatrzył

jej postrzeloną rękę, posadził przy drzewie, rzucił krótko:

„Siedź tu”, i wyszedł na ścieżkę, na spotkanie zachłystującemu się szczekaniem stadu psów.

Psy wyrwały się za bardzo do przodu i Smo ściął wszystkie trzy długą serią z automatu. Teraz czekał na ich panów, nawet się nie kryjąc.

Dwóch chłopców biegło zboczem, przeskakując przez przyniesione wiosenną powodzią pnie drzew i wymachując rękami. Nie umieli dobrze biegać, za bardzo wywijali ramionami, zbyt szeroko stawiali nogi. Smo patrzył na nich z pogardą. Gdy biegnie Smok, to tak, jakby między drzewami bezszelestnie przesuwał się czarny cień.

Jeden z prześladowców zobaczył Smo i podniósł automat. Drugi pchnięciem wybił mu broń z ręki.

– Coś ty! Przecież to Smok! – syknął.

Wychowankowie Eldhausa rozeszli się po lasach dopiero trzy lata temu, ale dziś trudno było znaleźć człowieka, który by nie wiedział, kim są Smoki.

Smo patrzył na chłopców z zainteresowaniem. Mieli gładko ogolone głowy i szerokie czarne koszule noszone na spodnie.

– Prawdziwie Wierzący? – zapytał Smok. O Prawdziwie Wierzących jedynie słyszał, nigdy ich wcześniej nie spotkał.

Milczeli, zresztą Smo nie liczył na odpowiedź.

– Wynocha. Dziewczyna jest moja.

Jeden od razu zaczął się wycofywać, ale ten, który chciał strzelać, krzyknął:

– Nie spodoba się to naszym! Uważaj, Smoku!

Automat w ręku Smo drgnął i mężczyźni przyspieszyli kroku.

Smo odprowadził ich drwiącym spojrzeniem i wrócił do dziewczyny. Bez słowa usiadł obok niej.

O tym, co można robić z kobietą, Smok wiedział doskonale. Ale o czym z nią rozmawiać?…

Smoki nie męczą się, są niezmordowane. A ja się zmęczyłem.

Smarkacz Mike gnał przodem jak nakręcony. Wkurzyło mnie to i specjalnie zacząłem przyspieszać.

No i przyspieszyłem. Gdy przedzieraliśmy się przez czarne ciernie, byłem czujny. Ale gdy weszliśmy do zwykłego lasu, rozluźniłem się. Książę biegł przodem i mimo woli liczyłem na niego. Ja i Mike niemal jednocześnie wyszliśmy na polanę, zrobiliśmy kilka kroków w wysokiej, żółtej trawie…

A jednak usłyszałem trzask zamka – na sekundę przed strzałem, na pół sekundy. Zdążyłem przewrócić smarkacza i upaść sam.

Kule siekły trawę nad moją głową, ścięte źdźbła łaskotały mnie w kark. Nie celowali do chłopaka, mierzyli do mnie, do Smoka, a ja nie mogłem się nawet ruszyć. Dwa automaty, leżące obok nas, były

kompletnie bezużyteczne.

– Smo! Broń!

Prawie się nie wahałem. Za dziesięć sekund i tak będzie po mnie…

Pchnąłem automat do tyłu, do Mike'a, i odturlałem się w prawo. Strzelec zareagował na ruch i kule zacmokały tuż obok.

Mike skulił się, podciągnął nogi i nagle stanął wyprostowany.

Miał trzy sekundy, może mniej, ale ci, którzy siedzieli w zasadzce, nie zdążyli przenieść na niego ognia.

Automat w rękach Mike'a kreślił wymyślne figury i nie od razu zrozumiałem, że smarkacz specjalnie strzela szerokim torem: łuski leciały z automatu niczym srebrzysta taśma… I nagle łoskot strzałów umilkł.

Mike opuścił broń. Cisza.

– Chodź, Smoku.

Podeszliśmy do krzaków, w których siedzieli atakujący… zresztą żadnych krzaków już nie było, ze zrytej kulami ziemi sterczały odłamki gałęzi, a pod nimi leżały białe drzazgi i jadowicie żółte liście. Szare płaszcze dziwnego kroju nie pozostawiały wątpliwości.

Bracia Pana.

Popatrzyłem na Mike'a, ale był spokojny. Tak spokojny, jakby to nie on zastrzelił tych ludzi.

Jeden miał roztrzaskaną głowę. Drugi jeszcze oddychał, kule trafiły w brzuch. A trzeci… Intuicyjnie wyczułem, o co chodzi i kopnąłem go w bok. Zawył i otworzył oczy. Nie pozwalając mu ochłonąć, chwyciłem go i odrzuciłem. Mężczyzna wpadł na drzewo, powoli osunął się po pniu i zadzierając głowę, znowu zaczął wywracać oczami.

– Nie wierzę – powiedziałem, podchodząc bliżej. Mnich opuścił wzrok. – Skąd?

– Z klasztoru Trzech Odkupień – odpowiedział bezbarwnym, charakterystycznym dla Braci głosem.

– Kto kazał wam zabić Smoka?

Milczał. Oczy zaszkliły mu się jak oczy nieboszczyka. Właściwie już był martwy, chociaż jeszcze oddychał i mógł się ruszać.

– Milczysz? Dobrze… Patrz! Nie odrywaj wzroku!

Nachyliłem się nad drugim, umierającym mnichem. Jego toporne rysy wykrzywiał teraz ból. Wyjąłem nóż, rozprułem koszulę, obnażając pierś. Popatrzyłem na tego trzeciego. Aha, robi wrażenie…

W oczach mnicha zapłonął dziki strach.

Wbiłem nóż zwykłym ciosem po lewej stronie klatki piersiowej, między drugim i trzecim żebrem, i pociągnąłem ostrze do siebie, rozcinając ciało.

Żebra pękały z nieprzyjemnym, wilgotnym chrzęstem.

Odsunąłem poruszające się niebieskawoszare płuca i wziąłem do ręki serce.

Przeciąłem naczynia, krew chlusnęła tak, że przemoczyła mi rękaw. Znowu spojrzałem na żywego mnicha.

– Nie odrywaj wzroku!

Serce było śliskie, pulsowało i przelewało się na moich dłoniach.

Poczułem znajome, słonawe ciepło.

– Nie!!! – wrzasnął Mike.

Bratu Pana drgnęła szczęka. Powieki nadal miał uniesione, ale spojrzenie utraciło ostrość, jego oczy patrzyły teraz gdzieś w bok.

Albo stracił przytomność, albo wpadł w trans – mnisi umieją to robić.

Spojrzałem na krwawe serce w moich dłoniach. Nie jestem zwierzęciem, żeby jeść surowe mięso… Smoki jedzą ludzkie mięso nie dlatego, że to lubią. Po prostu ludożerstwo jest najwyższą formą grozy, w ten sposób najłatwiej wzbudzić przerażenie. A ten mnich i tak już jest sparaliżowany strachem. Wypuściłem serce, uderzyłem mnicha w twarz. Drgnął, odzyskując przytomność.

– Pójdziesz teraz do swojego klasztoru, odszukasz przeora i powiesz mu, że skazałem go na śmierć. Powiesz, że przed porą wielkich deszczy poznam smak jego krwi. Rozumiesz?

Czubkiem noża przejechałem leciutko po jego czole; podniósł ręce, żeby ochronić oczy. Przejechałem jeszcze raz, tworząc krzyż.

– Idź.

Odchodził chwiejnym krokiem. Zanim znikł za drzewami, dwa razy upadł. Odwróciłem się do Mike'a.

– Krzyż na czole to znak odroczonego wyroku. Teraz każdy Smok, który go spotka, będzie mógł go zabić.

Przez nieruchomą twarz Mike'a przebiegł skurcz.

– Odroczonego… – powtórzył bezbarwnym głosem -…wyroku?

Działo się z nim coś niezrozumiałego. Spod chłopięcej brawury wyłaniała się okrutna, niezłomna twardość. Tak ukazuje się monolit betonowy spod opadającego tynku.

– Chodźmy, Smo…

Czyżby to było takie proste?

Nie odpowiedziałem. Podszedłem do strumyka i umyłem się z przyjemnością. Na wodzie pojawiły się krwawe wzory. Czułem się ohydnie. Może dlatego, że w tej krótkiej walce zwyciężyłem nie ja, lecz szczeniak Mike? Położyłem się obok strumienia, wtuliłem twarz w mokrą trawę, pachnącą ziemią i zwiędłymi liśćmi. Słyszałem, jak trzasnęły gałązki – to Mike usiadł kilka metrów ode mnie.

Mike, a nie szczeniak! Przyszły Smok Mike!

Więc to takie proste? Więc wystarczył jeden wstrząs, żeby obudzić w Mike'u Smoka? A to zdecydowanie, które mnie tak

zaskoczyło, które wyrwało się z chłopaka niczym stalowa sprężyna ze starego futerału – to zdecydowanie Smoka, rozstającego się z ludzką skórą.

Każdy ma swoją chwilę, która przemienia go w Smoka. Zwykle to chwila nieznośnego strachu, gdy drżą ci nogi i marzną dłonie, gdy pragnienie życia wypiera wszystkie uczucia, a śmierć po raz pierwszy staje tuż obok i rozstajesz się z głupią, dziecięcą wiarą we własną nieśmiertelność. Wtedy nie umysłem czy sercem, lecz żałosnym, dygoczącym ciałem uświadamiasz sobie – możesz albo przeżyć, albo pozostać człowiekiem…

Ja tę minutę przeżyłem dawno temu, gdy Eldhaus poprowadził nas na pierwszy napad na małe, bezbronne osiedle i Jeremy, łajdak Jeremy, bydlę Jeremy na moich oczach rozstrzelał chłopca, który nie zdołał „zdjąć" strażnika. Nawet nie mogę przypomnieć sobie imienia tego chłopaka, w pamięci wiruje tylko jego posępna, wiecznie skupiona twarz.

Po szoku, jakim był Ostatni Dzień, nie mogłem mówić – w gardle tkwił zimny kłąb, który nie pozwalał wykrztusić nawet jednego słowa. Prawie wszyscy się ze mną wtedy drażnili.

Tylko Rockwell i tamten chłopaczek się nie śmiali…

I gdy zobaczyłem, jak Jeremy do niego strzela, ocknąłem się.

Wszystko świetnie pamiętam. Niegłośny strzał, szczęk zamka, gryzący dym prochu… Jeremy szczerzy zęby, czy to uśmiech?… Chłopiec podryguje, jego ciało szarpią kule, a krew ciemnymi fontannami chlusta na śnieg, żłobiąc długie kaniony. I wtedy rozumiałem za chwilę to ja mogę się tak wić na śniegu, jeśli nie uda mi się sprawić, że każdy napotkany Jeremy będzie się wzdrygał od mojego wzroku. I niemal od razu wiedziałem, jak to osiągnąć.

Wystarczy być bardziej okrutnym niż oni. Wystarczy wyładować swój strach na kimś jeszcze bardziej przerażonym i bezbronnym niż ja, kimś takim, jak ta dziewczynka za zasłoną.

Bezgraniczne okrucieństwo najbardziej przeraża zwolenników zwykłego okrucieństwa.

Zaszeleściły liście, rozległo się cmoknięcie mokrego piasku na brzegu strumyka. Poczułem powiew wiatru od skoku ogromnego cielska. Książę oparł się o moje ramię, skamląc żałośnie. Odwróciłem się, spojrzałem w rozbiegane, zawstydzone oczy.

– Mogli nas zabić, Książę.

Książę wyciągnął się na trawie, podniósł łapy do góry. Zrób ze mną, co chcesz, panie, oto mój bezbronny brzuch. Jestem winny…

– O co chodzi, Książę?

Poczułem się tak, jakby walnięto mnie kowadłem w kark. Książę przesłał mi obraz: różnokolorowy, pstrokaty świat. Z trudem rozpoznałem miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Szary pas

strumienia, wielobarwny brzeg, obsypany kolorowymi plamkami, a na brzegu dwie tęczowe sylwetki… Ja i Mike? W powietrzu ciągnęły się od nich krwawe, czarne, zielonkawe i stalowe nici. A nieopodal leżały dwa pozbawione koloru, niemal niewidoczne ludzkie ciała…

Co to? Popatrzyłem na Księcia, na jego ruchliwy, wilgotny nos…

– Książę! Oni… nie mają zapachu?

Książę potwierdził radosnym piskiem. Trudno uwierzyć, że jego potężna gardziel może wydawać takie dźwięki.

Patrzyłem na sztywniejące trupy, przetrawiając otrzymaną informację.

Zapach… Jak można usunąć zapach? Czegoś takiego jeszcze nie było. Mnie i Księcia jakby oślepiono, pozbawiono broni… Zakon Braci Pana zaczął realizować swoją starą groźbę – oczyścić las ze Smoków. Tym razem mieli szansę zwyciężyć.

6. Jasnowłosy

To był najdziwniejszy i pewnie najszczęśliwszy miesiąc w życiu Smo. Jaskinia na brzegu Wielkiej Rzeki, gdzie urządził sobie legowisko, stała się czymś w rodzaju domu. Każdego wieczoru spieszył z powrotem do tej dziwnej dziewczyny, która uciekła od mnichów i została ze Smokiem…

Pierwszego wieczoru Smo poszedł do lasu, sam nie wiedząc, czemu to robi – kiedy już nakarmił dziewczynę i opatrzył jej ranę.

Do świtu włóczył się po lesie, nie mogąc zasnąć i usiłując wymyślić dla siebie jakieś usprawiedliwienie.

W mroku przedświtu, na wąskiej leśnej drodze zatrzymał tabor farmerski. Obojętnie grzebał w przewożonych rzeczach, niemal nie patrząc na półżywych ze strachu chłopów. Na wozach równymi rzędami ustawiono worki z ziarnem i mąką, osłonięte przed rosą nieprzezroczystymi kawałkami folii.

Smo chciał im powiedzieć, że folia ulega napromieniowaniu i nie należy przykrywać nią żywności, ale rozmyślił się. Chłopi na pewno o tym wiedzieli, po prostu nie obchodziło ich, do kogo trafi ziarno.

Smo od czasu do czasu zerkał na blade od strachu i anemii twarze, na oczy unikające jego spojrzenia.

Farmerzy niepotrzebnie się bali. Sami mogliby zostać Smokami, pijącymi krew i rozrywającymi zębami ludzkie mięso… Z ostatniego wozu Smo zdjął drewnianą skrzynkę z drobnymi żółtymi jabłkami, oparł o rowkowaną oponę forda, umocowaną na osi wozu, kilkoma kopniakami rozwalił deski… Wybrał dwa jabłka, spore, ale z widocznymi dziurkami po robakach – nie miał dozymetru, ale robak nie wejdzie do skażonego jabłka – i wrócił do jaskini.

Dziewczyna nie uciekła. Legowisko nabrało przytulności, rzeczy

pozbyły się wielomiesięcznego osadu kurzu, wszędzie panował zaskakujący porządek. Smo podszedł do stołu i położył na nim zdobyczne jabłka.

Wieczorem dziewczyna sama poprosiła, żeby się nigdzie nie oddalał.

I tak minął miesiąc.

Nie, nie miał tego dnia żadnego przeczucia, przeciwnie! Wracał z udanego polowania, a dzień był wyjątkowo jasny, w chmurach pojawił się prześwit i Smo pomyślał, że tam kryje się słońce.

Jak zwykle przez kilka minut obserwował wejście do jaskini.

Porośnięty pomarańczowym pnączem otwór był ciemny i pusty.

Smok wszedł do szerokiego przejścia, zrobił kilka kroków i odsunął ciężką od wilgoci, poczerniałą od sadzy zasłonę maskującą światło.

Przy ognisku siedział Rockwell. Z idiotycznie ogoloną głową – łysa czaszka i pukiel włosów na karku – przypominał Indianina z westernów. Automat trzymał na kolanach, na stole leżał pas z nożem i pognieciona manierka. Jego kurtka i spodnie były niewyobrażalnie brudne, nawet z odległości kilku metrów Smo czuł zapach zastarzałego potu.

Rockwell zmienił się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, ale to ciągle był on, przyjaciel Smok, i Smo uśmiechnął się, podchodząc do ognia.

Na jego widok Rockwell wstał, przez jego twarz przemknęło zakłopotanie.

– Nie jestem sam, Smo…

Jasnowłosy stanął przy wejściu. O, ten to się dopiero zmienił…

Z dawnego chłopca, który gotów był kłócić się o wszystko, pozostało jedynie czyste, schludne ubranie. Rysy nabrały ostrości, oczy błyskawicznie obszukały Smo.

– Witaj… najlepszy ze Smoków!

Smo spojrzał na Rockwella, który odwrócił wzrok. Ognisko płonęło niespokojnie. Kurczyły się zwęglone polana, iskry leciały w górę niczym stada świetlików.

– Gdzie ona jest?

To miejsce nosi teraz nazwę Spalone Wzgórza. Dwadzieścia lat minęło od czasu Ostatniego Dnia, a do tej pory nic tutaj nie rośnie.

Na głębokości pół metra ziemia nadal jest martwa, szara woda przelatuje przez nią na wylot, nie wsiąka. Te wzgórza pewnie już nigdy nie ożyją…

Weszliśmy na górę i wymazaliśmy się martwą ziemią. Dla nikogo nie było to przyjemne, a szczególnie złościł się Książę. Jego ruda sierść stała się popielata, bez przerwy kichał. Mnie też szczypało w nosie. Tylko Mike zachowywał się tak, jakby go to nie ruszało.

Cholerny mnich…

I wtedy uświadomiłem sobie swoją pomyłkę. Dlaczego, do diabła, uznałem, że to Brat Pana? To prawda, że Bracia są mistrzami plugastwa, ale nie zdradzają swoich! Więc kim on jest? Farmerem? Prawdziwie Wierzącym? Przywódcą bandy, który stracił swoich pomocników?

Bzdura. Książę rzucił mi czujne spojrzenie, pewnie wyczuł moją niepewność. Nie, przyjacielu, w tej sprawie poradzę sobie sam…

Dotknąłem ramienia Mike'a.

– Popatrz, jak pięknie!

Lasy ciągnęły się aż po horyzont. Wszystkie odcienie żółci…

Jasne, zapomniane już światło słońca, pomarańczowe pasy, krwawopurpurowe plamy. A pod nogami czarno-granatowy popiół… Trąciłem go nogą – w powietrze uniósł się obłok, przypominający dym tytoniowy. W dole płonął pomarańczowy las. Mój las… mój świat…

Do diabła z Braćmi Pana! Z wszystkimi wierzącymi i niewierzącymi! Tutaj ja jestem władcą!

Aż krzyknąłem od przepełniających mnie uczuć. Spojrzałem na Mike'a i natknąłem się na jego badawcze spojrzenie.

– Zachowuje się pan jak automat.

Nie od razu zrozumiałem.

– O czym ty mówisz?

– Cieszył się pan teraz jak automat. „Pięknie". Egzaltowany gest. Zwierzęcy ryk. Kiedyś przyszedł pan na te wzgórza i krzyknął z zachwytu, ponieważ to faktycznie jest straszne i piękne zarazem.

I postanowił pan, że zawsze będzie się tak cieszył. I zabijał pan jak automat. Nawet się pan nie złościł, po prostu odgrywał pan wściekłość. Automat.

Mówi tak, jakby on sam nie zabijał… Grzeczny chłopaczek w czystym kombinezonie! Z boku na bluzie rozpięła się sprzączka, spodnie pokrył kurz, lewy rękaw brudny, ale poza tym elegancik.

Nawet się nie rozzłościłem. Po prostu zrobiło mi się smutno. Po co przypominać dzisiejszy ranek…

– Mike… Ciągle nie możesz zrozumieć jednego: jestem Smokiem.

Starałem się powiedzieć to bardzo łagodnie, ale Mike nadal patrzył na mnie ponuro. I wtedy zrozumiałem – on nigdy nie będzie dobrym Smokiem. W ogóle nie będzie Smokiem. Nie wytrzymałem i krzyknąłem ze złością:

– Co tak stoisz, szczeniaku? Przed wieczorem musimy dojść do rzeki!

Zaczął szybko iść, wzbijając tumany pyłu. Dzieciak, a jednak twardy. I jeśli już któryś z nas przypomina automat, to właśnie Mike.

Jest bystry, silny i ma wolę. Ale nigdy nie wyjdzie z niego Smok.

– Ona nigdy nie zostałaby Smokiem.

Jasnowłosy gapił się na niego bezczelnie, z dużą pewnością siebie, a z jego oczu nie dało się nic wyczytać. Smok patrzył na Rockwella, patrzył wbrew sobie, nawet nie wiedząc, jak błagalne stało się jego spojrzenie. Ale Rockwell zauważył. Powiedział szybko, wywołując uśmieszek niezadowolenia na twarzy Jasnowłosego:

– O mało nie uciekła. Gdybyśmy gorzej strzelali…

W piersi Smo coś zakłuło, ale odpuściło. Rockwell nie zdradził.

Przyjaciel zawsze pozostaje przyjacielem, nawet jeśli przychodzi ukarać cię jako odstępcę. Nie dręczyli cię, głupia dziewczynko, która myślałaś, że Smok jest panem własnego losu. Bez względu na to, co z tobą robili, już nie żyłaś. Nie żyłaś.

Jasnowłosy przestał się uśmiechać.

– Znasz nasze prawa, Smo – powiedział. – Okazałeś… – zawahał się i dokończył: – Dobroć. Smok, który przypomniał sobie o dobroci, powinien odejść na zawsze.

Rockwell odwrócił się. Spokojnie. Tylko spokojnie, Smo. Jej już nie uratujesz, ale siebie jeszcze możesz…

– Kretynie!

Smo zmusił się do uśmiechu.

– Byłeś, jesteś i będziesz kretynem – wycedził i pochylił się do Jasnowłosego: – Chciałem zrobić z niej Smoka. Pierwsza kobieta Smok! To dozwolone!

– Tak, ale tylko w ciągu miesiąca! A ona mieszkała z tobą czterdzieści dni.

Smo skinął głową i nadał swojego głosowi poufne brzmienie:

– A przez następnych dziesięć dni można trzymać jeńca dla rozrywki! Nie przekroczyłem terminu, Jasnowłosy. Chciałem ją zabić dzisiaj, a ty mi przeszkodziłeś.

Jasnowłosy drgnął, zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wtrącił się Rockwell, ucinając dyskusję:

– Zgadza się.

Smo skinął głową i zmusił się do tego, żeby położyć dłonie na ramionach Jasnowłosego.

– Bracie Smoku, obraziłeś mnie fałszywym podejrzeniem, ale to mógłbym ci wybaczyć. Ale nie mogę wybaczyć tego, że pozbawiłeś mnie krwi mojej zdobyczy. Znasz prawo.

– Znam – poruszył wargami Jasnowłosy.

– Chcę twojej krwi, Smoku.

Jasnowłosy wstał. Jego słabość trwała tylko sekundę, potrafił szybko dostosować się do sytuacji. Pochylając głowę w rytualnym skinieniu, odpowiedział półgłosem:

– I ja chcę twojej krwi.

Stanęli naprzeciwko siebie, obnażeni do pasa, lekko nachyleni, z pustymi rękami. Rockwell zwlekał i Smo popatrzył na niego ze złością.

– Czy zgadzacie się, aby pogodziła was cudza krew, bracia Smoki? – zadał zwyczajowe pytanie Rockwell.

– Nie! – Dwa krzyki zlały się w jeden. Dwa skoki zryły piasek.

Dwie pary rąk wczepiły się w ciało przeciwnika.

Smoki prowadzą rytualną walkę gołymi rękami. Automat i nóż jest dla obcych, dla brata Smoka są palce zakrzywione wściekłością, zęby, rozwarte w krzyku usta. I nienawiść, która nadal pozostaje ludzkim uczuciem, czy tego chcesz, czy nie.

Część 2

Człowiek

1. Przeprawa

Tego wieczoru już nigdzie nie popłynęliśmy – zrobiło się ciemno. Wprawdzie Prawy Dopływ to nie Wielka Rzeka, ale wolałem nie ryzykować. Wybrałem miejsce porośnięte chapparalem, ściąłem kilka krzaków na legowisko i wysłałem Księcia na zwiady.

Krzątałem się jeszcze przy rzeczach, gdy Mike zasnął. Nie chciało mi się spać, więc grzebałem w jego plecaku. Latarka… działająca. Radiostacja… pstryknąłem włącznikiem, zapłonęło kilka niezbyt jasnych światełek, zaszumiało w wiszących na kablu słuchawkach.

Po co mu radiostacja? Taki sprzęt mają tylko w klasztorach… i w niektórych garnizonach.

Wokół jest całkiem sporo garnizonów. Żołnierzy i oficerów prawie tam nie ma, głównie przybłędy z różnych band i rozgrabionych wsi. Ale broni mają dużo.

Weźmy na przykład fort Santa Cruz. Kiedyś mieściła się tam baza wojsk przeciwpancernych. Paliwo skończyło się dawno temu i teraz czołgi, zaryte w ziemię aż po wieżyczki, opasują bazę szerokim pierścieniem. Nocą dyżurują tam wartownicy, kręcą się patrole z psami. W garnizonie jest prawie dwa tysiące ludzi, kontrolują ogromną przestrzeń. Dwanaście wsi i sto pięćdziesiąt farm dostarcza im żywność w zamian za ochronę. Młodzież pcha się do nich drzwiami i oknami.

Zostawiłem plecak Mike'a w spokoju i położyłem się, rozkładając na trawie kołdrę.

Szczeniak mógł być z garnizonu…

Z tą myślą zasnąłem.

Obudził mnie krzyk Mike'a i warczenie Księcia. Gwałtownie obudzony, nie od razu zrozumiałem, o co chodzi, ale zerwałem się, chwytając automat.

Dziesięć metrów od nas Książę gonił po brzegu ogromną, metrową stonogę. Najpierw zrobiło mi się niedobrze, a potem zacząłem się śmiać.

Gładkie, jakby oblane brązowym lakierem ciało stwora z łatwością robiło uniki przed ciosami Księcia. Ciężkie łapy psa ze świstem waliły w piasek, łamały gałązki, a stonoga powoli przesuwała się w stronę krzaków. Gdy Książę stawał się zbyt nachalny,

zatrzymywała się i groźnie kłapała przypominającymi dziób szczękami. Książę od razu tracił zapał. Kiedy był szczeniakiem, stonoga porządnie go dziabnęła, trucizna dostała się do krwi i pies omal nie zdechł. Od tamtej pory Książę nie może spokojnie przejść obok żadnej stonogi.

Już myślałem, że paskuda ucieknie, ale w tym momencie dosięgnął ją cios Księcia. Rozległ się trzask przypominający pękające jajko i na zniszczony pancerz chitynowy chlusnęły galaretowate wnętrzności. Ja się skrzywiłem, pies zawył radośnie, a Mike…

Mike klęczał i wymiotował. Twarz miał bladą jak kreda.

Smoki nie znają litości, bo nie wiedzą, czym jest zło i dobro.

Ale Smoki potrafią być pobłażliwe. Podniosłem dzieciaka z ziemi, zaprowadziłem do rzeki, pomogłem mu się umyć i kazałem napić się wody z manierki. Moja wczorajsza wrogość do niego minęła.

– Ech, szczeniaku… Z którego jesteś garnizonu?

Drgnął, od razu wstąpiło w niego życie.

– Skąd wiesz?

Więc miałem rację!

– Jestem Smokiem… A więc z którego?

– Rezerwa-Sześć.

Nigdy o takim nie słyszałem, ale nie dopytywałem dalej.

– Umiesz zrobić tratwę?

– Tak, uczyli mnie.

Uczyli go. Tylko zapomnieli nauczyć, żeby nie bał się pająków i stonóg.

Uśmiechnąłem się, a Mike poprosił błagalnie:

– Przejdźmy gdzieś dalej…

Skinąłem głową. Za pół godziny stonoga zacznie tak cuchnąć, że bez maski gazowej się nie obejdzie.

– Bierz plecak i automat – zakomenderowałem. – Nie mam zamiaru dźwigać twoich rzeczy.

Początkowo chciałem przeprawić się na drugi brzeg Dopływu i od razu ruszyć w góry. W tym miejscu rzeka jest niezbyt szeroka, najwyżej sto metrów, ale wtedy trzeba byłoby przejść dziewięćdziesiąt kilometrów lasem, a to co najmniej trzy dni…

Mapa sugerowała również inny wariant. Mogliśmy popłynąć z prądem i wysiąść na brzegu w miejscu, z którego do gór pozostawało czterdzieści kilometrów. Taki odcinek dałoby się pokonać w ciągu jednego dnia… Co prawda, ten plan miał jedną wadę – na przedgórzu musielibyśmy przejść obok klasztoru Braci Pana. Dokładnego położenia klasztoru nie znałem – wszystkie wiadomości pochodziły z plotek i gadaniny farmerów. Poza tym w górach trzeba by było zawrócić do zaznaczonego ma mapie miejsca…

Zerknąłem na tratwę. Pięć związanych razem, niezbyt grubych

bali. Można się na czymś taki przeprawić na drugi brzeg, ale płynąć po rzece, nawet dziesięć kilometrów, to ryzykowna zabawa… I chyba ta myśl pomogła mi dokonać wyboru. Zawsze postępuję wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Popłyniemy.

Mike nie spierał się. Pochylony, zaczął spychać tratwę na mętną wodę.

Tratwa zakołysała się i zakręciła, próbując odbić od brzegu.

Mike wskoczył na środek, przykucnął, utrzymując równowagę.

Tak, smarkacz miał sporo szczęścia, że mnie spotkał, pomyślałem, patrząc na jego niezgrabne ruchy. Sam by daleko nie zaszedł…

Chociaż z drugiej strony, jego szczęście było kwestią dyskusyjną. Jeśli nie zostanie Smokiem, po dotarciu do celu będę musiał go zabić.

Wskoczyłem na tratwę razem z Księciem.

Pływanie tratwą to po prostu świetny wypoczynek. Gdybym miał do wyboru łódkę albo coś tak archaicznego jak kuter, i tak wybrałbym tratwę. Rozebrany do pasa, leżałem na balach i wypoczywałem. Kiedyś można było się w ten sposób opalać, teraz nie ma przy czym, nie widać słońca. Pozostała jedynie iluzja ciepła słonecznego…

Mike obejmował rękami kolana, wpatrzony w mijane przez nas brzegi. Nie miał zamiaru się rozbierać, w kombinezonie desantowym się przecież nie zgrzeje. Ten strój jest idealny na każdą pogodę, może osłabić cios i zablokować promieniowanie. Leniwie pomyślałem, że potem trzeba będzie zdjąć ten kombinezon z chłopaka.

A może lepiej najpierw zdjąć, żeby się nie ubrudził…

– Smoku…

To było coś nowego. Wcześniej Mike zwracał się do mnie po imieniu.

– No?

– Jak masz naprawdę na imię? Smo to przecież ksywka…

Drgnąłem. Jak mam na imię? Właściwie nikt nie zabraniał nam używania prawdziwych imion, ksywki to kwestia przyzwyczajenia.

Zdaje się, że to nawet ja zapoczątkowałem je swoim „Smo”.

– A może zapomniałeś?

Akurat…

– Jackie… – Zdrobniałe, dziecięce imię, którym zwracano się do mnie przed Ostatnim Dniem, zabrzmiało tak głupio, że aż się roześmiałem. – Jack… Głupota. Nazywam się Smo, jasne?

– Oczywiście, tak tylko zapytałem.

Popatrzyłem na Mike’a – czy aby czasem nie kpi? Nie, twarz miał poważną… I wtedy poprzez delikatny plusk wody usłyszałem znajomy dźwięk – krótkie serie z automatu. Strzelano gdzieś za drzewami, i to na chybił trafił, wystrzały były niepewne, urywane.

Przekręciłem się na brzuch i przygotowałem broń. Jeśli nawet nie

strzelano do nas, to jeszcze nie znaczy, że uda nam się nie wziąć w tym udziału. Obok rozciągnął się Książę, nawet Mike bez żadnej podpowiedzi położył się płasko na balach. Na brzegu na razie nikogo nie wiedziałem. Niewysokie, pomarańczowe drzewa schodziły niemal do samej wody, ale za cienkimi pniami trudno było się ukryć.

– Pewnie trafili – zasugerowałem.

Strzały rozległy się znowu, znacznie bliżej, i pozostały bez odpowiedzi.

Czyli ktoś z automatem goni bezbronnego.

– Może to Smok poluje? – zapytał Mike.

– Smoki nie strzelają bez potrzeby.

Chciałem ostrzec Mike'a, żeby dał spokój złośliwościom, ale wówczas akcja gwałtownie przyspieszyła. Z lasu wyskoczyła ludzka postać i zastygła nad lustrem wody. Mike, który od dłuższej chwili grzebał w plecaku, podniósł do oczu lornetkę.

– Dziewczyna…

W lesie zaterkotały strzały, dziewczyna pochyliła się i skoczyła do wody.

– Już po wszystkim – powiedziałem w zadumie. – Ta historia na zawsze pozostanie dla nas zagadką.

– Myślisz, że ją trafili? – zapytał Mike.

– Nie o to chodzi.

Głowa dziewczyny ukazała się nad wodą. Płynęła ku naszej powolnej tratwie, spod jej rąk strzelały srebrzyste wachlarze rozprysków.

– Lepiej się odwróć – poradziłem Mike'owi. – Zarówno w Wielkiej Rzece, jak i w obu Dopływach są takie małe rybki…

Różnie się je nazywa, przeważnie zębatki. Mają najwyżej dwa centymetry, ale zjadają człowieka w ciągu pół minuty.

Zobaczyłem, że po plecach Mike'a przebiegł dreszcz.

– Jak piranie… – wyszeptał.

A dziewczyna ciągle płynęła. Nie pokonała nawet połowy dystansu do tratwy, gdy na brzegu pojawił się jej prześladowca. W wieku Mike'a, rozebrany do pasa, z automatem w prawej ręce. Na widok płynącej dziewczyny krzyknął coś ze złością, a potem przyklęknął i wycelował.

Dziewczyna zanurkowała i kule zapluskały po wodzie. Robiło się coraz ciekawiej… Prześladowca nie miał zamiaru schwytać dziewczyny, chciał ją zabić, a przy tym bał się zaufać w tej sprawie rybkom.

Młodzik wstał, wypatrując swojej ofiary, i wtedy zobaczył tratwę.

– Smoki strzelają tak – powiedziałem do Mike'a i nacisnąłem spust.

Pierwsza kula trafiła w kolbę wycelowanego w nas automatu.

Drzazgi poleciały na wszystkie strony, a chłopak uskoczył w bok, wypuszczając broń z ręki. Strzeliłem jeszcze raz, celując w głowę, ale niestety chybiłem. Kula przeszła tuż obok i strzelec rzucił się do ucieczki. Jako trzecią wkładam zawsze kulę z przesuniętym środkiem ciężkości, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. Strzelając, już wiedziałem, że trafię. Chłopak odchylił głowę i wygiął się w dzikim skurczu, jakby próbował odwzorować tę figurę, którą kreśliła w jego ciele kulka, wirująca jak frez.

Książę warknął aprobująco.

Popatrzyłem na dziewczynę i osłupiałem – od tratwy dzieliły ją tylko trzy metry. Mike wyciągnął się płasko i podał jej rękę, drugą trzymając się karku Księcia. O dziwo, pies nie zwrócił na to uwagi.

Jeszcze kilka wymachów ramion i dziewczyna złapała wyciągniętą dłoń Mike'a. I wtedy nagle rozpaczliwie krzyknęła. Mike wciągnął ją na tratwę, na nogi chlusnęła woda. Położyłem się na przeciwnej stronie, żeby nie doszło do wywrotki.

Przez chwilę wydawało mi się, że Mike razem ze swoją podopieczną znajdzie się w wodzie, może nawet wciągając tam Księcia.

Albo że wywróci się cała tratwa, przygniatając nas ciężkimi balami.

Ale tratwa wyrównała, tyle że zalała nas spora fala, zostawiając w szczelinach kilkanaście srebrzystych rybek. Książę zaczął zaciekle tłuc łapami, rozgniatając je; jedna wisiała mu na boku, wczepiona w sierść.

– Myślałem, że jest starsza – powiedziałem.

Dziewczyna miała niecałe dwanaście lat. Chuda, o brzydkiej, wystraszonej twarzy, na której mimo wody widać było łzy, w mokrej, przylegającej do ciała sukience; po nogach płynęły strużki krwi.

Prawa stopa, obuta w ciężki męski but, wydawała się dłuższa od lewej, bosej. Pomyślałem, że to niemożliwe, żeby takie żałosne stworzenie przepłynęło ponad sto metrów. Dziewczyna siedziała przy nogach Mike'a, trzymając go za rękę, na mnie i Księcia patrzyła ze szczerym przerażeniem.

No cóż, nie trzeba być filozofem, żeby rozpoznać we mnie Smoka.

– Myślałem, że starsza – powtórzyłem. – Zresztą, to nieistotne.

Twarz Mike wykrzywił grymas.

– Posłuchaj, Smoku – syknął – jeśli coś jej zrobisz…

Posłuszny niememu rozkazowi, Książę stanął na tylnych łapach, przednimi opierając się o ramiona Mike'a. Otwarta paszcza zastygła centymetr od twarzy chłopca.

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz mi rozkazywać, zabiję i ciebie, i ją – obiecałem szczerze.

Mike milczał. Patrzyłem przez chwilę na jego skamieniałe ciało i przeniosłem spojrzenie na dziewczynę.

– Jak się nazywasz?

– Susie…

Susie, Suzanne… Upodobanie do dźwięcznych imion przetrwało nawet wojnę jądrową.

– Kto cię gonił?

– Nie wiem, ktoś z bandy…

– Skąd jesteś?

– Ze wsi…

– Z jakiej?

– Cienisty Zakątek…

Założyciel wsi musiał mieć niebanalne poczucie humoru.

– Banda tam została?

– Aha…

– A ty uciekłaś? Nie rycz! Ilu ich jest?

– Sześciu albo pięciu…

– A mężczyzn we wsi?

Wargi Susie zadrżały.

– Zabili ci ojca?

– Braata…

– Jasne.

Wyjąłem z plecaka Mike'a bandaż i rzuciłem chłopcu.

– Zamiast okazywać fochy, lepiej ją opatrz. Puść go wreszcie, Książę!

Gdy Mike bandażował dziewczynie pokąsane nogi, ja niespiesznie tłumaczyłem jej, co powinna zrobić.

– Czy w dole rzeki są farmy i osiedla, w których cię nie skrzywdzą?

– Tak…

– Za chwilę przybijemy do brzegu. Idź do swoich znajomych i nie próbuj wracać. Rozumiesz? Tam, gdzie mieszkałaś, nikt nie przeżyje.

Dziewczyna skinęła głową i skrzywiła usta, jakby chciała się rozpłakać. Trzeba przyznać, że nie była głupia – nie wspomniała ani słowem, dokąd zamierza pójść. Gdybym chciał potrząsnąć miejscowymi chłopami, wyciągnąłbym to z niej, ale teraz nie miałem do tego głowy. Gdyby była trochę starsza i ładniejsza, też by tak łatwo nie odeszła…

– Smo, a ty nie boisz się bandytów?

Trzeba przyznać, że przywykłem już do Mike'a na tyle, że nie reagowałem na takie dziwaczne pytania.

– Wiesz może, kto okazałby się silniejszy, ty czy tamta banda?

2. Cienisty Zakątek

Wieś składała się z pięciu domów, otoczonych wysokim płotem.

Przed Ostatnim Dniem to pewnie była farma. A może mieszkał tu jakiś amator ciszy i spokoju…

Jedyny wartownik spokojnie przechadzał się między domami.

Gdy po raz kolejny zniknął z pola widzenia, przeskoczyłem przez ogrodzenie. Za mną, niczym bezszelestny cień, ruszył Książę. Jasne, to nie to co Bracia Pana z ich systemem pierścienia – pięciu wartowników, poruszających się kołem i obserwujących się wzajemnie… Zachodząc wartownika od tyłu, przez kilka sekund skradałem się za nim, patrząc na plecy okryte kusą kurteczką. Wartownikowi jakoś dziwnie ruszały się łopatki, nienaturalnie mocno, do przodu i do tyłu. Czyżby mutant?

Wyjąłem nóż i skoczyłem do przodu. Już unosząc dłoń, poczułem, że mnie zobaczył – zaczął przysiadać, chcąc uniknąć ciosu.

Ostrze weszło w kark, łamiąc kręgi szyjne. Wartownik upadł, nie wydając dźwięku i odwracając się do mnie twarzą. Cofnąłem się. Na jego czole, nad nosem, ciemniało zasnute błoną trzecie oko.

Mutant…

Pochyliłem się nad wartownikiem, wyciągnąłem nóż z jego szyi i dwoma ciosami rozprułem mu brzuch. Z mutantami lepiej nie ryzykować, potrafią być niesamowicie żywotne…

Książę podbiegł i obwąchał ciało. Warknął ze zdziwieniem i wyciągnął pysk do kałuży krwi.

– Potem! Nie ma czasu!

Całym sobą prezentując, jak bardzo jest obrażony, Książę poszedł za mną. Już przed drzwiami jednego z domków obejrzałem się. Do licha, dlaczego tak mało krwi? Przecież powinienem był przebić arterię…

W domu było pusto, w jednym z pokoi, pod oknem, ciemniała na podłodze niedbale wytarta kałuża. W roztrzaskanej szybie widniało kilkanaście małych dziurek. Pewnie strzelali z ulicy, loftkami.

Gdzie pozostali bandyci?

Wychwytując niewypowiedziane pytanie, Książę wysunął się z domu. Odwrócił mordę w stronę najporządniej wyglądającego budynku, zbudowanego pewnie przed Ostatnim Dniem. Wtedy była to ładna, niska willa o kilku pomieszczeniach, teraz dom przypominał fort z czasów kolonizacji Dzikiego Zachodu: okna zasłaniały płyty z desek albo kraty, za to ściany upstrzono licznymi okienkami strzelniczymi. Uważając, żeby nie dać się dostrzec z okien (z otworami strzelniczymi musiałem się pogodzić), podbiegłem do budynku.

Drzwi, tak jak się spodziewałem, były uchylone. Usłyszałem bulgoczący dźwięk. Odczekałem chwilę – dźwięk nadal trwał chwyciłem mocniej automat i kopniakiem otworzyłem drzwi.

To pomieszczenie stworzono, likwidując wewnętrzne ściany między trzema czy czterema pokojami. W efekcie powstała wielka sala

o ścianach ozdobionych różnymi tapetami i plastikiem, z górami worków i piramidami skrzynek w kątach. Pod najdalszą ścianą stało kilka wypełnionych naczyniami kredensów, połyskiwała niklem zaskakująco luksusowa kuchnia, od której do sufitu biegły jakieś krzywe rury ze śladami spawania – widocznie kuchenny cud techniki przerobiono z gazu czy elektryczności na zwykłe drewno.

Obok kuchni stał potężny dryblas i odchylając głowę, pił wodę prosto z czajnika.

Nie udało mu się w całości objąć ustami szerokiego, krótkiego dzióbka i woda spływała strużkami po włochatej piersi draba. Facet było kompletnie goły.

– Picie prosto z czajnika jest niekulturalne – powiedziałem, odsuwając rękę z nożem.

Mężczyzna zwalił się na kuchnię, nie wydając żadnego dźwięku. Czajnik, zaciśnięty w lewej ręce, kołysał się tuż nad podłogą, gasnące oczy patrzyły na mnie ze zdumieniem. Próbując wstać, drab oparł się o kuchnię i znowu osiadł – rękojeść wbitego w pierś noża weszła głębiej. Na plecach pojawiło się wybrzuszenie i skóra bezgłośnie pękła, wypuszczając koniuszek ostrza.

Obejrzałem kilka innych pomieszczeń, wszędzie było pusto.

A kiedy przed kolejnymi drzwiami usłyszałem niejasno znajomy dźwięk, nie od razu uwierzyłem w jego istnienie. Zza starych drzwi ograbionego domu w napadniętej wsi dobiegała muzyka! Najprawdziwsza muzyka – niegłośny dźwięk gitarowych strun, akompaniament jakichś instrumentów, piękny, mocny głos…

Yesterday… Poczułem dreszcz. To była piosenka z przeszłości, z tych dni, gdy na niebie świeciło słońce… Śpiewał ją jakiś słynny zespół, często puszczali ją w radio i telewizji. Yesterday.

Pchnąłem drzwi, wszedłem do pokoju i od razu odniosłem dziwne, nieprzyjemne wrażenie, jakbym to wszystko, co się tu właśnie działo, już kiedyś przeżył, już doświadczył, a teraz oglądam na nowo, niczym odgrywany po raz kolejny spektakl teatralny.

Pod zakratowanym oknem na podłodze siedziała kobieta, a obok niej stary mężczyzna. Gdyby nie automat na jego kolanach, nigdy bym nie uwierzył, że jest w bandzie.

Kobieta nie odrywała wzroku od wysokiego, wąskiego łóżka, z którego nie wiadomo dlaczego zrzucono całą pościel. Na brudnoszarym materacu poruszały się dwa nagie ciała. Mężczyzna opierał się na łokciu, a jego łopatki wystawały kilkanaście centymetrów nad plecami. Znowu mutant… Przyciśnięta do łóżka dziewczyna powtarzała coś zdławionym szeptem, ale muzyka zagłuszała słowa.

Dźwięk płynął z discmana, wiszącego na pasie trzeciego bandyty.

Typ stał przy łóżku, jedną ręką trzymając dziewczynę za włosy,

drugą ściskając jej cienkie ręce. Twarz miał obojętną, z ledwie widocznym wyrazem zadowolenia, tak charakterystycznego u debili.

Yesterday…

Starzec powoli odwrócił głowę w moją stronę. Przyłożyłem palec do ust, potem pogroziłem mu. Muzyka jeszcze trwała, w przezroczystym pudełku discmana wirował połyskujący tęczowo dysk; chciałem wysłuchać nagrania do końca. Ale typek z debilowatą twarzą już się odwracał w moją stronę; jego ręce puściły dziewczynę i sunęły po pasie, szukając rękojeści pistoletu.

Automat w moim ręku ożył. Iglica niechętnie stuknęła w mosiężny krążek spłonki, przez lufę przeleciały gazy prochowe, wypluwając mały kawałek ołowiu, szarpiąc suwadło…

Mężczyzna oberwał w głowę krótką serią. Stał jeszcze przez chwilę – ohydna postać ze ściętą w połowie czaszką – a potem zaczął padać, prosty jak słup, z fontanną krwi, chlustającą z szaropurpurowej miazgi roztrzaskanej głowy. W końcu jego ciało uderzyło o podłogę z głuchym stukiem.

Rozległ się cichy trzask i muzyka umilkła. Cholera, wiedziałem, że tak będzie. Że też ten kretyn musiał upaść tak, żeby rozwalić praktycznie wieczny odtwarzacz laserowy, zasilany bateriami słonecznymi. Nigdy nie mam szczęścia w drobiazgach.

Teraz już można było usłyszeć szept dziewczyny. „Mamo… mamusiu… mamo”…

Gwałcący ją chłopak popatrzył na mnie. Skrzywiłem się – nad ludzkimi oczami mętniało trzecie oko, nieruchome, zimne, jaku węża. Podobieństwo do wartownika było absolutne, pewnie brat bliźniak. Trzyoki cały czas patrzył na mnie, nadal nieświadomy tego, co się dzieje, poruszając się w cichnącym rytmie… aż wreszcie na jego twarzy pojawił się wyraz rozkoszy i bezmyślnego rozluźnienia.

– Książę! Bierz!

Pies skoczył do łóżka, zaciskając szczęki na bosych nogach mężczyzny. Ten krzyknął przeraźliwie, wygiął się, próbując dosięgnąć rękami mordy Księcia, ale pies już wyciągał go z pokoju.

– Nie hałasuj za bardzo! Ale niech pożałuje, że dożył dzisiejszego dnia – krzyknąłem za Księciem i odwróciłem się do starca.

Kobieta zerwała się, podbiegła do łóżka i objęła skuloną, zasłaniającą twarz dziewczynę. Starzec nadal siedział bez ruchu, jego ręce spokojnie leżały na automacie.

– Rzuć broń – poradziłem.

Automat stuknął o podłogę. Starzec odwrócił do mnie głowę, uśmiechnął się znajomo.

– Zmieniłeś się – powiedziałem z zadowoleniem. – Postarzałeś.

Już sam nie gwałcisz, możesz się tylko przyglądać. Ale gębę masz ciągle tak samo ohydną, Jeremy.

– Ty też nie wyglądasz dobrze, Smoku.

Wiedział, że jest skazany. I nie miał zamiaru dobierać słów.

– Gdybyś wiedział, jak cię wtedy szukaliśmy… po Eldhausie.

Specjalnie was wszystkich odesłał?

– Oczywiście. Powiedział, że zamierza wieczorem puścić Smoki do lotu i daje nam pół godziny. Musimy zdążyć uciec, póki smocze skrzydła są jeszcze słabe. – Jeremy roześmiał się. – Smoki… nic ludzkiego w duszy… Dobro, zapomniane słowo… Eldhaus bardzo by się rozczarował, gdyby cię teraz zobaczył.

Specjalnie wciągał mnie w dyskusję, grając na zwłokę.

Jeszcze nie wiedział, że to nie ma sensu.

– Dlaczego by się rozczarował?

– Jak to dlaczego? Najlepszy uczeń, a tu nagle okazuje się dobry. Dobry Smok. Absurd.

– Jeremy, szukałem cię przez piętnaście lat i twoje słowa nawet mnie nie denerwują. Liczysz na powrót szóstego? Tego, który gonił dziewczynę? Zabiłem go nad rzeką.

Jeremy drgnął, wyraźnie na to właśnie liczył. Ale odpowiedział drwiąco:

– Właśnie o to mi chodziło. Dobry Smok… Zabiłeś bandytów, uratowałeś kobiety i dzieci… może nawet jej nie przelecisz?

Skinął na dziewczynę. Mimo woli też na nią spojrzałem. Faktycznie ładna… Próbowała zasłonić się podniesioną z ziemi sukienką, ale i tak widziałem jej piersi z małymi, sterczącymi sutkami, długie nogi o delikatnych, różowych podeszwach stóp, wąskie, ale zgrabne biodra. Zalała mnie fala pożądania – szalonego, nieznośnego… Właściwie, co za problem…

– Nie przelecę, Jeremy. Jeszcze nie wysechł na niej pot twojego trzyokiego potwora.

– Poznaję cię, Smo, zawsze byłeś wybredny. Ale czystych dziewczynek tu nie znajdziesz, ta była ostatnia.

Jeremy zachichotał. Widocznie cieszyła go myśl, że na koniec zdołał mi jeszcze dogryźć.

– No, strzelaj, dobry Smoku! W tej wiosce będą cię błogosławić do końca dni! I wszystkim opowiedzą o najlepszym Smoku na świecie!

Podniesiony automat znowu opadł. W milczeniu patrzyłem na twarz Jeremy'ego. Miał najwyżej pięćdziesiąt lat, a wyglądał jak starzec. Ale inteligencja mu została…

– Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji, Jeremy – powiedziałem w zadumie. – Żeby udowodnić, że nie masz racji, a nie masz, musiałbym wszystkich zabić… – Zawiesiłem głos. – Albo wszystkich oszczędzić. Oszczędzić tych ludzi… i ciebie, choć drwiłeś z przyszłych Smoków.

Twarz Jeremy'ego nabrała skupionego wyrazu. Walczył o życie, a w takich wypadkach rozum ustępuje miejsca instynktowi.

– Jeśli zabijesz wszystkich – zaczął – udowodnisz, że nie ma w tobie dobroci, a ja nie miałem racji. A jeśli wszystkich oszczędzisz, to dowiedziesz, że się bawiłeś i… i żadnego dobra w tobie nie ma…

Popatrzyłem na kobietę – pomagała ubrać się dziewczynie.

– Gdzie wasze rzeczy? – zapytałem.

Przestraszona, w milczeniu wskazała głową gdzieś w głąb domu.

– Zdołasz otworzyć?

Znowu skinienie.

– Idź.

Kobieta wysunęła się z pokoju, za nią wyszła na wpół rozebrana dziewczyna. Jeremy spojrzał na mnie czujnie.

– Słuchaj, Smo… Przecież nie masz żadnych powodów, żeby się na mnie wściekać. Nigdy cię nawet palcem nie tknąłem!

– Bo się bałeś.

– Zgadza się. – Jeremy z wysiłkiem skinął głową. – Nie mogłem cię rozgryźć. Rockwella rozumiałem, Okularnika, Ciamajdę i Jasnowłosego też…

– Jasnowłosego? – Drgnąłem. – Jeszcze go pamiętasz?

– Pamiętam… Czy to czasem nie ty załatwiłeś go dziesięć lat temu? Już wtedy byliście wrogami… Nienawidził cię, bo byłeś najlepszy. Wszystkich was nienawidził, z Eldhausem na czele. Chciał się z tobą policzyć, bo to tak, jakby policzył się z wami wszystkimi…

– Dość! – krzyknąłem nieoczekiwanie dla samego siebie. Milcz!

Nie powinniśmy mieć wspólnych wspomnień. One chroniły Jeremy'ego pewniej niż te gadki o zasadach zachowania Smoków…

Z prawdziwymi wrogami równie trudno się rozstać jak z prawdziwymi przyjaciółmi.

Usłyszałem szmer, do pokoju wchodzili ludzie. Mężczyźni, chłopcy, kilkanaście kobiet. Zdaje się, że przyszli wszyscy, nikt nie ośmielił się nie posłuchać rozkazu. Pod moim spojrzeniem zaczęli się kulić i odwracać wzrok. Nie mieli broni.

Podszedłem do Jeremy'ego, podniosłem z podłogi jego automat i powiedziałem półgłosem:

– Byłoby lepiej, gdybyś wtedy od nas nie uciekł…

Ludzie zastygli, łowiąc każde moje słowo.

– Bawiłem się, Jeremy, po prostu się bawiłem. A teraz olewam ciebie i tych ludzi. I ty, i oni możecie robić, co wam się podoba.

Poszedłem do drzwi.

– Eee… – zaczął Jeremy, wyciągając do mnie ręce. Ludzie jeszcze nie zrozumieli, nadal stali nieruchomo. – A co z…

Trzasnąłem drzwiami i oparłem się o nie plecami. Przez chwilę trwała cisza.

A potem rozległ się hałas. Odgłosy przypominające głuchy ryk drepczącego w miejscu tłumu. No, proszę. A wydawali się tacy

łagodni…

Odepchnąłem się od drzwi i wyszedłem z domu.

3. Spotkanie

Książę powitał mnie zadowolonym warkotem, pysk miał upaćkany krwią. Skrzywiłem się.

– Umyj się.

Po chwili już stał na tylnych łapach przy żelaznej beczce z wodą, przednimi po kociemu trąc sierść wokół paszczy. Otworzyłem bramę.

Przede mną stał Mike, a obok niego Susie. Wyglądali zabawnie – chłopaczek w desantowym kombinezonie trzymał w prawym ręku automat, a w lewej dłoń tulącej się do niego, mokrej, bosonogiej dziewczynki. W wolnej ręce dziewczynka niosła za sznurowadła ciężki, wojskowy but. Nie chciała go wyrzucić.

– Co tu robicie? Kazałem wam czekać, aż się wszystko skończy!

Susie schowała się za Mike'a. Chłopiec wzruszył ramionami.

– Powiedziała, że już po wszystkim i można iść. A ja… tego… pomyślałem, że może potrzebujesz pomocy.

– Smoki nie potrzebują pomo… – Zamilkłem, odsunąłem Mikea i postawiłem Susie przed sobą. – Skąd wiedziałaś, że już po wszystkim?

– On mi powiedział… – Mała chyba miała zamiar się rozpłakać.

– On?

Podążyłem oczami za jej spojrzeniem i zobaczyłem Księcia.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że przez cały ten dzień pies ani razu nie warknął na dziewczynkę, nawet gdy pośliznęła się, schodząc z tratwy i tracąc równowagę, chwyciła go za sierść.

Książę?

?

Dziewczynka?

Od Księcia emanowało zawstydzenie. Nawet nie próbował mówić obrazami, tylko emocjonalnymi rozbłyskami: Zgadzam się, nie zgadzam, cieszę się…

– Dlaczego nie pożarły cię rybki w wodzie? – kontynuowałem przesłuchanie.

– Udawałam pień drzewa. Zębatki są głupie, łatwo je oszukać…

– Pień? A mnie mogłabyś tak oszukać?

– Nie, Wielki Smoku, jakżebym śmiała…

– Mam nadzieję. Wiesz, co bym z tobą zrobił, gdybyś mnie chciała nabrać?

– Wiem.

Dziewczynka wzdrygnęła się. Czyżby zobaczyła? Posłałem jej obraz, tak jak w rozmowie z Księciem. Dość straszny obraz.

– Dobrze. Idź już. Idź, nie bój się.

Susie nie trzeba było długo namawiać. Pobiegła w stronę domu, przed którym już zebrał się niewielki, milczący tłum. W wiosce mieszkało ze dwadzieścia osób. Pewnie kilka rodzin, które już dawno się ze sobą spokrewniły, tworząc jeden mocny klan. Mocny? I pozwolili szóstce… No tak, ale w bandzie był Jeremy.

Z tłumu wysunęła się jakaś postać i podeszła do nas niepewnym krokiem. Jeremy też wyglądał staro, ale ten był po prostu zgrzybiały.

Lewą ręką przytrzymywał na nosie pęknięte pośrodku okulary. Mimo woli poczułem do niego sympatię. Okularnicy to w lesie rzadkość i wszyscy kojarzą mi się z Bobem Okularnikiem, poczciwym, ale pechowym chłopakiem, który wiecznie wpadał w jakieś tarapaty. Nie widziałem go już z pięć lat… i nawet o nim nie słyszałem. Pewnie kolejna pechowa sytuacja stała się dla niego ostatnią.

– Wielki Smoku… – zaczął staruszek pełnym szacunku głosem.

Kim był w poprzednim życiu? Podniosłem rękę, uciszając go.

Staruszek drgnął i zamilkł.

– Czym zajmowałeś się przed Ostatnim Dniem?

– Pracowałem na uniwersytecie.

Tak myślałem. Od razu widać, że przywykł do przemawiania.

– Jako kto?

– Jako programista.

– Mów…

– Wielki Smoku, życzymy ci pomyślnych łowów w drodze! Padamy przed tobą na twarz, zamieramy w cieniu twoich skrzydeł i czekamy na twoje rozkazy.

Niby zwyczajowe powitanie, ale zabrzmiało jakoś inaczej, jakby uniwersytecki programista rzeczywiście czekał na moje polecenia. Popatrzyłem na niebo – do wieczoru jeszcze daleko, ale już nasuwał się mrok, chmury gęstniały w oczach. Nadciągała ulewa.

– Nagrzejcie dużo wody – poleciłem. – Chcemy się umyć.

I przygotujcie czysty pokój. Przenocujemy u was.

Nagle Mike krzyknął i trącił mnie w ramię. Odwróciłem się i osłupiałem. Na płocie wisiał człowiek. Wyciągnięte na półtora metra ręce wczepiały się w wierzch ogrodzenia, powoli podciągając w górę bezwolne ciało, które wydawało się martwe.

– Mój błąd – przyznałem się, podnosząc automat. – To wartownik. Następnemu napotkanemu mutantowi odetnę głowę…

Deszcz rozpadał się dopiero wieczorem. Już zasypiałem, rozkoszując się czystym i miękkim łóżkiem, gdy o dach zastukały pierwsze nieśmiałe krople. Chwilę potem już lało. Przysypiając, widziałem w oknie sylwetkę Mike'a, ciemną i nieruchomą, jakby przyciągniętą lejącymi się z nieba strugami wody.

– Smo… – powiedział cicho. – Niech pan nie wychodzi nocą z domu. To radioaktywny deszcz.

Nie miałem zamiaru wychodzić – kto pchałby się na deszcz bez dozymetru? Ale w głosie Mike'a słychać było dziwną pewność.

– Skąd wiesz?

Klepnął się w prawe ramię.

– Mam tutaj wszyty czujnik. Gdy coś promieniuje, on wysyła ładunek elektryczny… ramię wtedy kłuje.

Zamknąłem oczy. Jeszcze mi wszystko opowiesz, Mike'u z bazy Rezerwa-6.

Wyjaśnisz, gdzie dali ci takie wyposażenie, w jakim zagadkowym szpitalu wszyli pod skórę czujnik radiacji. A co najważniejsze, dlaczego właśnie ciebie, szczeniaka, chłopaczka, wysłali do lasu na pewną śmierć.

Z osiedla wyszliśmy o świcie. Smok powinien znikać bezszelestnie, jakby go tu wcale nie było. Ale przeciskając się przez wąską szczelinę uchylonej bramy, odwróciłem się i zobaczyłem w jednym z okien niewyraźną sylwetkę. Byłem pewien, że to Susie. Postać w oknie pomachała ręką na pożegnanie.

Zerknąłem na Księcia, bez trudu wyczuwając jego zakłopotanie. Spotykając drugiego w swoim życiu człowieka, który potrafił z nim rozmawiać, pies nie mógł się powstrzymać i pożegnał się z dziewczynką, opuszczając wieś.

– To nic, Książę – powiedziałem cicho. – We dwójkę też nam jest całkiem nieźle. Prawda?

Pies wtulił pysk w moją dłoń, polizał palce. Prawda, mój panie…

– Jeszcze tu kiedyś zajrzymy – obiecałem. – Będziesz mógł się nagadać.

Pies podskoczył w miejscu i pomknął do przodu. Aż za dobrze wiem, jak to jest być niemym, dlatego rozumiem psa.

– Jak oni tu żyją, Smo? – zapytał Mike.

Szedł przodem, lawirując między gałęziami. Rosły tutaj dziwaczne drzewa – gałęzie wyrastały z pnia niemal pod kątem prostym, wyciągając się do sąsiednich drzew i splatając ze sobą. Gdy próbowałem rozdzielić dwa zwinięte spiralnie konary, na palce kapnął gęsty, pomarańczowy sok. Wytarłem dłonie i dalej szedłem, nurkując pod gałęziami. Nie chciałem ich łamać. Nieprzyjemny las…

Jakby półżywa istota.

– Normalnie żyją. Chociaż ja nie zaryzykowałbym życia tutaj rzuciłem z roztargnieniem. Czułem czyjąś obecność. Czyżby to las tak działał na psychikę?

– Przecież nie mają ani krów, ani świń… Żadnych zwierząt!

– Zapomniałeś, że wieczorem jadłeś jajka? Kury mają.

– To za mało.

– Tutaj wszędzie są pola dzikiej pszenicy. Uprawiają je sobie spokojnie i wymieniają ziarno na mięso.

Za plecami cichutko trzasnęła gałązka. Zdjąłem automat z ramienia i usłyszałem głuchy głos:

– Stój, Smoku. Nie machaj skrzydełkami.

Mike też zastygł. Staliśmy, nie mając odwagi się odwrócić ani uskoczyć w bok. Zbyt dokładnie wyobraziłem sobie lufę, wycelowaną w moje plecy. A gdzie Książę? Czyżby znowu nic nie poczuł?

– Nareszcie wpadłeś w nasze ręce – kontynuował głos. – Związek Świętych Sióstr szukał cię od dawna, grzeszniku…

Z ulgą puściłem rękojeść automatu i wykrztusiłem:

– No, Rockwell… no, draniu… Zobaczysz, kiedyś oberwiesz kulkę za te twoje żarty.

Rockwell miał na sobie krótką futrzaną kamizelkę, a pod nią resztki podkoszulka. Włochate muskularne ręce mocno przycisnęły mnie do pachnącego potem i spalenizną ciała.

– Już dobrze, niedźwiedziu – powiedziałem, uwalniając się z jego objęć. – Gdzie cię tak podwędzili?

– A… są jeszcze miłośnicy przypalenia Smokowi łusek.

Rockwell obejrzał szybko Mike'a.

– A to kto?

– To, tego… – stropiłem się. – Kandydat.

Od razu stracił zainteresowanie.

– Chodź ze mną, Smo, czeka nas niespodzianka.

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Je-re-my. Jeremy! – powtórzył strasznym szeptem Rockwell. Wyobrażasz sobie? Wrócił! Idę za nim już drugi tydzień. Pamiętasz, jak on nas ganiał? Padnij-powstań nad kupą gówna? A ilu chłopców wykończył? Prawdziwych Smoków, bez najmniejszego powodu…

– Już go spotkałem, Rockwell.

– Jak to? I już… już po wszystkim?

Rockwell jakoś oklapł.

– Zapomnij o nim. Chyba z rok sienie widzieliśmy, Rockwell!

Gdzieś ty przepadł!

– Zabiłeś go? W moich rękach zdychałby pół dnia…

– Jego śmierć też była nie do pozazdroszczenia.

Krótko opowiedziałem o niedawnych wydarzeniach. Rockwell ożywił się na chwilę.

– Niezły żarcik, w twoim stylu. Co to za osiedle?

– Nic ciekawego. Żadnej ładnej dziewczyny. A ty skąd idziesz?

– Szedłem w górę Dopływu. Przeszedłem ze czterysta kilometrów…

– I jak tam jest?

Rockwell wzruszył ramionami.

– Jak wszędzie. Garnizony, farmy, klasztory…

– Naszych spotkałeś?

– Tak, głównie z nowych. A ze starych… Podobno Pit poluje w tych okolicach, ale go nie widziałem.

– Kłujący Pit. – Uśmiechnąłem się.

– Podobno stał się jeszcze bardziej kłujący.

– To chyba niemożliwe.

Rozmowa nie kleiła się. Mike stał z boku jak milczący cień, wiało od niego chłodem. Rockwell uśmiechnął się z wysiłkiem.

– A ty gdzie się wybierasz?

– W góry. Taki kaprys – skłamałem.

– W góry… Nieźle.

Z zarośli wyskoczył Książę i niespiesznie podszedł bliżej. Zapach Rockwella znał doskonale i nie zamierzał lecieć na złamanie karku.

– O, twoja psina. Ale wyrósł! Czym ty go karmisz?

Książę pchnął Rockwella pyskiem w brzuch, dając do zrozumienia, że go poznał.

– Teraz wielu naszych ma psy. Ale takiego nie widziałem.

– Bo takiego nikt nie ma. Czemu ty sobie nie weźmiesz psa?

– A, jakoś się nie składa… To mówisz, że do osiedla nie warto wstępować?

– Nic ciekawego – powtórzyłem. – To co, rozbijemy tu obóz?

Rockwell popatrzył na mnie zdumiony.

– Tutaj, cztery kilometry od klasztoru?

Od razu straciłem ochotę na popas w tym miejscu.

– Co to za klasztor?

– U Wrót Niebios. Nie wiedziałeś?

– Nie. Nie wiedziałem, że tak blisko.

Rockwell machnął ręką, wskazując kierunek.

– Tam jest wąwóz. Lepiej iść tamtędy, mniejsze ryzyko.

– Duży ten klasztor?

– Ze trzystu mnichów.

– Jasne.

Ale nic nie było jasne. A przede wszystkim nie wiedziałem, czy namawiać Rockwella, żeby poszedł z nami. Fajnie byłoby posłuchać opowieści o jego wyprawach, ale… Po pierwsze, wyglądałoby to na tchórzostwo – jakbym się bał sam przejść obok klasztoru. A po drugie… nasza wyprawa nie należała do takich, na które zaprasza się najlepszych nawet przyjaciół.

Z sytuacji wybawił mnie sam Rockwell.

– Masz jeszcze to stare legowisko, Smo?

– Tak.

– Mógłbym polować na twoich ziemiach ze dwa miesiące?

– Pewnie.

– Chcę wyruszyć nad morze, zobaczyć, co tam słychać… może coś nowego? Ale najpierw chciałem odpocząć.

Rockwell wyjął swój nóż, zwrócił ostrzem do mnie. Metal był tak wyszczerbiony, jakby rąbano nim stalowe pręty.

– Może przyłączysz się do mnie? Razem powędrujemy?

– Może… – Wzruszyłem ramionami.

– Super, będę na ciebie czekał ze dwa miesiące. Powodzenia.

Lekko trącił mnie w ramię, uśmiechnął się i poszedł w swoją stronę.

Przeszedł kilkanaście metrów, odwrócił się i zrobił nieokreślony gest pod adresem Mike'a albo Księcia.

Książę pisnął, co było oznaką szczególnej sympatii, a Mike pomachał ręką.

– Doceniam twoje poczucie humoru, Książę – odezwałem się. Ale następnym razem uprzedzaj mnie o przybyciu przyjaciół.

Mike rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Żal mi go.

– Zgłupiałeś? – spojrzałem na Mike'a jak na wariata. – Rockwell nie potrzebuje współczucia. Jest silniejszy nie tylko od ciebie, ale nawet ode mnie.

– Nie chodzi o to. To beznadziejny przypadek.

– Masz na myśli jego wygląd? To po prostu leń i niechluj. Już od dzieciństwa…

– Nie w tym rzecz! On po prostu nie wie, czym się zająć.

Wszystkie jego wyprawy wynikają z bezsilności. Zaczął zdaje się rozumieć, że wasza droga jest pomyłką…

– Daj spokój, Mike! Bycie Smokiem to sposób na przetrwanie.

Zło nie może być pomyłką, ono jest ponad losem. Leży u podstaw człowieka, w jego duszy. Gdy to uznasz, stajesz się Smokiem. A dla Smoka nie ma już zła, nie ma przeciwnego uczucia. Smok może postępować tak, jak chce, nie staje się przez to ani zły, ani… inny.

– Ciekawa filozofia. – Mike się uśmiechnął.

– Nic nie wiesz o życiu, szczeniaku! Co tu ma do rzeczy filozofia? Albo jesteś człowiekiem i musisz postępować zgodnie z zasadami moralnymi, albo Smokiem i wtedy kierujesz się własnymi pragnieniami. Ale życie jest sprytne, zmusza do zmiany zasad gry. Czarne staje się białe, a białe czerwone… W przeciwnym razie czeka cię śmierć. Ludzie żyją, stosując zmieniające się zasady, i wmawiają sobie, że tak grali zawsze. A dla nas, Smoków, zasady w ogóle nie istnieją. Mogłem zgwałcić wszystkie kobiety w tamtej wsi, mogłem spalić domy. A mogłem też oszczędzić. Nie jestem spętany regułami! To bardziej uczciwe, niż zmieniać się z każdym zimowym deszczem!

– Smo, nie masz racji! Ty też jesteś spętany zasadami…

– Nie, zaczekaj! Opowiem ci o jednym… chłopcu. Razem się wychowywaliśmy, był też pewien człowiek, Eldhaus. Ale nie o nim mowa. Nazywaliśmy tego chłopaka Jasnowłosy. Wiesz, on nawet nie

był jakimś złocistym blondynem, po prostu był jasny w środku.

I nienawidził okrucieństwa. Nie chciał zabijać. Gotów był każdemu pomóc. Ale musiał zostać Smokiem. Ciskał się, próbował nas przekonać… nie wyszło. Wtedy znienawidził tych, którzy stali się Smokami bez wahania. Tych, którzy nieśli w sobie, jak mu się zdawało, całe zło naszego świata. Próbował więc zlikwidować Smoki ich metodami… I został najstraszliwszym Smokiem tych lasów. Wymyślał najbardziej okrutne tortury, żeby przyłapać inne Smoki na przejawianiu zakazanych uczuć, na najmniejszych oznakach łagodności czy zrozumienia. A gdy ich na tym przyłapał, likwidował. Za to, że byli okrutni! Wpadł w błędne koło, ale nie widział tego. Nawet nie był Smokiem, pozostał człowiekiem, który znał zło i… to przeciwne uczucie.

– Zginął, prawda?

– Tak, zabiłem go.

– Nie o tym mówię. Zginął, próbując pokonać Smoki złem. Był skończony, gdy podjął taką decyzję.

– To tylko dowodzi, że to ja mam rację. Że to Smoki mają słuszność. Człowiek doszedł do zła od jego zaprzeczenia. Zło zawsze leży u podstaw.

– Nieprawda… – Mike odwrócił się, jakby zrozumiał, że spór ze mną nie ma sensu, i cicho dodał: – W każdym ludzkim sercu żyje smok. A jeśli go nie zabijesz, on zacznie zabijać ludzi wokół ciebie.

Ale najpierw… – Mike rzucił mi szybkie, przenikliwe spojrzenie… najpierw pożre twoje serce.

4. Klasztor u Wrót Niebios

Wąwóz znaleźliśmy nie od razu. Był wąski i gęsto porośnięty drzewami.

Jedynie na dnie ciągnął się pas otoczaków – w czasie zimowych deszczy albo wiosennych powodzi biegł tędy strumień, spływający z gór. Ja i Mike szliśmy po tych kamieniach, a Książę przedzierał się górą. W pobliżu klasztoru Braci Pana nie wolno tracić czujności nawet na chwilę.

– Wiesz, Smo, gdy ty rozprawiałeś się z bandytami, rozmawiałem z tą dziewczyną, Susie…

Dziewczyną? Popatrzyłem zdumiony na Mike'a.

– Okazuje się, że w osiedlu uważają ją za czarodziejkę. Umie leczyć choroby i przepowiadać przyszłość, a zwierzęta nigdy jej nie ruszają.

– Zgadzam się co do zwierząt.

– No i zapytałem ją o naszą przyszłość: czy dojdziemy do gór?

A ona powiedziała, że grozi nam niebezpieczeństwo bardzo blisko

celu.

– Każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, powie ci to samo. Na naszej drodze leży klasztor, a sam widziałeś, jak kochają nas Bracia Pana.

– Powiedziała też, że przedtem spotkasz w drodze starego przyjaciela.

Drgnąłem.

– Jeśli chciałeś, żebym uwierzył, należało mi o tym powiedzieć przed spotkaniem z Rockwellem.

Mike wzruszył ramionami.

– Nie kłamię, chociaż dziewczyna faktycznie trochę dziwna.

I ładna. – Uśmiechnął się.

Szedłem dalej bez słowa i dopiero po jakimś czasie zapytałem:

– Ile ona ma lat według ciebie?

– Co najmniej szesnaście… A co?

– I jest ładna?

Mike spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Taak… Udawała pień, żeby jej zębatki nie zjadły – powiedziałem sam do siebie. – A przy tratwie musiała się przełączyć na innego drapieżnika, dlatego rybki w końcu pogryzły czarodziejkę. Pień…

Zachichotałem. To nic, będzie okazja pogadać z nią w drodze powrotnej. Stuknąłem w bok zdumionego Mike'a.

– Co tak stoisz? W drogę!

Las zaczął rzednąć u podnóża gór. Przeszliśmy co najmniej trzydzieści kilometrów, wąwóz stał się szerszy i płytszy, drzew prawie nie było.

– Odpoczynek – zarządziłem.

Książę obiegł kilka podejrzanych pagórków nieopodal, wrócił do nas i zadowolony wyciągnął się u moich nóg. Razem z Mikiem w milczeniu gryźliśmy twarde, sprasowane płytki koncentratów.

– Zmęczony?

– Nie. – Mike pokręcił głową. – Najważniejsze, że jesteśmy już niedaleko i został tydzień w zapasie.

– Dlaczego tydzień?

– Muszę tam być przed szóstym lipca.

– No, no.

Otrząsnąłem dłonie i wstałem.

– Idziemy. Zanocujemy już w górach.

– Chodźmy.

Książę jak zwykle biegł przodem. Zaczęliśmy wspinaczkę po zboczu, żeby wydostać się z wąwozu. Mike zarzucił automat na plecy, żeby nie przeszkadzał, ja wygodniej ująłem broń. Jedna lufa zawsze musi być w pogotowiu – taka jest zasada. Przed nami coś zaszeleściło i

rozległ się skowyt Księcia – oszołomionego, stropionego. Podniosłem głowę, czując płynącą od niego falę strachu i bezradności.

Przed psem stało dwóch mężczyzn. Szare płaszcze falowały na lekkim wietrzyku, w fałdach szerokich rękawów połyskiwały krótkie automaty.

– Podnieście ręce i na ziemię, Smoki – powiedział jeden z nich bezbarwnym głosem.

– Podnieście ręce i na ziemię – odezwał się jak echo drugi.

– Może wystarczy, jeśli zrobimy jedną z tych rzeczy? – zapytałem głosem naiwnego idioty, gorączkowo oceniając sytuację.

Dzieliło mnie od nich pięć metrów. Książę stoi bliżej – ma ze trzy metry. Ale obaj mnisi trzymają nas na muszce, a pies zdoła przewrócić tylko jednego. Jego towarzysz rozstrzela nas, zanim łapa Księcia zmiażdży mu głowę. Strzelać samemu? Nie zdążę… a może zdążę? Mike może się uratować, ale mnie poszatkują…

Książę! Obu?

Jednego.

– Podnieście ręce.

Staliśmy z Mikiem ramię przy ramieniu – idealny cel. A przed nami zjeżone cielsko Księcia. Też dobry cel. Zacisnąłem zęby. Trzeba wybierać.

Ostatnia szansa zawsze wymaga ofiary. Wybacz, Książę…

Wstań na tylne łapy, przestrasz ich.

Książę odwrócił głowę i zobaczyłem jego oczy – wystraszone, błagalne…

Co ja mu kit wciskam, przecież on wszystko rozumie! Kogo próbuję oszukać – jego czy siebie?

Nie! Nie rób tego!

Za późno. Książę z rykiem uniósł się na tylnych łapach, przednimi zamachał w powietrzu. Bracia Pana otworzyli ogień – do niego albo do nas, ale to ciało psa przyjęło wszystkie kule. Upadłem na ziemię, strzelając do znienawidzonych szarych cieni, i widziałem, jak z Księcia lecą krwawe strzępy. Mój automat już zamilkł, skurczone, czerwono-szare postacie upadły na trawę, a Książę jeszcze stał chwiejnie i skomlał cicho, po szczenięcemu. Potem upadł.

O niczym nie myśląc, wstałem i podszedłem do niego.

– Książę! Piesku…

Obok odezwał się luger Mike'a, garść pustych łusek uderzyła mnie w nogę, ocknąłem się z odrętwienia. Przewróciłem się i stoczyłem do parowu. Za mną turlał się Mike.

– Tam… tam są ich dziesiątki… – wychrypiał.

– Szybko!

Zaczęliśmy biec. Odwróciłem się, zobaczyłem na brzegu parowu wyraźną sylwetkę i strzeliłem serią. Postać upadła.

Za ciebie, Książę…

Głos nie płynął z jakiegoś konkretnego miejsca, pewnie Bracia zdążyli umieścić głośniki wokół wzgórza, na którym zaległiśmy.

Bezcielesny, pozbawiony intonacji, wyprany z emocji głos.

– Smoki, wychodźcie. Rzućcie broń, walka jest bezcelowa. Zakon żąda od was pokory. Wyjdźcie, Smoki.

– A jeśli wyjdziemy? – zapytał Mike.

Leżeliśmy plecami do siebie. Niewielkie zagłębienie na szczycie wzgórza, jedyny okop, który jeszcze ratował nam życie. Otoczyli nas, więc musieliśmy zapaść tuż przed górami, na pagórkowatej równinie z rzadka porośniętej drzewami.

Pewnie specjalnie pędzili nas tutaj przez las, wiedząc, że do gór nie zdążymy dojść, a las, gdzie Smok może wydać walkę każdemu, już opuścimy.

– Jeśli wyjdziemy, zabiją nas w czasie pełni księżyca.

Po zboczu pobliskiego wzgórza pełzł szary cień. Snajper. Chce dojść na szczyt i ostrzelać nas z góry. Tylko czemu lezie na naszych oczach, idiota? Przymierzyłem się do strzału.

– Dlaczego w czasie pełni?

– Tego też nie wiesz? Pełnia księżyca to dzień oczyszczającej ofiary. Jeśli spalą nas razem z dzieckiem, nasze dusze oczyszczą się i trafią do raju. Oni nie życzą nam źle.

Plecy Mike'a drgnęły.

– Jakim dzieckiem?

– Farmerskim. Któryś z mnichów je wykradnie. Oczyszczają się tak podczas każdej pełni…

Krótka seria zatrzymała Brata Pana w połowie drogi. Ostatnim wysiłkiem rozrzucił ręce i znieruchomiał niczym szary krzyż. Może nawet specjalnie szedł pod kule? Wśród Braci krążyła legenda, że ginąc z rąk Smoka, zostaje się świętym.

Mike dał długą serię, nie celując.

– Nie świruj. Musimy dotrwać do nocy – powiedziałem, jakbym nie rozumiał, że wykurzą nas wcześniej.

– Myślałem, że oni… ale oni są jeszcze gorsi!

– Są. To ludzie – powiedziałem z satysfakcją.

W sporej odległości od wzgórza, poza zasięgiem mojego AK (a co dopiero lugera Mike'a), kręcili się Bracia Pana; było ich co najmniej trzydziestu.

– Mike, daj lornetkę.

Mike zaszeleścił plecakiem. Uniósł się nieco i od razu zaświstały nad nim kule. Nie ma co, dobrze nas pilnują.

– Trzymaj…

Ciężka lornetka drgnęła w moich palcach, gdy regulowałem ostrość.

Trzy kilometry od nas Bracia Pana ustawiali miotacze min. No, proszę. Nawet min dla Smoków nie pożałują.

– To już koniec, Mike.

– Co się stało?

– Mają miotacze min.

Głos, który nie przestawał wzywać nas do pokory, w końcu umilkł.

Zapadła cisza. Po jakimś czasie ten sam martwy głos powiedział:

– Smoki, macie kwadrans, żeby się poddać.

Niewidoczny spiker odchrząknął, psując całe wrażenie, wywołane grobowym tonem. Potem wreszcie zamilkł.

– Mike?

– No?

– Spróbuj wyjść. Jeśli udowodnisz, że nie jesteś Smokiem…

– Idź do diabła!

Roześmiałem się i powiedziałem:

– Nigdzie się nie wybieram. Pomyśl, umrzesz jako Smok…

– Na razie nie zamierzam umierać… – mruknął i zakrzątnął się przy bagażu. – Smo, muszę rozłożyć radiostację. Osłaniaj mnie…

O nic nie pytałem. Jeśli nawet chce zameldować bazie, że zaraz zginie, nie należało mu przeszkadzać. Posunąłem się, robiąc miejsce, a on wyciągał z plecaka radiostację. Odwróciłem się na plecy, odsunąłem automat jak najdalej i nacisnąłem spust. Nieskończenie długa seria zabębniła w uszy i automat umilkł. Zacząłem niespiesznie przeładowywać magazynek. Mike też położył się na plecach, powoli wyciągając antenę.

Cienki, teleskopowy pręt wydłużył się na półtora metra. Bracia chyba zauważyli odbłysk metalu, bo znowu zaświstały kule.

Odprężony popatrzyłem w niebo – w niską, szaroołowianą pokrywę chmur. Zdawało mi się, że gdybym podskoczył, mógłbym chwycić grząską, brudną watę. Chwycić, zawisnąć na niej i popłynąć razem z chmurami daleko, daleko, gdzie nie ma ani klasztorów, ani lasów, ani męczącej, beznadziejnej monotonii życia. Na jakieś małe tropikalne wysepki, których nikt nie zasypał rakietami, albo na antarktyczne lody…

Mike bez przerwy naciskał jakiś przycisk w radiostacji. Pewnie wbudowany mikroprocesor wysyłał zakodowany sygnał wywołania.

Niemal wbrew sobie odwróciłem się i popatrzyłem na chłopca.

Nie powinienem tego robić – na widok jego skupionych działań pojawiała się głupia, bezmyślna nadzieja na cud.

Na radiostacji płonęły maleńkie kolorowe lampki, podrygiwała strzałka, pokazując wydzielaną przez nadajnik energię.

– Tak! – krzyknął nagle Mike. – To ja!

Maleńkie dyski słuchawek szeptały, a może krzyczały coś, czego

nie słyszałem.

– Nie! Nie mogłem wcześniej! Nie, czasu jest mało… Park, park, przebiśnieg potrzebuje deszczu po okolicy! Bierzcie namiar!

Ulewny deszcz! Szybko! Tutaj jest bardzo, bardzo sucho!

Leżałem wciśnięty w chłodną ziemię i czułem się bardzo dziwnie.

Coś w słowach Mike'a, coś w jego głosie wywracało mnie na drugą stronę.

– A jeśli się uda, jeśli zdążycie… Na kwadrat 17 ER dajcie grad.

Orientowałem się już trochę w jego mapie – w kwadracie 17 ER znajdował się klasztor u Wrót Niebios.

– Ron… – Mike zachłysnął się. – Ron, tu jest okropnie. Po prostu strasznie, Ron, i bardzo… Nie, nie promieniowanie. Ron, postaram się. Dojdę i wyłączę ją… Ron… nie miałem innego wyjścia, nie chciałem cię zdradzać… To nie głupstwo! Chciałem sam… ale tutaj jest za sucho.

Zamilkł i już innym głosem powiedział:

– Park, przebiśnieg zrozumiał. Ulewny deszcz na namiar, grad na kwadrat 17 ER. Odliczanie dziesięć sekund, czas dotarcia szesnaście… Szczelność uderzenia w promieniu pięćdziesięciu pięciu tysięcy metrów maksymalna. Sześć… pięć… cztery… trzy… dwa… jeden… zero. Deszcz poszedł, zrozumiałem. Żegnaj, Ron!

Mike odrzucił radiostację, jak wyrzuca się miotacz ognia, w którym skończył się ładunek i którego już nigdy nie da się uruchomić.

– Smo, otwórz usta, żeby ci bębenki nie popękały… I skul się, żeby nie drasnęło. Niech nam Bóg pomoże!

W irracjonalnym przerażeniu złapałem śliski, gładki materiał kombinezonu Mike'a. Poczułem, że i on przytula się do mnie. Obaj baliśmy się tak samo na tej szarej ziemi pod szarym niebem…

Z nieba napłynął narastający huk. Czyżby klasztorne miotacze min? Nie, one brzmią inaczej…

W szarych chmurach pojawił się rozbłysk, potem drugi, trzeci… Błyski dziurawiły chmury niczym gwiazdy i szybko spadały na ziemię. Zacząłem krzyczeć, ale nie usłyszałem własnego krzyku.

Setki, tysiące świecących punktów leciało pod chmurami, spadało na nas. Gigantyczny ognisty krąg… Nie, raczej pierścień. A w tym pierścieniu otwór – maleńki krążek szarego nieba tuż nad naszymi głowami.

Zdążyłem jeszcze dostrzec pod każdym ognikiem cień i połyskliwy obłok spadł na ziemię. Zakołysało nami, jakby waliły się góry, wokół wzniosły się ogniste, purpurowe ściany. Wydawało się, że płonie nawet powietrze. Fale ciemnego płomienia przesunęły się nad wzgórzem i ciężkie uderzenie od wybuchu kasetowych głowic bojowych zanurzyło mnie w mroku nieświadomości, przesunęło się po ciele jak rozpalona powietrzna prasa…

Ból w ramieniu zmusił mnie do otwarcia oczu. Mike ciągnął mnie za ręce po śliskim, gorącym popiele, a każdy ruch sprawiał ból. Jego twarz wyglądała jak maska z sadzy i krwi, tylko oczy pozostały żywe. Na szyi Mike'a kołysały się dwa automaty, mój AK i jego luger. Chciałem mu powiedzieć, że mój automat może już wyrzucić, ale nie miałem sił.

Wtedy spojrzałem w górę.

Rozerwane, poszarpane chmury rozpraszały się powoli, jak przezroczysta mgiełka. Na twarzy osiadała wilgoć, a za rzednącymi chmurami pojawiło się niebo – ciemnoniebieskie, aż granatowe, wieczorne. A nad horyzontem, na samej krawędzi prześwitu w chmurach złocił się oślepiający brzeżek słońca. Jego światło dotknęło poparzonej skóry, spiąłem się, ale ból nie przyszedł. W powietrzu wypełnionym parującą wilgocią płonęła jasna tęcza, jakby namalowana śmiałymi pociągnięciami pędzla; ciągnęła się od martwej, wypalonej pustyni aż do gór. Góry stały spokojne i niewzruszone, tylko śnieg na szczytach połyskiwał niebieskawym chłodem.

– Mike, niebo – wykrztusiłem.

Czułem, że niedługo prześwit zniknie. Mike musi popatrzeć, przecież nigdy nie widział nieba.

Nie usłyszałem swoich słów, Mike pewnie też ich nie słyszał.

W uszach miałem nieprzerwany huk. Krzywiąc się z wysiłku, chłopiec nachylił się do mnie i widząc mój błagalny wzrok, spojrzał w górę. I upadł na czarny popiół obok mnie.

Leżeliśmy pod błękitnym niebem, jakiego nie było nad ziemią od dwudziestu lat. Wysoko, wysoko, nad przeklętą szarą zasłoną, ponad pyłem i sadzą płynęły białe kłaczki obłoków – prawdziwych, dawnych obłoków.

Patrzyłem na ich różowe, podbarwione słońcem brzegi i myślałem o tym, że wyobrażając sobie niebo, zawsze widziałem je bez obłoków. Po prostu zapomniałem o ich istnieniu, wydawało mi się, że na niebie, które się kiedyś pojawi, nie będzie nic prócz błękitu.

A potem straciłem przytomność.

5. Odłożona Zemsta

Ciemność niosła mnie jak łagodna, ciepła morska fala.

Nie chciałem się z niej wynurzać. Bolała mnie twarz i ręce, ale ból wydawał się przygłuszony. Gdy próbowałem coś sobie przypomnieć, z pamięci wyłaniała się ściana ognia i cofałem się w obawie przed własnymi wspomnieniami. Świat ciemności był łagodny i spokojny, umysł otulała zasłona gorączki. Za tą kotarą przyczaił się ból, czułem to i nie chciałem się budzić. Ale z zewnątrz, ze słodkiej mgły, z

rozpalonego świata, w którym było cierpienie, ruch i oślepiająca jasność, wołał mnie jakiś głos.

Minęły całe wieki, nim zdołałem zrozumieć słowa.

– Jack… Jackie… Obudź się…

Wołali mnie. Co się stało? Dlaczego jestem tutaj, w ciemności?

Przecież pamiętam gorące światło. Światło… Wagon zalany światłem. Twarz miss Chais, naszej nauczycielki, biała twarz, każda zmarszczka widoczna tak wyraźnie, jakby wykuto ją w metalu. Wagon szarpie, spadam… a nade mną krzyk i światło, i palący żar, i nieznośny strach. Chcę krzyczeć i nie mogę…

– Jackie…

Była katastrofa, to pewne. Pociąg się wykoleił… albo terroryści podłożyli bombę w wagonie. Zawsze starają się podłożyć bombę tam, gdzie jest dużo dzieci, a w wagonie jechały dwie klasy – nasza i ta, do której chodził Rockwell.

Skąd znam jego imię? Przecież ze sobą nie rozmawialiśmy…

Nie, to wszystko brednie, jestem ranny i leżę w szpitalu. Ale przecież słyszę, że ktoś mnie woła. To znaczy, że wszystko dobrze…

– Ocknij się, Jackie…

To tata. A więc przyleciał z Europy… A przecież mają tam teraz dużo pracy. Ostatni reportaż taty – miss Chais czytała go nam w hotelu, gdy przyjechaliśmy na nocleg – donosił, że dzieje się coś niezwykłego. Nasz prezydent dogadał się z rosyjskim, żeby zniszczyć ostatnie rakiety atomowe. Miss Chais powiedziała, że wielu osobom się to nie spodoba…

– Słyszysz mnie, Jack?

– Tak…

Teraz słowa przychodzą z łatwością, najtrudniej wymówić pierwsze.

– Słyszę. Na razie sobie polezę, nie będę otwierał oczu, dobrze?

Cisza. Może powinienem otworzyć oczy?

– Oczywiście. Dojdź do siebie.

– Już doszedłem.

W głowie wirują jakieś obrazy, realne i fantastyczne.

– Miałem taki ciekawy sen… Tylko trochę straszny. Będziesz zły, znowu powiesz, że naoglądałem się filmów na kablówce, a to nieprawda. Przyśniło mi się, że była wojna jądrowa. A przecież wojny nie będzie, prezydenci się dogadali, prawda? Wojny nigdy nie będzie… a mnie się śniło, że na niebie są wieczne chmury i w ogóle nie widać słońca. Wszystko porosło lasem, rudym lasem, drzewa wyglądały jak oblane wrzątkiem. I jeszcze pająki… wielkie, ohydne. A ja biegałem po tym lesie z automatem… Zabawne, automat był rosyjski. Są tam bardzo poszukiwane… to znaczy były, bo to przecież sen… Sen minął, prawda?

Cisza, jakby w ogóle nikogo nie było.

– Mów coś, bo sen wraca i wtedy się boję… Nie milcz!

– Nie milczę.

– Wiesz, strasznie mi wstyd. Przecież chciałeś, żebym był odważny. Ty nigdy nie tchórzyłeś, nawet w Iranie… I w tamtej republice, w której jest wojna. A ja okazałem się takim tchórzem. Zabijałem z tchórzostwa. Tak paskudnie wyszło. Błędne koło, jak taśma na cekaemie. To ty opowiadałeś mi o cekaemie? Tak? No, powiedz coś! Ty?

– Nie pamiętam.

– Przecież o nim nie wiedziałem… Wymyśliłem to, tak? No, powiedz coś, tato! Otworzę oczy! Powiedz! Boję się. Boję się, że otworzę oczy i okaże się, że to nie był sen! I nikogo nie będzie obok mnie, tylko Mike, a on mnie nienawidzi. A ja nie mogę go zrozumieć… Powiedz coś! Boję się! No, powiedz, że to był sen, sen, sen!

Krzyczałem, słysząc własny głos – dorosły, męski głos, znacznie mocniejszy niż ten, który brałem za głos ojca. Mike siedział przede mną, zaciskając palce na swojej szyi, jakby chciał się udusić.

– Bredziłem? Co za głupoty…

Wokół panował półmrok. Na twarzy Mike'a widać było odbłyski ogniska, usłyszałem trzask płonących gałązek. Mike podrzucił wilgotne, dlatego tak dymi. Trzeba brać te z dołu, są suche. I dają więcej ciepła.

– Jesteś głodny?

– Tak.

Mike pochylił się, przysuwając kubek do moich ust. Upiłem łyk: bulion z koncentratu.

– Poparzyło ci twarz, ale nie bardzo, nie ma bąbli. Palce też są trochę poparzone…

– A ramię?

Bolało mnie lewę ramię, nad łopatką.

– Odłamek. Wyciągnąłem go, już zaczyna się goić.

– Długo leżałem?

– Trzy dni.

Cisza.

– A co z tobą?

– Głupstwo. Też oparzenia twarzy… ale niezbyt mocne.

Spojrzałem na ognisko, odwróciłem wzrok.

– Co to było, Mike?

– Pocisk rakietowy – mówił z przerwami, dobierając słowa. Atak pierścieniowy z naprowadzaniem na radiostację. Kasetowe pociski odłamkowo-napalmowe. To moi przyjaciele z bazy…

– Nie ma baz z rakietami – powiedziałem z uporem.

– Są, Jack.

– Jak mnie nazwałeś?

Znowu cisza. W końcu Mike powiedział:

– Jutro muszę ruszyć, bo inaczej nie zdążę. Dasz radę? To niedaleko, bliżej niż myślałem.

– Pomóż mi. – Spróbowałem usiąść, ku mojemu zdumieniu poszło łatwo. – Dam radę – powiedziałem twardo.

– W takim razie kładźmy się spać. Jestem strasznie zmęczony.

Skinąłem głową.

– A gdzie jesteśmy? – zapytałem.

– W jaskini. To w górach, pięć kilometrów… od tamtego miejsca. Do celu najwyżej dwadzieścia.

Mike położył się obok mnie. Wymacałem kubek, wypiłem jeszcze kilka łyków.

– Jaki jest nasz cel?

Milczał tak długo, że już miałem powtórzyć pytanie.

– Baza rakietowa Odłożona Zemsta.

Gdybym był w formie, ostatni odcinek drogi nie stanowiłby żadnego problemu, ale teraz zajął nam cały dzień. Nie musieliśmy wprawdzie wspinać się na strome szczyty czy schodzić do przepaści, szliśmy głównie po przedgórzu, ale ramię dawało o sobie znać.

Nie mogłem podciągnąć się na lewej ręce ani mocno przytrzymać, poza tym bolały poparzone dłonie. Gdy razem z Mikiem przedzieraliśmy się przez osypisko, zdradziecko okrągłe kamienie rozbiegły mi się pod nogami i upadłem. Uderzyłem się dokładnie w bolące ramię. Ból, który przedtem skurczył się w jeden mały punkt, teraz powrócił, chłoszcząc ciało ognistą sprężyną. Jęknąłem i zamarłem, bojąc się poruszyć. Poczułem na swojej twarzy dłonie Mike'a.

– Zrobić ci zastrzyk?

Pokręciłem głową.

– Po cholerę mnie ze sobą ciągniesz? – spytałem. – Doszedłbyś już dawno…

– Przecież obiecałem ci karabiny i naboje…

Najpierw zachciało mi się śmiać. Potem pomyślałem, że on ma bardzo konkretny kodeks moralny i nie uspokoi się, dopóki nie wręczy mi tych cekaemów.

– Mike… To, że nie nadajesz się na Smoka, zrozumiałem już dawno. Ale tak jak ty nie postępują nawet ludzie. Każdy inny w najlepszym razie zostawiłby mnie w jaskini. W najgorszym porzucił na wzgórzu, wsadzając kilka kul dla porządku.

– Ja nie jestem „każdy inny". Chodźmy, jesteśmy prawie na miejscu.

– Byłeś tu już kiedyś?

– Nie.

– To skąd wiesz?

Mike bez słowa dotknął lewego ramienia.

– Też masz coś wszyte? Dużo w tobie tego złomu?

– Nic więcej nie ma – odpowiedział poważnie. – Pod skórą umieścili tylko niezbędne rzeczy, bez których nie mógłbym się obejść. Tu mam uniwersalny klucz, już zadziałał, a to znaczy, że jesteśmy w pobliżu bazy. Gdyby komputer nie przyjął sygnału, rozstrzelałyby nas automaty.

Poczułem chłód.

– Co za komputery? Jakie automaty? Dwadzieścia lat po wojnie?! Jeśli była tu jakaś baza rakietowa, już dawno się rozpadła!

– Idziemy. To gdzieś przy tych skałach.

Nawet ze mną nie dyskutował. Powlokłem się za Mikiem jak zbity pies. Przy skałach nie było nic. Nawet szopę trudno byłoby tu zmieścić, co dopiero bazę rakietową. Pionowe głazy, wąskie odłamki granitu, które spadły z góry, sterty mniejszych kamieni…

– Mike, czy tutaj był wybuch?

– Nie, pięć kilometrów dalej. Rosjanie wiedzieli o istnieniu bazy, ale nie mogli zasypać rakietami wszystkich wyjść zapasowych.

Mike zatrzymał się i rozejrzał z roztargnieniem.

– To tutaj – powiedział wreszcie. – Widziałem zdjęcia stereoskopowe. Poczekajmy, mechanizmy mogą być uszkodzone, wówczas wejście otworzy się nie od razu…

Sterta leżąca pięć metrów od nas poruszyła się, pod nasze nogi potoczył się okrągły jak jajko kamień. Ze sterty uniosły się pod kątem dwie szerokie, betonowe płyty, z których spadały miniaturowe lawiny.

Kilka sekund później ukazał się przed nami ciemny kwadrat otworu, ograniczony z obu stron postawionymi na sztorc płytami.

– Prawie jak w domu… – powiedział półgłosem Mike.

– Wychowałeś się pod ziemią? – To zabrzmiało jak stwierdzenie.

Mike skinął głową.

– Rezerwa-6 to baza podziemna.

Centrum sterowania w sytuacjach krytycznych, zwane potocznie bazą Rezerwa-6, stworzono dla członków rządu, dowództwa armii oraz ich rodzin. Umieszczona w krasowych jaskiniach na głębokości pięciuset metrów, baza wytrzymała trzy wybuchy termojądrowe, nie ponosząc większej szkody. Zasypało jedynie wyjścia i przewody powietrzne, ale to nie stanowiło zagrożenia. Niczym statek kosmiczny, centrum dysponowało zamkniętym systemem, tworzącym warunki umożliwiające egzystencję człowieka. Dwa reaktory atomowe zaopatrywały bazę w energię, ogromne podziemne jezioro w wodę. Był tylko jeden szkopuł: w zaistniałej sytuacji krytycznej nie było kim kierować – nieliczne ocalałe garnizony powoli konały. Załoga jednego

z okrętów podwodnych, z którą udało się połączyć, przestroiła bloki sterowania rakiet i wypuściła pozostałe tridenty w bazę. Rezerwa-6 wytrzymała również i to, zwłaszcza że precyzja trafień była dość niska, ale próby kontynuowania wojny zostały przerwane.

Podstawowe zadanie polegało na odrodzeniu państwa. Oczywiście, nie od razu… za jakiś czas, gdy zmniejszy się promieniowanie i rozsunie pokrywa chmur…

– Mike – zapytałem – nigdy nie próbowaliście wyjść na powierzchnię?

– Próbowaliśmy. Trzy lata po wojnie, gdy opadł poziom promieniowania i skończyła się zima.

– No i co?

– Nam… tym, którzy wyszli, nie spodobało się.

Z prób utrzymania się w dżungli centrum zrezygnowało po zaginięciu trzeciej grupy zwiadowczej. Pierwsza zginęła w starciu z personelem bazy wojsk przeciwpancernych. Drugą zlikwidował Smok Harper – chudy, krótkowzroczny chłopak o odruchach sadysty. Opowiadał nawet Smo o zdumiewająco dobrze wyposażonym oddziale przygłupów.

Trzecia grupa ruszyła w las, najeżona miotaczami ognia i wszelką bronią. Sześciu szeregowców z sierżantem Bori spaliło farmę w Krzywym Parowie (mieszkańcy strzelali ze śrutówek do szturmujących bramy komandosów), siedmiu Prawdziwie Wierzących (zwykła zasadzka na wrogów sekty) i ponad sześćdziesiąt pająków (żołnierze nie wątpili w ich krwiożerczość). Grupa przesłuchała też i rozstrzelała Smoka Czarnego Sama (drugie pokolenie Smoków, przed śmiercią krzyczał: „Przecież powinniście się mnie bać!”) i kapitana Benneta z nadrzecznego garnizonu (były projektant, jeden z ośmiu kapitanów w garnizonie złożonym z siedemdziesięciu ludzi).

W ostatnim swoim doniesieniu sierżant meldował o zamiarze zatrzymania czterech ludzi, którzy urządzili postój w lesie.

Karabin maszynowy sierżanta Borna służył uciekającemu przed Smokami Jeremy’emu ponad siedem lat…

Mike długo wduszał przyciski przed drugimi drzwiami, ale drzwi nie chciały ustąpić. Zostaliśmy wpuszczeni jedynie do pierwszego pomieszczenia bazy – wąskiego betonowego pokoju ze stalowymi szafami w ścianach i neonowymi panelami na suficie.

– Zaczekamy – zdecydował Mike. – Baza jest w trakcie konserwacji, do pomieszczeń wpuszczono dwutlenek węgla… w celach przeciwpożarowych – wyjaśnił.

W milczeniu oglądałem pokój.

– Co tutaj było?

– Przejście. Śluza przed wyjściem w skażoną atmosferę.

Mike podszedł do jednej z szaf. Przystawił lufę automatu do

wąskiej szczeliny, odwrócił się… Spod lufy trysnęła fontanna metalowych drzazg.

Drzwiczki nie drgnęły. Mike podważył brzeg nożem, nacisnął mocniej.

– Złamiesz – ostrzegłem.

– Mam to gdzieś – odparł wesoło Mike.

Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym zgrzytem. Rzeczywiście, dobrze zrobił… w szafie leżały takie rzeczy, że na sam ich widok zapomniałem o bólu i męczącej drodze.

Kombinezon. Nie taki jak Mike'a, grubszy i z przezroczystym hełmem – chroniący przed promieniowaniem. Radiostacja. Dozymetr. Jakieś torebeczki na pasie. I broń – erkaem z pofałdowaną tarczą magazynka, pistolet, gruba rura kapsułowego miotacza ognia.

– Bierz – powiedział po prostu Mike. – Otwórz inne szafy. Tylko że wszystkie są standardowe…

– I co, nikogo tu nie ma? – spytałem głupio.

– Nikogo. To automatyczna baza, w wypadku konfliktu jądrowego garnizon miał obowiązek ją opuścić.

– Opuścić?

Wziąłem pistolet, wyjąłem magazynek, zajrzałem – żółciły się w nim naboje. Broń nie została uszkodzona i była gotowa do zabijania. Przeżyła swoich właścicieli i trafiła do mnie.

– Powiedz, Mike, po co chciałeś tu przyjść?

Znowu nacisnął guzik wewnętrznych drzwi. Bez rezultatu.

– Żeby zatrzymać zegar, Jack.

W bazie Rezerwa-6 znajdowały się dwie biblioteki, trzy baseny, ośrodek sportowy i bary. Mieszkańcy mieli dostęp do naturalnych jaskiń, ciągnących się setki metrów w dół, oranżerii, skopiowanej z projektowanego statku marsjańskiego, i obliczonych na wiele lat magazynów. Tam dało się żyć, więc ekssenatorowie i eksgenerałowie zaczęli żyć. Żyć i czekać, aż na powierzchni rozwieją się chmury. W bazie był również szpital i zaczęły się tam rodzić dzieci…

Jednym z pierwszych był Mike.

– Widzisz, komputer nadal działa – wyjaśnił Mike, gdy we wnętrzu bazy wentylatory wypompowywały gaz z korytarzy. – Dokładnie dwadzieścia lat po wojnie miał wydać polecenie ataku jądrowego na Rosję.

– Po co?

– Odłożona Zemsta. – Mike wzruszył ramionami. – Nasi rodzice nie mieli wątpliwości, że agresorami byli Rosjanie, i chcieli się zemścić nawet zza grobu.

– A kto zaczął wojnę? My?

Mike skrzywił się.

– W tym cała rzecz, że nie. Pewne małe państewko, które nie

lubiło ani nas, ani Rosjan, ale już umiało produkować rakiety. Uważali, że ich wojna nie obejmie. Idioci…

– I co chcesz teraz zrobić?

– Wyłączyć komputer, jeśli się uda. A jeśli nie, zgasić reaktor.

Zapasowe baterie szwankują od dawna, a po przerwaniu dopływu energii wszystko stanie.

– Dlaczego wysłali właśnie ciebie? Gdybyś nie trafił na mnie, zębatki pożarłyby cię jeszcze w Wielkiej Rzece.

– Poszedłem w tajemnicy. Było nas tylko siedmiu, Jack, siedmiu, którzy postanowili naprawić błąd. Ron dyżurował przy pulpicie rakietowym naszej bazy, a teraz pewnie trafił pod sąd. Może go nawet rozstrzelają. Salwa zdemaskowała Rezerwę-6, a prezydent nam tego nie wybaczy.

– Prezydent?

Mike uśmiechnął się niewesoło.

– Nie tamten, nie prawdziwy. Zastępca ministra obrony, dowodzi bazą. Wszyscy go tak nazywają. Do licha z nim! Teraz najważniejsze jest powstrzymanie rakiet. Jest ich tutaj szesnaście.

– Nawet jeśli nie oni zaczęli wojnę, to walczyliśmy z nimi. Po co się tu pchałeś? Dlaczego szedłeś przez las, pod kulami? Rosja jest daleko. Niech sobie leci te twoje szesnaście rakiet.

Twarz Mike'a skamieniała, wzrok stał się ostry i wściekły.

– Jeszcze ci mało, Jack? Mało ci tego, co już się stało? Tam jest nie lepiej niż u nas, więc czemu mamy wysyłać na nich to jądrowe draństwo! Podoba ci się szare niebo? Lubisz pająki? Albo tych drani z klasztorów? Ci, którzy to zaczęli, mieszkają w schronach, nie martw się, tam jest całkiem nieźle! Lepiej im się tam żyje niż tobie tutaj! Czemu mówisz tak jak oni? Musimy przeżyć, po prostu przeżyć, wszyscy razem. Może wtedy zmądrzejemy…

– Leją na to. Jestem Smokiem! Smokiem! – wrzasnąłem na Mike'a. – Nie pamiętam już innego świata! Żyję w tych lasach i będę żył dalej!

– Nie kłam, Jack! Pamiętasz! I wcale nie jesteś Smokiem! Jesteś dobry!

Słowa ugrzęzły mi w gardle.

– Co ty pleciesz… ja… Na mnie nigdy nie obsycha ludzka krew!

Pożerałem wrogów jak pieczone kurczaki! Jestem potworem! – Zatrząsł mną histeryczny śmiech. – Mike, zbawca Rosji… Zastrzel mnie, a przyniesiesz ludziom więcej pożytku. Jestem gorszy niż jakiekolwiek zwierzę! Zanim zdechnę, jeszcze wszystkim pokażę… Bierz!

Podałem mu pistolet, nie zauważając teatralności tego gestu na szyi Mike'a wisiał przecież luger.

– Nie zamierzam do ciebie strzelać.

– A jeśli ja… jeśli strzelę do ciebie? Wiesz, co powiedziałeś?

Nazwałeś Smoka dobrym! Za to należy się śmierć!

Mike popatrzył spokojnie na pistolet.

– Wiesz co, Smo? Zabij mnie trochę później. Jeśli rzeczywiście musisz.

Znowu dotknął klawisza w ścianie. Tym razem drzwi drgnęły, coś zahuczało w podłodze. Zza odsuwających się skrzydeł buchnęło chłodem. Oświetlony nielicznymi lampami korytarz schodził w dół.

– Stój! – Zrobiłem krok w stronę Mike'a. – Pójdziemy razem.

Jeszcze nie miałem okazji… zabijać komputerów.

Mike popatrzył na mnie poważnie.

– Nie. Wybacz, Jack. Na pierwszym zakręcie rozstrzelałby cię automatyczny karabin.

– A ciebie?

– Mnie rozpozna. – Pokazał na swoje ramię.

Korytarz patrzył na nas ciemną, bezdenną źrenicą.

– Nie – powiedziałem cicho. – Nie puszczę cię samego. Nie wrócisz, czuję to… Opamiętaj się, połowa rakiet już dawno zardzewiała!

– Jeśli została choć jedna, trzeba iść.

Pociągnąłem go za rękę.

– Mike! Pomyśl o czymś innym… a jeśli u nich została podobna baza? I ona odpowie?

– To niczego nie zmienia! – krzyknął Mike i wyrwał mi rękę. Rozliczyłem się z tobą, Smoku? Jesteśmy kwita? To zostaw mnie!

Spadaj do swojego lasu!

Zrobił krok w ciemność.

– Mike… – Zamarłem na progu. – Poczekam tu na ciebie. Słyszysz? Nudno będzie wracać samemu…

Przez chwilę trwała cisza, potem usłyszałem głos chłopca:

– Dobrze, Jack. Postaram się nie siedzieć tam zbyt długo.

I ruszył w półmrok korytarza.

6. Powrót do siebie

Czekałem bardzo długo. Już dawno się ściemniło i betonowy grobowiec rozświetlało jedynie mżenie lamp elektrycznych. Światło wydawało się martwe, ale może to tylko ja się od niego odzwyczaiłem… Z nudów zacząłem otwierać wszystkie szafy po kolei. Układałem na podłodze kombinezony i plecaki, automaty i apteczki, naboje w magazynkach i gładkie cylindry granatów. Zajęty segregowaniem tych skarbów, nie od razu spostrzegłem, że światło przygasa.

Wyjrzałem na korytarz, ale nic nie zobaczyłem. Panowała tam

ciemność, gęsta jak stojąca woda.

– Mike!

Mój głos ugrzązł w ciemności, korytarz wessał go w wyłożone plastikiem ściany.

– Mike!

Zanurzałem się w mrok powoli, krok po kroku, potem przyspieszyłem, wyciągając przed siebie ręce. W takich ciemnościach łatwo sobie rozbić głowę.

Za pierwszym zakrętem potknąłem się o coś miękkiego. Pochyliłem się, palce natrafiły na śliski materiał kombinezonu desantowego.

– Mike! Co z tobą?

Jęknął cicho. Przesunąłem dłonią po jego twarzy – była mokra.

Krew? Został ranny? Ale to nic, to głupstwo, nie to najstraszniejsze, co mogło się zdarzyć.

– Szczeniaku, no, szczeniaku… Przecież mówiłem, że nie powinieneś tam iść sam… – szeptałem, niosąc Mike'a do wyjścia.

Światło zgasło już nawet w śluzie.

– Zaraz, Mike… zaraz zobaczymy – mamrotałem, kładąc go przy otwartym luku. Skoczyłem do tyłu, znalazłem po omacku dwa miotacze ognia, wróciłem na powierzchnię. Ciemności panowały absolutne – przez szczelne chmury nie przebijał się ani księżyc, ani gwiazdy. Skały były chyba bardziej po prawej…

Z odległości dziesięciu metrów wystrzeliłem w skałę dwie kapsuły.

Gdy zapłonął oślepiająco biały ogień, odwróciłem się do Mike'a.

Na twarzy miał nie krew, lecz wymiociny. Tak szybko człowiek zaczyna wymiotować jedynie po śmiertelnej dawce promieniowania…

– Mike… Dlaczego?

Niespodziewanie otworzył oczy i wyraźnie powiedział:

– To reaktor.

– Boli cię?

– Ramię… czujnik… kłuje. Tutaj jest promieniowanie? Jesteśmy w środku?

– Nie…

– Więc to ja… promieniuję. Odsuń się.

– Coś ty, Mike…

– Tam jest taki głupi system, trzeba przejść przez gorącą strefę.

Nie ma innej drogi… Odsuń się, bo cię napromieniuje…

– A komputer?

– Nie można go zatrzymać… Wiedzieliśmy o tym, dlatego szedłem właśnie do reaktora. To była jedyna szansa… Odsuń się, bo cię zabije…

– Wiedziałeś wcześniej?

Ogień zaczął gasnąć i twarz Mike'a pogrążała się w ciemności.

– Oni nie są ciebie warci! Nie są warci!

– Skąd wiesz? Może tam, właśnie teraz… ich rosyjski Mike… zatrzymuje swoje rakiety… wszystko się powtarza… i zło, i dobro…

Zamilkł. A potem wyraźnie powiedział:

– Jesteś dobry. Zostań człowiekiem, Smo…

W tamtym miejscu nie dało się wykopać grobu. Obłożyłem ciało Mike'a kamieniami i na jednym z nich, u wezgłowia, wydrapałem imię. Gdy położyłem na wierzchu luger, poczułem mdłości.

Płynąłem w purpurowej mgle. Czerwone drzewa szeleściły czarnymi liśćmi, kołysząc się wokół mnie. Czasem podkradały się bardzo blisko, wsłuchując się w moje kroki, czasem odsuwały się przestraszone. Czego się boją? Przecież jestem Smokiem. Nie krzywdzę drzew i traw, nie zrywam kwiatów. Jestem Smokiem…

Dreszcze wstrząsały piersią z każdym uderzeniem serca. Już zapomniałem, jak bije… A serce waliło szybko, w napięciu, jakby wbiegając po schodach, coraz wyżej, coraz wyżej. Co jest tam, na górze? Przepaść? Drzwi?

W pewnej chwili przyłapałem się na tym, że klęczę i trę policzkiem o osypującą się korę sosny. Purpurowa mgła odsunęła się i odczułem ulgę. Potem zdarzyło mi się to jeszcze kilka razy, ale nie bałem się. Ale kiedy przy ustach zobaczyłem własną rękę, a w niej wodę, a w wodzie zielonkawe, wodniste larwy, wtedy się przestraszyłem. Wylałem wodę i odszedłem od śmiercionośnej kałuży, daremnie próbując sobie przypomnieć, czy zdążyłem się z niej napić…

Na drugi czy trzeci dzień poczułem się całkiem nieźle. Mgła zniknęła, w głowie się przejaśniło, jedynie słabość nie przechodziła.

Rozpaliłem ognisko, rozwiesiłem wokół niego przemoczone ubranie. Pot wysychał, zostawiając na materiale białe wzory. Zacząłem grzebać w plecaku i wtedy natrafiłem na pistolet Mike'a…

Wyłem i tarzałem się po ziemi, dopóki nie trafiłem rękaw ogień.

A potem usiadłem i płakałem. Pistolet spoczywał obok mojej ręki.

Odżywały wspomnienia… Przypomniałem sobie ciężar rękojeści w dłoni, sprężystość spustu…

Zerwałem się z okrzykiem: „Nic z tego!", a potem długo wytrząsałem magazynek pistoletu w ogień. Naboje wybuchały pod moimi nogami, rozbryzgiwały się iskry i polana, ale wiedziałem, że kule mnie nie trafią. Gdy zacząłem się ubierać, wróciła purpurowa mgła. Zwymiotowałem w ogień.

…Szli brzegiem rzeki. Skąd tu rzeka? Musiałem zabłądzić…

A może to już Prawy Dopływ? Padłem na trawę, ręce same ściągnęły automat z ramienia. Usłyszałem szczęk zamka, poczułem dotyk kolby.

Smoki umierają w boju. Będę strzelał, chociaż jestem chory…

będę strzelał, nawet jak będę martwy. Dopóki skóra na moich dłoniach nie zamieni się w popiół, palce odnajdą spust. Jestem Smokiem! A trójka obcych już do mnie szła. Zatrzymali się, zrobili jeszcze jeden krok… Nie, nie umrę! Zabiję ich i napiję się gorącej krwi.

Albo po prostu zabiję. I wrócę do swojego lasu.

Palce spoczęły na spuście. Jeszcze chwila…

– Zostań człowiekiem, Smo…

Przecież on nie żyje! Dlaczego słyszę jego głos? On nie żyje!

– Zostań człowiekiem, Smo…

Automat wysunął mi się z rąk. Zamknąłem oczy. Jak dobrze…

Kroki były coraz bliżej. Czyje to kroki? Ktoś podniósł automat, przewrócił mnie na plecy…

– To dobry Smok… Dobry Smok! A wy nie wierzyliście!

Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie słyszałem ten dziecięcy jeszcze głos. Ostrożnie podniesiono mnie z ziemi, położono na czymś, zaczęto nieść. Czyjaś ręka gładziła mnie po twarzy.

Dlaczego oni wszyscy mają dłonie Mike'a? Otworzyłem powieki i zobaczyłem brzeg zrobionych ręcznie noszy. Moja ręka wisiała tuż nad ziemią, dotykając żółtych źdźbełek trawy, a z palców spływały ostatnie strzępy purpury.

Siergiej Łukjanienko

***